MIESIĘCZNIK

5(68) MAJ 1988 CENA 200 ZŁ

Fantastyka

PL ISSN 0209-1631

NR INDEKSU 35839



O POLSKIM KOMIKSIE – DUŻO I MAŁO

MIROSŁAW GOŁA[illegible]

DUŻA dla MAŁEJ 1988

Trzeci literacki konkurs FANTASTYKA

LAYOUT: ZALEY 88

Wszystkich miłośników, znawców, koneserów, autorów prozy science fiction – zawodowców i amatorów... Starszych, młodszych i najmłodszych...
Wszystkich, którzy mają do zaproponowania ciekawy pomysł, nową ideę bądź formę literacką...
Wszystkich, którzy wierzą, że fantastyka jest dziedziną literatury i sztuki otwierającą bramy do wspaniałych romantycznych światów, a zarazem sposobem mówienia o dzisiejszym społeczeństwie, kulturze, nauce; o przemianach, nadziejach i zagrożeniach naszego świata...
Wszystkich, którzy traktują fantastykę jako gatunek podlegający nieustannej ewolucji – żywy, fascynujący, pełen wciąż nie odkrytych możliwości...
Wszystkich, którzy chcieliby przekazać takie rozumienie gatunku najmłodszym polskim czytelnikom...

...namawiamy do wzięcia udziału w organizowanym przez „Fantastykę" konkursie na opowiadanie SF-1988 dla najmłodszych Czytelników – „Duża dla Małej"

Utwory nigdzie dotąd nie publikowane o objętości nie przekraczającej 14 stron znormalizowanego maszynopisu, prosimy nadsyłać (w dwu podpisanych egzemplarzach, w kopercie z dopiskiem „Konkurs Literacki – Duża dla Małej") pod adresem redakcji do dnia 31 grudnia 1988.

Od uczestników konkursu oczekujemy prac na wysokim literackim poziomie, pisanych bez żadnej taryfy ulgowej.

Jedynym ograniczeniem jest bariera wieku – wyłonione w konkursie teksty czytać będzie publiczność „Małej Fantastyki", a więc przede wszystkim osoby, które nie ukończyły szkoły podstawowej.

- Dla autorów najciekawszych opowiadań przewidziano nagrody.
- Wszystkie teksty nagrodzone i wyróżnione ukażą się na łamach „Małej Fantastyki" i będą honorowane według przyjętych stawek autorskich. Redakcja zastrzega sobie prawo ich pierwodruku.
- Istnieje możliwość opublikowania najlepszych tekstów w wydawnictwie książkowym, tak jak stało się to z opowiadaniami dwu już naszych konkursów.
- Rozpatrujemy tylko znormalizowane maszynopisy (30 wierszy na stronie, 60 znaków w wierszu; przypominamy: oczekujemy na teksty o objętości nie większej niż 14 stron!).
- Termin nadsyłania prac mija 31 grudnia 1988 r.



Janusz Chrysta

Polski komiks wyraźnie zmierza ku szeroko pojętej fantastyce – taką tezę stawia w swym szkicu „Dużo i mało" Jerzy Szyłak pisząc o krajowych wydawnictwach komiksowych w ostatnich latach. Swojego rodzaju suplementem do tego tekstu jest list autora dotyczący pierwszego numeru naszego dodatku kwartalnego „Komiks-Fantastyka". List ten nasi Czytelnicy znajdą w „Lądowaniu", które tym razem w całości poświęciliśmy potyczkom miłośników i wrogów rysunkowych opowieści.



Żyjemy w świecie niepewnym, aż trzeszczącym od wszelakiego autoramentu sprzeczności, przeciwieństw i zagrożeń, osaczeni przez codzienną teraźniejszość, która również nie za bardzo sprzyja poczuciu wygody czy stabilizacji.

W szkołach przeładowanie drobiazgową nauką, trudną, właściwie niemożliwą do utrwalenia w pamięci, w urzędach zmiany i atestacje. Sytuacja kryzysowa wymaga zaciskania pasa. Jacy właściwie w tych warunkach niepewności powinniśmy być, jacy naprawdę jesteśmy, czy egzystujemy tylko od barykady do barykady, od trudności do trudności, od początku do końca naszych chwilowych załamań, euforii, radości czy upadków?

Pytania takie właściwie można by śmiało uogólniać: co tkwi we współczesnym człowieku, w jakim stadium znajduje się ludzkość, miotana od zarania swych dziejów między marzeniem o „złotym wieku", o epoce spokoju, komfortu, słowem – o raju, a wyrywaniem się z utartych społecznie ścieżek, z pasją do zdobyczy, do odkryć, podróży, do samotności bogatej w drastycznie niespokojne przeżycia. I dlaczego o tym się nie mówi, rzadko pisze, dlaczego prawie wyłącznie – fantastyka – ona odważa się w swej naiwności, bo przecież dostanie zaraz za to baty, poruszać takie kwestie, na które właśnie odpowiedzi jednoznacznych nie ma.

Jednakże każdy dziś, żyjący u schyłku XX wieku, zdaje sobie sprawę z wielkiego zakrętu, jaki bierze ludzkość, tak, tak, ona, ludzkość tylko, nie zaś absolutnie cały Wszechświat, bo martwa przyroda ma pełne szanse ocalenia nawet z ludzkiego konfliktu atomowego, jesteśmy chyba jeszcze nazbyt maluczcy, aby *ruszyć z posad bryłę świata*, więc jest ten zakręt bardzo nasz, człowieczy i różnie się o nim mówi. Stanisław Lem, romantyczny (mimo całej swej ogromnej wiedzy i deklarowanego pozytywnego stosunku do nauki) pisarz i wieszcz nie najlepiej wróży ludzkości w swym „Fiasku", które – jak to już pisałem – uważam za klamrę spinającą w jedną całość jego dotychczasowy dorobek science fiction. Przecież z książki tej, jego ostatniej jak dotychczas, wynika, że istota myśląca z istotą myślącą nie potrafi się w gruncie rzeczy porozumieć, mimo całego arsenału scjentycznej mądrości, doświadczeń i dobrych chęci.

Czy zresztą nasza mądrość jest prawdziwa? Ostatnio przez łamy fachowych pism przesunęła się, na razie chyłkiem, informacja o nowej teorii pracy mózgu, która zdaje się sekundować Lemowym obawom i jak gdyby je uzupełniać, odbierając przy tym jednak w ogóle szacunek dla umiejętności poznawczych umysłu ludzkiego. Działa ten nasz umysł, jeśli dobrze owe doniesienia zrozumiałem, raczej prymitywnie, mechanistycznie, nanizuje swoje informacje poznawcze jak korale na sznurek, trochę czy też nawet bardzo przypadkowo, choć konsekwentnie. I to by była cała nasza wiedza, cała *capacitas*, pożal się Boże, inteligencji. Prawdziwa to detronizacja człowieka.

Niektórzy powiadają, że detronizacja równa temu pierwszemu etapowi odebrania człowiekowi centralnego miejsca we Wszechświecie, który zapoczątkował Mikołaj Kopernik swoim dziełem „De revolutionibus orbium coelestium".

Żylibyśmy więc na takiej granicy, jak niegdyś nasi przodkowie – między średniowieczem a renesansem? Na skraju nowego wspaniałego świata, w którym rozpoznamy siebie jeszcze bardziej pomniejszonymi, niż byliśmy dotychczas, jeszcze bardziej ograniczonymi, niż sądzili o nas wielcy badacze naszej egzystencji? Jak wobec tego istnieć w takim pomniejszeniu, jak zachować się w roli iście guliwerowskich krasnoludów, to są na pewno tematy dla fantastyki, choć nie dla niej samej tylko.

A w ogóle co robi w takich czasach owa fantastyka, dlaczego powiększa nieustannie stan swego posiadania, wciska się w sfery, które dotychczas były zawarowane albo wyłącznie dla nauki, albo też dla głównych nurtów literatury. Czyżby ta główna literatura, ten szeroki prąd, niosący się od wiek wieków zaczął się nagle wyczerpywać, wysychać, czyżby jego demiurgom brakło rozeznania lub po prostu odwagi, aby zdać bliźnim sprawozdanie z procesów własnego karlenia, umniejszania roli człowieczeństwa, a przynajmniej z własnego – koniecznego – uskromnienia, bez którego dalsza egzystencja stanie w ogóle pod znakiem zapytania?

Fantastyka wchodzi w ten temat, chropowata, zaborcza, nieokrzesana twórczo (zarówno w literaturze, jak i w plastyce czy muzyce), infantylnie zadufana w sobie, depcząc jak gdyby wszelkie prawa psychologii i socjologii, jeśli takowe w ogóle istnieją. Toż przecież w epoce zakrętów i zagrożeń, niepewności i niepochlebnych dla ludzkości odkryć czy pseudoodkryć naukowych, powinniśmy być wszyscy cacy-cacy, dążyć do ustabilizowania się za wszelką cenę, unikać przygód i nadużyć, zasklepić w tym co jest i trwać, i przetrwać, a tymczasem – tętni galop środków masowego przekazu, niosących ucieczkę od stabilności do fantastycznych światów, najczęściej straszniejszych, stokroć gorszych od teraźniejszości – światów takich z przeszłości i przyszłości.

Powstaje pytanie, czy mamy tu tylko do czynienia z karykaturami ostrzegającymi przed gorszym, co stać się może rzeczywistością, czy też jest to nowy skok w przygodę, w dalszy większy niepokój, w jakieś, jak to pisali poeci z epoki Kazimierza Przerwy-Tetmajera „zatracenie". Któż to wie?

Dokąd dążysz fantastyko? I z tym poczuciem niepewności umawiamy się na następne, letnie orbitowania.
10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI
Fantastyka
Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA
ul. Mokotowska 5/6.
Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.
Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latala (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-35-36. Skład, druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.
Nakład 167 000 egz.
Zam.

NR INDEKSU 35839 PL ISSN 0209-1631 Oddano do składu 25 lutego 1988 r.

Lądowanie LXIII

Oczywiście wszyscy w redakcji wiedzieliśmy, że wydanie dwóch dodatków, właściwie całkiem autonomicznych, ale wzbogacających równocześnie niewątpliwie program macierzystej „Fantastyki", musi wywołać bardzo żywy oddźwięk. Istotnie, od momentu ich ukazania się w kioskach, płynie coraz szerszy strumień korespondencji, zawierającej zażartą dyskusję, atakującą z różnych pozycji zwłaszcza temat komiksu. Obawiam się, że gdyby teraz doszło do spotkania fanów w tej sprawie, mogłoby się ono skończyć nawet bitką, tak rozgrzaliśmy atmosferę.

Point counter point

Szanowny Panie Hollanek, czujemy, że nareszcie oczyści pan łamy „Fantastyki" skażone gatunkiem, pochodzącym z innej sfery i przynależnej innym celom i ideałom niż science fiction. Mamy nadzieję, że z narodzinami „Komiksu-Fantastyki" obchodzimy jednocześnie pogrzeb Funky'ego i jego bandy w dużej „Fantastyce". On tam już u was nigdy nie powinien zmartwychwstać.

***Juliusz Kotula** z koleżankami i kolegami (razem 50 osób, gdyby trzeba było głosować)*

...A więc wyrzuciliście komiks, czy może chcecie na zawsze wyrzucić z naszej „Fantastyki"? Bo pewnie posłuchaliście idiotycznych podszeptów tych fanów, którzy tego gatunku nienawidzą i utopiliby go w łyżce wody. Odważyliście się na to. A ostrzegaliśmy w różnych listach, podpisanych wieloma nazwiskami naszych katowickich kolegów przed takim krokiem, nie chcemy „Fantastyki" bez komiksu. Zwłaszcza bez takiego komiksu jakim był Funky Koval. To ostatnie ostrzeżenie, uważajcie, jeśli odważycie się zaprzestać drukowania komiksów, przestaniemy Was w ogóle czytać.

***Miłośnicy** z Katowic*

Cholerna powtórka

W dniu dzisiejszym bardzo ucieszony faktem, że nareszcie polski rynek SF wzbogacił się o kolejne po „Fantastyce" i „Małej Fantastyce" czasopismo i to w całości poświęcone komiksowi – nabyłem pierwszy zeszyt i przystąpiłem do lektury. Hm, po Pańskim (chodzi o naczelnego – przyp. red.) optymistycznym wstępniaku oraz artykule panów Parowskiego i Rodka, spodziewałem się kontynuacji przygód Funky'ego i jego wspaniałej przyjaciółki Brendy, a tymczasem uraczyliście mnie i co najmniej kilka tysięcy fanów komiksu SF – powtórką przygód naszego bohatera, znanych z wcześniejszych numerów „Fantastyki", tyle że w kolorze. Panowie, czy to nie jest z Waszej strony chwyt poniżej pasa?... Dublować tylko dla kolorowej szaty historię już znaną? Szkoda chyba tego naprawdę dobrego papieru, pracy drukarzy i maszyn. Poczułem się trochę oszukany przez ludzi, których cenię i za ich dorobek w literaturze SF i za wyjście na rynek krajowy z bardzo dobrym pismem, jakim jest od chwili powstania „Fantastyka". Nieładnie Panowie...

***Jerzy Soczówka** z Krakowa*

Nareszcie, vivat, nareszcie Funky w kolorach, o radości! Takem się ucieszył, że natychmiast pobiegłem do przyjaciół pokazać im swoją zdobycz (była spod lady). Ile listów musieliście otrzymać, ile próśb i gróźb znieść, aby wreszcie spełnić żądania, nasze żądania, Czytelników, żeby w kolorach naszego bohatera z panów Parowskiego, Rodka i Polcha komiksu pokazać i uwiecznić. To przecież jakby nowy komiks, zupełnie się go inaczej ogląda, niż czarne na białym.

***Jerzy Olszówka** z Warszawy*

W styczniu br. ukazał się pierwszy numer „Komiksu-Fantastyki", który samą swę obecnością na rynku dowodzi, że można w Polsce wydawać trzy albumy komiksowe rocznie i jeszcze dokładać do nich magazyn informacyjny w tej samej szacie graficznej i objętości. Już samo jego istnienie zakrawa na cud w świecie, w którym niemal każdy serial komiksowy jest kompletowany przez kilka pokoleń. I za ten cud należy się redaktorom „Komiksu-Fantastyki" buzi!

Jednak zainaugurowanie istnienia nowego pisma od powtórzenia w nim historyjki doskonale znanej z wysokonakładowej „Fantastyki" wydaje się być poważnym błędem taktycznym. Owszem, nie ulega wątpliwości, że „Funky Koval" to obecnie najlepszy komiks w Polsce, ale głodu tego gatunku nie da się zaspokoić powtórkami z rozrywki. W dodatku główny argument przemawiający za wydaniem tego właśnie utworu – chęć dania go czytelnikom w kolorze – obrócił się przeciwko redaktorom „Komiksu-Fantastyki", bo kolor ten jest wydrukowany tak podle, że działa odpychająco. Skoro niemożliwością jest drukowanie koloru dobrze, to może lepiej nie liczyć na kolejny cud i w ogóle z niego zrezygnować. W końcu wiele prac mistrzów komiksu (np. Moebiusa), to rzeczy czarno-białe. Czy na nie w ogóle nie będzie miejsca w „Komiksie-Fantastyce"?

No i ostatnia – chyba najważniejsza – sprawa. Dla kogo właściwie przeznaczony jest „Komiks-Fantastyka"? Czy dla tych, co szukają w historyjkach obrazkowych gumy do żucia dla oczu i pochłaniają wszystko bez różnicy, czy też dla tych, którzy szukają tu sztuki przez duże „S" i potrzebują przewodnika – pisma, które podpowie czego żądać od komiksów, ukształtuje gusty i będzie się przeciwstawiało niechlujności i tandecie innych wydawnictw?

Na razie „Komiks-Fantastyka" mierzy idealnie między obie grupy czytelników, w miejsce, gdzie akurat nikogo nie ma.

***Jerzy Szyłak** z Pucka*

Redaktor w opałach

Tak, naprawdę w opałach, bo jak pogodzić tak różne opinie, żądania, gusty, gdzie niszczyć, a gdzie drukować komiks i to jaki – stary czy nowy, z Funkym czy bez niego? W dodatku Polch przyłącza się, jako jeden z twórców naszego komiksu, do krytycznej oceny jego wykonania w postaci drukowanej. Cóż mam więc pisać, jak reagować?

Oto sprawa pierwsza, kto wie czy nie najważniejsza. Po wielu zmaganiach i staraniach udało się nam wreszcie uruchomić aż dwa dodatki do „Fantastyki" i opublikować je na poziomie maksymalnie w naszych warunkach wysokim. Tak jest! Bo przecież tu nie ma mowy ani o papierze, ani o innych warunkach (twarda, wspaniała okładka na przykład) jakimi dysponują podobne wydawnictwa zachodnie. Za pracę z sercem chcemy więc podziękować tym wszystkim, którzy nam pomogli w uruchomieniu dodatków, a szczególnie Braciom – Drukarzom z Krakowa. Nie ulega też dla mnie wątpliwości, że najbardziej pożądane byłyby w każdym numerze premiery komiksów i krajowych i zagranicznych! Takie premiery obiecujemy, nie jesteśmy jednak w stanie zapewnić ich organizowania w każdym, kolejnym numerze. Zwłaszcza że publikowane już na naszych łamach wielokrotnie listy Czytelników wskazywały na wielką chęć ujrzenia powtórek z Funky'ego właśnie w kolorach, właśnie w osobnych zeszytach.

Trzeba także wiedzieć, że nie każdy zbiera w formie wyrwanych z „Fantastyki" kart poszczególne seriale komiksowe – miłośnicy lubiący gromadzić bibliotekę komiksów fantastycznych będą teraz mieli okazję do swych hobbystycznych działań.

I jeszcze jedna bardzo ważna sprawa. Orientujemy się w przemianach pokoleniowych, jakie następują wśród Czytelników naszego pisma, czy raczej już teraz należałoby rzec – naszych pism. Wskazywał na to na przykład ostatni sondaż: jest coraz więcej młodych, którzy zaczynają dopiero czytanie „Fantastyki" i dla tych także jest nowy „Komiks" z powtórką nieznanej im jeszcze opowieści o Funkym oraz nowa „Mała Fantastyka".

Wreszcie argument niebagatelny – komiksy w kraju nie rodzą się na kamieniu. Nasi autorzy przygotowują już od dłuższego czasu dalszy ciąg serialu o Funkym, jego przyjaciołach i wrogach, ale to jeszcze nie jest gotowe! Powiecie Państwo: szukajcie sobie innych autorów lub importujcie. Oczywiście, część rzeczy innych autorów, w tym autorów importowanych, trafi na łamy „Fantastyki", „Komiksu-Fantastyki", i „Małej Fantastyki", nie chcemy bowiem rezygnować z formy komiksowej w żadnym z naszych pism, ale nie będzie to praktyka systematyczna, lecz zależna od naszych możliwości. Prosimy, aby to zrozumieć, a w ogóle docenić. Co zresztą już się właściwie stało: wiemy, że „Komiks-Fantastykę" szybko rozprzedano, także i „Mała Fantastyka" cieszyła się popytem. Niestety, dystrybucja nie zawsze nadążała za zapotrzebowaniem i nadal nie nadąża. W stolicy brakowało przez wiele tygodni pierwszego numeru „Małej" (!), gdy tymczasem numery czasopisma leżakowały sobie w niektórych innych rejonach kraju.

Wiecie Państwo zresztą jak to jest z tą dystrybucją towaru wszelkiego gatunku, więc spieszcie nam (i sobie przede wszystkim) z pomocą, zgłaszając natychmiast listownie miejsca braków, a także nadmiaru „Fantastyk". Tyle na dzisiaj. Do dyskusji na temat, co jest sztuką komiksową, a co nie, czego chcą, a czego nie chcą Czytelnicy – zapraszamy kontrowersyjnym listem p. Szyłaka oraz jego szkicem „Dużo i mało" (str. 59). Potem opublikujemy dyskusję specjalistów na ten temat.

Redaktor

Phyllis Eisenstein

POD ZIEMIĄ

(Underground)



Musieliście widzieć tego ślepego człowieka. Mijaliście go setki razy w tunelu łączącym dwie linie metra. Siedzi na składanym stołeczku, sprzedaje orzeszki i gumę do żucia, które wyciąga z jutowego worka. Na kolanach trzyma pudełko po cygarach, do którego zbiera pieniądze. Zawsze wydawało mi się, że sprzedaje więcej orzeszków niż gum, ale może dlatego, że sam nigdy nie lubiłem żucia. Donny też nie lubił.

Kiedy Donny skończył pięć lat, zacząłem z nim podróżować metrem. Sheila miała go przez cały tydzień, ale soboty należały do mnie i mogliśmy iść do muzeum albo do zoo, czy dobrego kina gdzieś w centrum. Ślepiec zawsze był na swoim miejscu, tak samo jak w dni, kiedy chodziłem do pracy. Donny zainteresował się nim od pierwszego razu i zawsze się oglądał, żeby się na niego pogapić.

Przypuszczam, że powinienem był w takim momencie szturchnąć go w plecy albo wygłosić mały wykład na temat dobrego wychowania, ale staliśmy w tłoku i to mnie krępowało. Zresztą dyscyplina – to należało do jego matki. Ja byłem tym, który nie musiał mówić „nie".

Przez kilka tygodni Donny tylko się przyglądał, ale nie odzywał nigdy. Wreszcie jednak zdarzyło się, że mijaliśmy ślepca w momencie, gdy jakaś kobieta kupowała od niego paczkę orzeszków. Donny widział, jak wrzuciła monetę do pudełka i wzięła małą, białą torebkę, którą rozrywając otworzyła. Tydzień później, gdy zbliżaliśmy się do tego miejsca, pociągnął mnie za rękaw.

– Tatusiu, kupisz mi orzeszki?

W ten sposób zaczął się cotygodniowy rytuał, a ślepy człowiek co sobotę otrzymywał ode mnie ćwierć dolara.

Minął prawie rok zanim Donny odezwał się do niego. Mnie nigdy coś takiego nie przyszłoby do głowy, ale jak większość dorosłych miałem sporą praktykę w trzymaniu w cuglach własnej ciekawości. Donny stał, ściskając torebkę i patrząc na ślepca szeroko otwartymi, niebieskimi oczyma, w których nie było cienia przebiegłości i nagle się odezwał:

– Dlaczego nosisz przeciwsłoneczne okulary w pomieszczeniu?

Poczułem, że twarz zalewa mi fala gorąca. Nie wiedziałem co powiedzieć. Byłem zbyt speszony, żeby choć wymamrotać jakieś przeprosiny. Chciałem odciągnąć Donniego, udając że nic nie słyszałem, ale on puścił moją rękę i zbliżył się do ślep-

ca. Musiałbym się ruszyć, żeby go złapać, ale jakoś nie potrafiłem nic zrobić.

– Jestem ślepy, chłopczyku, nie widzisz mojej laski? – odpowiedział mężczyzna.

– Widzę – odparł Donny. – Czy jesteś również kaleką?

Mężczyzna pokręcił przecząco głową:

– Laska jest przedłużeniem mojego ramienia. Trzymam ją przed sobą idąc, żeby nie wpaść na różne rzeczy, ponieważ nie widzę ich tak, jak ty je widzisz.

– Jeżeli nie widzisz, to skąd wiesz, że jestem małym chłopcem?

– To proste – odpowiedział ślepiec. – Nie jestem głuchy.

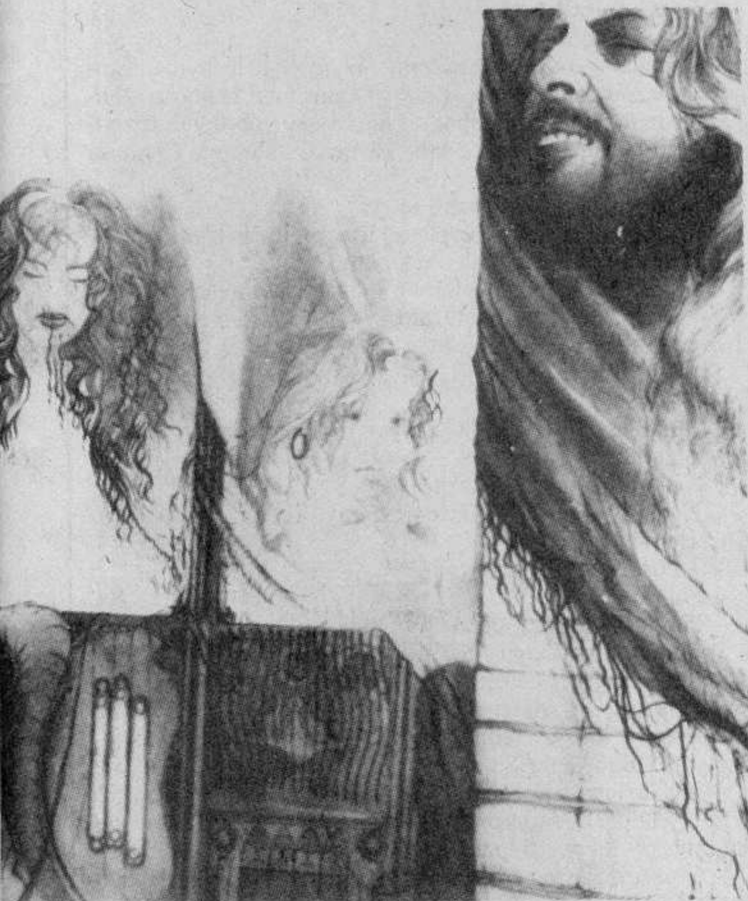
Wreszcie udało mi się odezwać.

– Chodźmy Donny, bo spóźnimy się do kina.

Wziął mnie za rękę, którą wyciągnąłem do niego. I już szliśmy, może tylko trochę szybciej niż zazwyczaj, a Donny wołał przez ramię:

– Do zobaczenia.

Oczywiście widzieliśmy go także w drodze powrotnej do domu. Wymienili z Donnym pozdrowienia tak, jakby się znali od wieków i w ten sposób ich przyjaźń została przypieczętowana. Orzeszki i pogawędka, każdej soboty. A gdy ślepca nie było, Donny pytał, dlaczego, jakbym mógł znać odpowiedź.



Ilustrował Ryszard Bojarski

Gdzie on może być, czy jest chory, może się na nas obraził albo przeniósł do innego kraju?

– Jestem pewien, że za tydzień będzie tu znowu – odpowiadałem i zazwyczaj miałem rację.

Donny uwielbiał metro. Im linia była starsza, tym badziej ją lubił. Kiedy miał siedem lat zawsze chciał jeździć z jednego końca trasy na drugi. Proponowałem mu zoo, nowy film, muzeum ze wszystkimi elektronicznymi urządzeniami do omawiania eksponatów, uruchamianymi przez naciśnięcie guzika – ale nie, wolał jeździć metrem. Siedział z nosem przylepionym do przedniej szyby patrząc jak światła i szyny biegną w naszą stronę.

Kochał także perony. Mógł łazić po nich czytając ogłoszenia i oglądając mapy połączeń i napisy na ścianach. Ale najbardziej lubił patrzeć w dół, gdzie między szynami widać było otwory do odciągania śmieci. Niskie, o kwadratowym przekroju, otwarte z jednego końca tak, żeby pęd powietrza nadjeżdżającego pociągu wepchnął w nie wszystkie brudy. Najpierw chciał dowiedzieć się dlaczego pociąg ich nie miażdży. Podszedł do brzegu platformy, żeby przekonać się, że mieszczą się one pod wagonami. Wtedy po raz pierwszy krzyknąłem na niego, odciągając go od krawędzi w tył. Spojrzał na mnie nie wiedząc zupełnie o co mi chodzi:

– Przecież pociąg stał!

– Widzisz ten napis? – wskazałem duże litery wymalowane na ścianie. Oczywiście, że widział: UPRASZA SIĘ STAĆ POZA ŻÓŁTĄ LINIĄ.

Żółta linia znaczyła brzeg peronu.

– Uważałem – bąknął.

– Nie obchodzi mnie, jak bardzo byłeś ostrożny. Co by się stało, gdyby pociąg w tym momencie ruszył?

Przyjrzał się swoim stopom.

– Przepraszam.

Pociąg z rykiem przetoczył się wzdłuż tunelu, pozostawiając strumień czerwonych świateł, które zmieniły się w żółte, a potem w zielone.

– Zobacz tato – krzyknął Donny szarpiąc mój rękaw. – Ten papier, on się r u s z a.

W otworze zbiornika na śmieci szeleściły zgniecione serwetki, papierowe kubki i gazety. Gdy coś małego i szarego wyskoczyło z otworu, Donny pisnął i odskoczył, łapiąc mnie obydwiema rękami.

– Co to?

– Mysz. Spójrz, tu jest jeszcze jedna.

– Mysz! – Zrobił krok w stronę krawędzi peronu, ale trzymałem go za łokieć.

– Stąd też je widzisz – powiedziałem.

– Ale to jest mysz!

– Oglądaj je z tego miejsca.

Był zafascynowany sposobem w jaki przełaziły przez otwór, sprytnie przebiegając pod szynami i ich złączami.

– Co one robią tatusiu?

– Myślę, że szukają jedzenia. W tych papierach może się znaleźć jakiś cukierek.

Wyciągnął z kieszeni białą torebkę. Zostało w niej jeszcze parę orzeszków. Rzucił jeden na tory. Leżał tam biały, na brudnej podłodze tunelu. Kiedy żadna mysz nie zbliżyła się do niego, odwrócił do mnie zawiedzioną twarz.

– Czy one nie lubią orzeszków, tato?

– To nie są wiewiórki w parku, Donny. One boją się ludzi. Jestem pewien, że potem przyjdą i go zabiorą. Nie sądzę, żeby często im się coś takiego trafiało.

– W takim razie czym się żywią?

– Tym, czego nie chcą ludzie. Albo wyrzucają przez przypadek. Spójrz na te wszystkie śmieci. Ludzie rzucają na tory mnóstwo rzeczy, chociaż nie powinni.

– Nie chciałbym jeść śmieci – powiedział, wyjął następnego orzeszka i rzucił go na tory. Kilka minut później rzeczywiście jakaś mysz zaczęła ostrożnie zbliżać się do niego. Ale w tym momencie tunel zaczął wibrować od nadjeżdżającego pociągu i mysz znikła.

– On jej coś zrobi! – krzyczał Donny. – On ją przejedzie! Tato? Och, tato! Biedna mysz.

– Nic się jej nie stanie – powiedziałem mocniej ujmując go za ramię, po prostu żeby być pewnym, że nie przejdzie znowu za żółtą linię. – Są tak małe, że wagony przejadą nad nimi.

Na jego twarzy widać było ogromną ulgę, gdy po odjeździe pociągu pojawiły się znowu. I wtedy jedna z nich wzięła w pyszczek orzeszek i umknęła z nim.

– Może to mama mysz – powiedział Donny – i zabierze go do domu dla swoich dzieci.

– Możliwe – powiedziałem. – A co byś powiedział na to, żebyśmy i my poszli do domu. Czy ty nie jesteś głodny?

Niechętnie kiwnął potakująco głową.

– Ale czy nie moglibyśmy zostać jeszcze chwileczkę? Spójrz, tam jest jeszcze jedna.

– Ale naprawdę chwileczkę – odpowiedziałem. Żeby być zupełnie szczerym muszę przyznać, że i mnie bawiło przyglądanie się tym stworzonkom. Myszy były w metrze od niepamiętnych czasów. Przyglądałem się im jako dziecko. Były sprytne, nie tak jak na filmach rysunkowych, ale jednak na swój sposób sprytne. Przypuszczałem, że już niedługo Donny poprosi o jedną na własność i zawczasu próbowałem ułożyć sobie dobrą odpowiedź, chociaż przypuszczałem, że prawda będzie najlepsza: jego matka nigdy by się na to nie zgodziła. „Ty jesteś twarda, Sheilo, gdybyś mogła, nie dawałabyś mi go nawet na weekendy".

Ale nigdy nie poprosił. Może był na to za mądry, nawet mając siedem lat. Jednak myszy fascynowały go nadal. Mówił do nich tak, jak się przemawia do zwierząt w zoo czy wiewiórek w

parku. Pomyślałem, że on naprawdę potrzebuje czegoś do kochania i starałem się coś wymyślić zabierając go w nowe, cudowne miejsca, na przedstawienia kukiełkowe, do cyrku, wesołego miasteczka. Ale chociaż wszystko to sprawiało mu przyjemność, jednak najbardziej lubił stać na peronie metra i przyglądać się myszom.

– Chciałbym zejść tam na dół, pobawić się z nimi – powiedział.

– Bałyby się ciebie.

– Wcale n i e. Byłbym ich przyjacielem.

– Mogłyby cię pogryźć.

– Byłbym dla nich miły, tatusiu.

Mocno trzymałem jego dłoń.

– Linie są pod napięciem. Gdybyś ich dotknął mogłoby cię zdrowo porazić. Pamiętasz jak się sparzyłeś patelnią? Pamiętasz jak to bolało?

– Myszy przechodzą przez tory.

– One biegają po podkładach, dlatego są bezpieczne. Szyny zrobione są z metalu i są pod napięciem. Myszy mogą się prześliznąć pod nimi, bo są małe. A ty nie.

– Uważałbym.

– A kiedy byś się próbował bawić, mógłby przejechać cię pociąg.

Pokazał jedną z nisz zostawionych w ścianie, żeby pracujący przy torach robotnicy mieli gdzie się cofnąć przed nadjeżdżającym pociągiem.

– Tam mógłbym się schować.

– To zbyt niebezpieczne – powiedziałem stanowczo.

Podniósł na mnie wzrok.

– Ja tylko mówiłem, co bym chciał, tatusiu – odezwał się cicho. – Nie bądź na mnie zły.

Musiałem go przytulić, żeby pokazać, że wcale nie jestem zły.

Nigdy nie wspominałem jego matce o tych „chętkach". Wiedziałem, że do mnie miałaby pretensje, że nie opiekuję się odpowiednio jej synem. Dla niej najlepszą metodą było dać mu parę klapsów, gdy tylko zaczął mówić o zabawie z myszami i to wybiłoby mu ten pomysł z głowy. Zawsze mówiła „nie" nie podając powodu i nie dopuszczając do jakiejkolwiek dyskusji. Jemu. Mnie. Jej odpowiedzi były zawsze ostre i krótkie, a jeżeli j e j styl ci nie odpowiadał... cóż, najlepszym rozwiązaniem było odejść. Albo zostałoby się wyrzuconym. Trudno powiedzieć, czy mi się przytrafiło to pierwsze czy drugie. Jedyne co wiedziałem, to że nie byłem mężem, którego ona potrzebowała czy chciała. I nieodpowiednim ojcem dla jej syna. Prawdopodobnie przez cały tydzień tłumaczyła Donny'emu, że wszystko co ja mu mówiłem w sobotę było złe. Zrobiło mi się żal chłopca. I siebie samego. Pewnego dnia zmusi go do dokonania wyboru między nią a mną i sądzę, że to ja będę tym, który przegra. Więc nie mówiłem mu „nie", nie krzyczałem na niego i nie karałem go, ponieważ chciałem, żeby nasz wspólny czas był miły, żeby zostawił mnóstwo przyjemnych wspomnień nam obu. Za to mnie nienawidziła.

Od tego dnia zaczęliśmy kupować po dwie paczuszki orzeszków. Jedną dla Donny'ego, drugą dla myszy. Donny wyjaśnił ślepcowi wszystko bardzo dokładnie, a ten uśmiechnął się i wziął od nas dwie ćwierćdolarówki. Nie powiedział, i ja zresztą też nie, że służba porządkowa metra częstuje raczej myszy trucizną i nie byłaby zachwycona tym, że ktoś je karmi.

Czasami miałem lekkiego stracha stojąc obok Donny'ego rzucającego orzeszki na tory. Rozglądałem się wiedząc, że mam zakłopotany wyraz twarzy, szukając wzrokiem jakiegoś gliniarza, który podejdzie znienacka, żeby walnąć nam wykład na temat stosowania się do przepisów. Wszędzie wokół wisiały oczywiście napisy informujące, że do wyrzucania śmieci służą kosze, ale ludzie zazwyczaj je ignorowali, ciskając na tory niedopałki, resztki śniadania w zgniecionych papierach czy przeczytane gazety. Ale Donny znał te napisy i wiedział, że jeżeli zobaczy policjanta, orzeszki zostaną w kieszeni. Mając siedem lat wiedział już, że nie chodzi o to, żeby nie robić rzeczy niedozwolonych, ale by nie dać się złapać.

Nim Donny skończył osiem lat zdążył już opowiedzieć ślepcowi o tym co robi przez cały tydzień, o szkole, o kolegach i o swojej matce. Ślepiec uśmiechał się nie mówiąc wiele w zamian, zachęcał tylko Donny'ego monosylabami, żeby ten paplał dalej. Powoli pogawędki te przestały mnie peszyć, już nie przestępowałem z nogi na nogę przeszkadzając mijającym mnie w pośpiechu ludziom. Miałem wrażenie, że znam go tak jak sprzedawcę w sklepie, w którym codziennie robiłem zakupy. A jednak, poza tym, że jest ślepy i sprzedaje w metrze orzeszki po dwadzieścia pięć centów za paczkę, nie wiedziałem o nim nic.

Ich ulubionym tematem były myszy. Donny z zapałem opowiadał co ostatnio zrobiły, jak gramoliły się przez kratkę wyciągu lub uciekały z orzeszkiem, a ślepiec potakiwał.

Gdy Donny po raz dziewiąty czy dziesiąty powiedział rozmarzonym cichym głosem: „Chciałbym się z nimi pobawić", ślepiec przechylił głowę na bok, tak jakby mógł go widzieć i zapytał:

– Naprawdę chciałbyś?

– O tak! Tak!

– No cóż, w takim razie może będę ci mógł pomóc.

Automatycznie pokręciłem głową, ale uprzytomniwszy sobie, do kogo się zwracam, powiedziałem:

– Proszę nic chłopcu nie obiecywać, nie sądzę, żeby jego matce się to podobało.

Gdy odwrócił głowę w moją stronę, w jego ciemnych okularach błysnęły odbite światła tunelu.

– Nie musimy nic mówić jego matce – powiedział i znowu odwrócił się do Donny'ego.

– Czy umiesz zachować sekret, synu?

– O tak – powiedział Donny.

– A twój tata?

Donny spojrzał na mnie.

– Tatusiu, umiesz?

– To zależy – odpowiedziałem – nie, jeżeli to by było dla kogoś niebezpieczne. – Pomysł, żeby Donny miał za bardzo zbliżyć się do myszy nie podobał mi się. Myszy są brudne, roznoszą choroby, nieraz nawet wściekliznę. Ostatecznie to nie są myszy laboratoryjne.

– Myszy mają bardzo ostre zęby.

– Nie ma żadnego niebezpieczeństwa – powiedział ślepiec.

Położyłem dłoń na ramieniu Donny'ego.

– Myślę, że musimy już iść, bo spóźnimy się na mecz.

– Ale tu chodzi o sekret, tato. Na mecz możemy pójść innym razem.

Spojrzałem na ślepca.

– O czym pan mówi?

– Tutaj jest za dużo ludzi, żeby o tym rozmawiać, ale pokażę wam.

– Co chce nam pan pokazać i gdzie?

– Zobaczycie, kiedy tam dojdziemy. To nie jest daleko. Chcecie iść?

– Tatusiu, p r o s z ę.

– Gdzie to jest?

– Parę minut drogi stąd.

Spojrzałem na Donny'ego, widziałem, że aż się pali, żeby pójść ze ślepcem. Nie umiałem sobie wyobrazić, co ten chce nam pokazać. A właściwie m o g ł e m wyobrazić sobie całą masę rzeczy, których jednak zdecydowanie nie chciałbym pokazywać Donny'emu.

– A co to jest? – zapytałem. – Rodzaj prywatnej menażerii?

Pomyślałem o klatkach pełnych myszy, strzępach gazet walających się dokoła, odpadkach i insektach.

– Obiecuję, że to będzie dla pana interesujące – powiedział ślepiec – i miłe.

Zmarszczyłem brwi, starając się przybrać surowy wyraz twarzy.

– A ile to kosztuje?

– Och tato, p r o s z ę.

Spojrzałem jeszcze raz na mojego syna. No cóż, nie musiałem oglądać tego meczu.

– No dobrze – zdecydowałem. – Jeżeli to nie jest daleko.

Ślepiec przewiesił sobie przez ramię jutowy worek, do którego wsunął składany stołeczek i pudełko po cygarach. Laską wskazał kierunek.

– Tędy – raźno ruszył wzdłuż tunelu, zataczając przed sobą łuki laską. Godziny największego tłoku już minęły i przechodnie robili dla nas szerokie przejście. Po jakichś dwunastu jardach skręcił w prawo i zeszliśmy po wąskich schodach o kondygnację niżej.

Zejście było strome, trzymałem Donny'ego za rękę, żeby nie spadł. Światło także nie było najlepsze, gołe żarówki pokrywała gruba warstwa kurzu. Było tak mroczno, że sam nie wiedziałem, gdzie stawiam kroki. Schody prowadziły do innego, krótszego tunelu, na końcu którego znowu zaczynały się stopnie w dół. Ślepiec zatrzymał się przed nimi.

Patric Woodroffe

Na życzenie naszych Czytelników, na naszych łamach ponownie (patrz „Fantastyka" nr 3/88) gościmy Patricka Woodroffe'a. Oprócz prac przedstawiamy również kilka wypowiedzi artysty.

„W przeszłości używałem najchętniej natryskiwaczy i rapidografów i początkowo byłem nastawiony entuzjastycznie do nowych technik, ale z biegiem czasu przekonałem się, że tradycyjne metody są najlepsze. Teraz stosuję tylko je".



– Trzymajcie się blisko mnie – powiedział. – Tutaj łatwo się zgubić.

Zeszliśmy w obszar przytłumionego światła. Mogła to być sala, ale nie widziałem ani ścian, ani sufitu. Zamiast tego była postrzępiona, poskręcana masa, częściowo biała, częściowo szara, gdzieniegdzie poznaczona plamami czerwieni, żółci i błękitu. Wyglądało to na sztywną substancję, jakby połamane płyty styropianu, czy ciągnący się bezkresny zwał rzeźb. Jakby podarta i pognieciona tektura imitująca dżunglę, a wszystko to półprzezroczyste, rozproszone i oblane łagodnym światłem dobywającym się z niewidocznego źródła.

Przed nami stała otworem przestrzeń, której sufit, podłogę i ściany stanowiło to coś. Ślepiec zrobił krok i jego stopy z szelestem zapadły się po kostki. Wskazał, żeby iść za nim. Ja ugrzązłem także. Szło się, jak po hałdzie poduszek, zdradzieckiej i niszczącej zmysł równowagi. Poczułem, że się potykam, a kiedy sięgnąłem w stronę ściany, żeby się podeprzeć, ta także uciekła mi z rąk. Upadłem.

Gdy stanąłem znów na własnych nogach ślepiec zniknął.

– Myślę, że powinniśmy byli pójść na mecz. To nie wygląda wcale interesująco.

Donny popchnął jedną ze ścian, a ta szeleszcząc ugięła się pod jego palcami.

– Myślę, że jest to coś w rodzaju groty – powiedział; widział rysunki grot. Pociągnął mnie za ramię. – Chodźmy, tatusiu, zobaczymy co tam jest dalej.

Obejrzałem się. Byliśmy tylko o parę kroków od schodów. Zastanawiałem się, co podtrzymywało cały ten materiał i czy mógł się on w każdej chwili na nas zwalić. Z drugiej jednak strony ślepiec poszedł naprzód, nie obawiając się niczego. A oczywiste było, że odwiedzał to miejsce nie po raz pierwszy. Pozwoliłem Donny'emu pociągnąć się dalej. Posuwaliśmy się wzdłuż tunelu o nieregularnym kształcie, wznoszącym się, opadającym, zmieniającym kierunek – ścieżka tortur przez zwariowany las. Czułem się tak, jakbyśmy znaleźli się w opuszczonym wesołym miasteczku. Starannie stawiałem kroki, ale i tak ślizgałem się i zataczałem, po pełnej pułapek podłodze. Za to Donny'emu poruszanie się tutaj przychodziło z łatwością, może dlatego, że jego mała waga chroniła go przed tak głębokim zapadaniem się. Doszliśmy do rozwidlenia tunelu.

– Którędy pójdziemy, tato? – zapytał Donny.

– Nie wiem. Nie widzę żadnych znaków. – Spróbowałem zawołać: – Halo!

– Hej – doszedł nas głos ślepca. – Skręćcie w prawo. Czekamy na was.

Donny pociągnął mnie za rękaw, ale ja nie ruszyłem się. My?

Nagle poczułem się niepewnie. Jeżeli nawet nic innego, to mógł nam tu grozić pożar. Gdyby nagle to wszystko zaczęło się palić, to znalezienie powrotnej drogi byłoby piekielnie trudne. I kto mógł tam na nas czekać?

Ostatecznie, wcale nie znaliśmy tego ślepego człowieka, nie wiedzieliśmy nawet jak mu na imię. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby on i jego kumple ogłuszyli mnie i zostawili tu, gdzie nikt by mnie nie znalazł, poza być może myszami. A Donny? Co zrobiliby z Donnym?

– Chodźcie – zawołał ślepiec.

Donny puścił moją rękę i pobiegł w stronę głosu.

– Hej! – wrzasnąłem i ruszyłem za nim. Ale w tym zwariowanym tunelu on był szybszy. Zniknął za rogiem i słyszałem już tylko szuranie jego nóg po podłodze.

– Donny? – krzyknąłem. I wtedy skręciłem za ten sam róg i zobaczyłem go.

Stał ze ślepcem i jakąś kobietą pośród dużej, otwartej przestrzeni. Kobieta wydawała mi się ładna, nieco może starsza od Sheili i nieco pełniejsza. Ubrana była w dżinsy i bluzę. Widziałem jak wyciąga dłoń do Donny'ego, a on z uśmiechem potrząsa nią. Wtedy spojrzała na mnie.

– Witamy – odezwała się. – Tak wiele słyszeliśmy o was obu.

– Cześć – odpowiedziałem. – My za to nie wiemy o tobie nic.

– Nie, oczywiście że nie. Wilbur jest w tym bardzo dobry.

– Wilbur?

Skinęła głową w stronę ślepca.

– Już od dawna jest naszym przyjacielem.

– Kim jesteś? – zapytałem. – I co to za miejsce?

– Czy nie mielibyście ochoty czegoś zjeść?

Donny obejrzał się na mnie.

– Jestem głodny, tatusiu.

Gdybyśmy poszli na mecz, zdążyłby już spałaszować hot doga i lody.

– Dobrze – zgodziłem się.

Klasnęła w dłonie trzy razy i po chwili do pomieszczenia, w którym się znajdowaliśmy, weszło troje ludzi niosąc nakryte tace.

Położyli je na ziemi, przyciskając mocno, żeby pozostały poziome i stabilne. Potem wyszli.

– Jedzenie tutaj jest sztuką – powiedziała kobieta siadając po turecku na podłodze. – Nie opierajcie się o tace i nawet nie przysuwajcie zbyt blisko, bo się przewrócą. – Pokazując nam jak to robić, odchyliła się do tyłu i wyciągnęła jedną rękę, żeby zdjąć przykrycie z najbliższej tacy. Leżały na niej surowe jarzyny. Wybrała marchewkę. Na pozostałych tacach był chleb, sałata, płaty kurczaka. Ostrożnie robiliśmy sobie kanapki.

– Wilbur obserwował was już od dłuższego czasu – odezwała się. – Musiał się upewnić, czy jesteście odpowiednimi ludźmi.

– Jacy muszą być ludzie, żeby być odpowiednimi? – zapytałem.

Spojrzała na Donny'ego.

– Ty jesteś.

Uśmiechnął się.

– Dziękujemy za komplement – powiedziałem. – Przynajmniej przypuszczam, że to miał być komplement. Ale o d p o w i e d n i ludzie do czego?

– Prowadzimy tu na dole bardzo przyjemne życie – odpowiedziała. – Dobre jedzenie, miłe towarzystwo. Będzie się wam tu podobało.

Musiałem się uśmiechnąć.

– A ile płacą za udział w takim eksperymencie?

Potrząsnęła głową.

– Ja nie żartuję.

– Nie rozumiem o czym mówimy.

– To nie jest praca – odpowiedziała. – To życie. Proponuję, żebyście się do nas przyłączyli. Jest tu dość miejsca dla was obu.

– Gdzie?

– Tutaj. Właśnie tutaj.

Rozejrzałem się przyglądając uważnie zwariowanej rzeźbie, wewnątrz której siedzieliśmy.

– Ty tutaj ż y j e s z?

– Tak.

– Wewnątrz tego?

– To jest bardzo duże. Jeżeli ktoś tego pragnie, może tu znaleźć spokój.

– Tutaj wewnątrz? Nie wierzę. Przecież jesteśmy pod ziemią. Czy to są jakieś magazyny?

– Coś w tym rodzaju.

– Czy to jest w ogóle legalne?

– Policja nie zawraca nam głowy.

– Ale czy oni wiedzą, że tu jesteście?

– Tak. Oczywiście.

W tym momencie w jednym z wejść do pomieszczenia pokazały się cztery młode twarze. Ich właściciele chowali się za ścianę. Kobieta usłyszawszy hałas odwróciła głowę i gestem zaprosiła ich do środka.

– Wejdźcie – powiedziała – nie wstydźcie się.

Ruszyli naprzód popychając się nawzajem. Było to trzech chłopców i jedna dziewczynka. Obleźli kobietę jak małe psiaki mówiąc wszyscy naraz tak szybko, że ledwo mogłem cokolwiek zrozumieć.

– Tak – odpowiedziała śmiejąc się. – Jeżeli tylko on ma ochotę.

Spojrzała na Donny'ego.

– Czy chciałbyś pobawić się z moimi dziećmi?

Donny wepchnął resztkę kanapki do ust i gwałtownie pokiwał głową. Potem spojrzał pytająco na mnie. Nie wiedziałem co powiedzieć.

– To pozwoli nam porozmawiać – powiedziała kobieta.

Nie miałem ochoty go puszczać, ale on tak bardzo tego

chciał, a te dzieci miło się uśmiechały... to były czyste dzieci, starannie ubrane i nie bardziej hałaśliwe niż inne, gdy poznają nowego kolegę.

– Proszę, tato – powiedział Donny.

Kiwnąłem głową na zgodę i cała piątka wybiegła razem. Jeszcze przez pewien czas dobiegał mnie ich śmiech, a potem nic już nie słyszałem.

Odwróciłem się w stronę kobiety.

– O czym mamy rozmawiać?

– Jesteście tu mile widziani – odpowiedziała.

– Co to za miejsce. Komuna?

Kiwnęła potakująco głową.

– Nic o tobie nie wiem. Nie powiedziałaś nawet jak ci na imię.

– Clarissa.

Wskazałem ślepca.

– Czy on też tu mieszka?

– Nie – odpowiedziała. – Wilbur jest szczęśliwy na zewnątrz.

– Na zewnątrz – powtórzyłem.

– Jest naszym łącznikiem. My stąd nie wychodzimy, ale on tak.

– Nie wychodzicie na zewnątrz?

– Nigdy.

– Nigdy nie opuszczacie tego miejsca?

– Nie wychodzimy spod ziemi.

– Aż trudno w to uwierzyć. Gdzie zdobywacie jedzenie, ubranie? Skąd macie pieniądze?

– Nie używamy pieniędzy. A jedzenie nam przynoszą.

Spojrzałem na nią podejrzliwie.

– Co to jest? Jakaś sekta religijna?

– Nie.

– Więc... dlaczego nie wychodzicie? Boicie się słońca, czy coś w tym rodzaju?

Uśmiechnęła się.

– Nie, nie boimy się słońca. Ale wszystko czego potrzebujemy jest tutaj. I nie mamy po co wychodzić na zewnątrz. I nie chcemy. A ty chcesz?

– Oczywiście, że tak. Tam mam swoją pracę. I swoje życie.

– Czy to jest dobra praca?

– Bardzo dobra.

– Lubisz ją?

– Wystarczająco.

– I wystarczająco lubisz życie, które tam prowadzisz?

– Nie chciałbym go zostawić dla... dla tego.

Odchyliła się do tyłu zapadając w podłogę jak w miękką kanapę.

– Ja też na początku tak myślałam. Ale po tym jak przyszłam tu parę razy, stwierdziłam, że będę szczęśliwsza opuszczając swoją pracę, ludzi i dokuczliwość życia tam na górze. Odpowiedzialność. Wymagania. Miałam męża... ale byłam zadowolona zostawiając go. Tutaj na dole jest spokojnie. Lubię to.

Rzuciła mi spojrzenie spod oka.

– Przemyśl to. Nie musisz się decydować teraz.

– I nie mam zamiaru – odpowiedziałem. – Nie chcę zostawiać wszystkiego, żeby mieszkać z wami. Niezależnie od tego, ile was tu jest.

– A jest całkiem sporo – powiedziała. – Ale miejsca mamy jeszcze więcej.

– I to jest miłe życie?

– Bardzo.

– Ale Wilbura o tym nie przekonaliście.

Ślepiec uśmiechnął się.

– Ja przed niczym nie uciekam.

– Cóż, ja także nie.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Ale nieźle jest wiedzieć, że istnieje miejsce, dokąd zawsze można pójść.

Potrząsnąłem głową.

– Przykro mi, ale życia pod ziemią nie mogę traktować jako takiej możliwości. To wariactwo. To musi być nielegalne...

– Nie dla myszy – odrzekła.

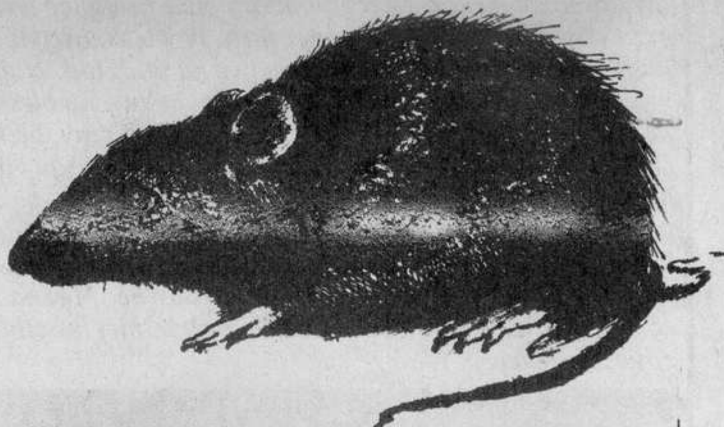
Gapiłem się na nią.

– A co myszy mają z tym wspólnego?

– My jesteśmy myszy.

Roześmiałem się niepewnie.

– Myślicie o sobie jako o myszach?



Skinęła głową.

– To jest gniazdo myszy. Zrobione ze zgniecionych papierowych toreb, starych gazet i innych śmieci, wyrzucanych przez ludzi na tory.

– O czym ty mówisz?

– Jestem myszą – odpowiedziała. – Tak naprawdę, to jestem człowiekiem, ale dla ludzi jeżdżących metrem jestem myszą. Widziałeś nas na torach.

Wolno pokręciłem głową.

– Jesteś niezłym łgarzem, nie?

– Nie.

– Śmieszne, nie wyglądasz jak mysz.

– Wyglądam – powiedziała. – Kiedy chcę.

Uczucie niepewności powróciło. Już prędzej bym sobie umiał poradzić z włóczęgami niż z czymś takim. Zerknąłem na ślepca zastanawiając się, czy i on jest równie szalony jak ta kobieta. W tym momencie bardzo chciałem być razem z Donnym i jak najszybciej odejść z nim z tego miejsca. Ale pozwoliłem im odebrać sobie Donny'ego.

– Nie bój się – powiedziała kobieta, jakby czytając mi w myślach. Chociaż to co czułem, malowało się na pewno całkiem wyraźnie na mojej twarzy.

– Nie zrobimy ci nic złego. Nie jesteśmy szaleńcami. Prawdę mówiąc możemy być najbardziej zdrowymi na umyśle ludźmi na świecie. Nie mamy żadnych bolączek.

Przeciągnęła się ospale, a potem opuściła ręce.

– Potrzebny jest jedynie odpowiedni rodzaj iluzji – powiedziała – i wszystkie zmysły można oszukać: wzrok, zapach, dotyk, wszystko. Ukradziona tabliczka czekolady może się zmienić w wystawną kolację. Myszy w ludzi. I ludzie w myszy – gdy patrzyłem, jej kształty zaczęły się zmieniać. Ramiona i nogi chudły, a tors stawał się grubszy, głowa spłaszczała się, twarz wyciągała w pyszczek. Jej ubranie zmieniało się w szare futro, a z kręgosłupa wyrósł jej długi, cienki ogon. Była myszą – myszą wielkości człowieka, całą pokrytą futrem, o bystrych oczach.

Opuściła się na cztery łapy i powoli zrobiła krok w moim kierunku. Cofnąłem się. Otworzyła pyszczek ukazując ostre siekacze, ale odezwała się ludzkim głosem.

– Nie zranię cię, nie masz się czego obawiać.

Zamknęła pyszczek chowając zęby i podeszła bardzo blisko. Siedziałem napięty, gotowy do ucieczki i jednocześnie sparaliżowany, zafascynowany transformacją, której świadkiem byłem przed chwilą. Podeszła tak blisko, że aż musnęły mnie jej drgające wąsy. Były jak z grubego drutu.

Przyłożyła pyszczek do mojej twarzy – zimny i wilgotny, i polizała mój policzek. Położyła mi łapy na ramionach i przyciągnęła mnie do siebie. Jej futro było gładkie i połyskliwe.

– Widzisz – szepnęła – nie ma się czego bać.

Znowu mnie przytuliła, a potem usiadła bardzo blisko mnie, zostawiając mi łapę na kolanach. Jak pies. Jak wielki collie.

– To bardzo miłe – powiedziała – być myszą.

W jakiś sposób udało mi się wydobyć głos.

– Ale nie jesteś naprawdę myszą. To znaczy jesteś za duża, żeby być myszą.

– Nie – odpowiedziała. – Jestem wielkości myszy. I ty także. Masz w tej chwili cztery cale wzrostu.

– To śmieszne. – Uśmiechnąłem się.

– Nie ma w tym nic śmiesznego.

– Zahipnotyzowałaś mnie.

„W zasadzie efekt ostateczny, który chcę osiągnąć jest nieosiągalny przy stosowaniu jednej warstwy farb. W większości obrazów zawsze patrzy się przez zewnętrzną warstwę na podkład. Najlepsze błękity wychodzą zawsze wtedy, kiedy spod warstwy niebieskiej farby prześwieca biel. Więc jeśli zmieszasz, powiedzmy, błękit kobaltowy i biel, otrzymasz całkiem niezły błękit, ale będzie on »brudny«. Lecz jeśli nałożysz ten sam błękit kobaltowy na istniejącą już błękitną lub białą powierzchnię, uzyskana barwa będzie o wiele intensywniejsza. Używając dwóch warstw można także uzyskać interesujący efekt stosując barwy dopełniające i przeciwstawne. Można używać jasnej czerwieni i błękitu tuż obok siebie, bez żadnej możliwości zmieszania ich".

Patric Woodroffe



– Niezupełnie.
– Tak, zrobiłaś to i mnie się to nie podoba. Chcę odejść. Gdzie jest mój syn?
– Bezpieczny – odpowiedziała.
– Chcę, żeby tu zaraz przyszedł.
– Nie będzie chciał stąd odejść. Dzieci uwielbiają życie tutaj.
– Nie obchodzi mnie, czy będzie chciał. Pójdzie ze mną do domu, nawet gdybym miał przetrząsnąć całe to miejsce, żeby go znaleźć – zepchnąłem jej łapę z moich kolan i wstałem chwiejąc się zanim uchwyciłem równowagę.
– Dzieci uwielbiają życie tutaj – powtórzyła mysz, która była kobietą. – Szybko się adaptują.
– Chcę mojego syna.
Spojrzała na mnie, stanęła na swych tylnych nóżkach i przeszła transformację w drugą stronę. Mysz przeistoczyła się znowu w kobietę, a futro w dżinsy i bluzę. Skrzyżowała ręce na piersi.
– A więc dobrze – powiedziała. Klasnęła cztery razy w dłonie i w parę chwil później zobaczyliśmy pięcioro roześmianych dzieci, z których jedno było moje.
Donny bez tchu rzucił się w moją stronę.
– Chodź zobaczyć skarby piratów – wykrzyknął.
Wziąłem go za rękę.
– Teraz idziemy do domu, Donny.
Jego twarz wyciągnęła się, uśmiech zamarł.
– Czy musimy?
– Tak. Robi się późno.
Twarz wykrzywiła mu się i przez chwilę wyglądał, jakby miał się rozpłakać. Ale opanował się i zapytał tylko cichym głosem bez wyrazu:
– Ale wrócimy tu niedługo, prawda?
Odwrócił się w stronę czwórki dzieci i pomachał do nich ręką.
– Do zobaczenia.
Popchnąłem go w kierunku tunelu, którym tu przyszliśmy. Ślizgając się i potykając kierowaliśmy się w stronę zewnętrznego świata. Dopiero kiedy dotarliśmy do pierwszych schodów, zorientowałem się, że ślepiec idzie za nami.
– Potrzebujecie mnie – zawołał.
Gwałtownie odwróciłem się w jego stronę.
– Po co?
– Nie możecie wydostać się beze mnie. Ja mam klucze.
– Nie zauważyłem żadnych drzwi.
Uśmiechnął się.
– No dobrze, to idźcie dalej... idźcie beze mnie.
Poszliśmy więc, ale gdy doszliśmy do szczytu drugich schodów, stanęliśmy przed gładką ścianą. Gdy zastukałem w nią, odpowiedział mi głuchy odgłos muru. Ślepiec stał na dole.
– Zgoda, miałeś rację – powiedziałem. – Jak stąd wyjść?
Wydawało mi się, że wspinając się po schodach patrzy prosto na mnie.
– Oni nie chcieli was uwięzić. Ci, którzy do nich dołączają, robią to dobrowolnie.
– Więc gdzie jest wyjście?
Przyłożył dłoń do ściany.
– Wy naprawdę jesteście teraz rozmiarów myszy. Dorosły człowiek nie zmieściłby się tutaj.
– Tak, tak, oczywiście.
– Niektóre z nich są naprawdę myszami. Po pewnym czasie można się nauczyć je rozróżniać.
Donny pociągnął mnie za rękaw.
– Troje z tych dzieci, to były myszy. Pokazali mi je. Powiedzieli, że jeżeli będę chciał, też mogę być myszą.
Spojrzałem na niego.
– Ludzie to nie myszy.
– Ależ tatusiu. Jak w „Kopciuszku".
– To była tylko bajka, Donny.
– Ale ja to widziałem.
Spojrzałem na Wilbura.
– Wyprowadź nas stąd.
Zastukał w ścianę, która stała się mgłą. Widziałem przez nią ludzi idących tunelem. Im bardziej tłum gęstniał, tym mgła zdawała się rzadsza, aż wreszcie zupełnie zniknęła.
– Idźcie – powiedział ślepiec.



Ruszyliśmy przed siebie. Kiedy odwróciłem się, żeby podziękować naszemu przewodnikowi za przygodę, już go tam nie było, a w ścianie tunelu widać było tylko ciemniejsze wgłębienie, w którym nie było żadnych drzwi. Poczułem zimno biegnące mi po plecach i zacząłem iść, ciągnąc Donny'ego za sobą. Gdy doszliśmy do końca tunelu, zerknąłem na zegar ścienny, potem nie wierząc własnym oczom na mój zegarek. Wyglądało tak jakby oba stanęły. Okazało się, że mamy mnóstwo czasu, żeby zdążyć na mecz. Zatrzymałem się koło kiosku z gazetami, żeby zapytać o godzinę. Sprzedawca podał tę samą, którą pokazywały zegarki.
– Tatusiu, jestem głodny – odezwał się Donny.
– Ale przecież dopiero co zjadłeś duży lunch.
– Wiem, ale jeszcze jestem głodny.
Ja także miałem ochotę coś zjeść. Bajkowe posiłki, pomyślałem, nie wystarczają w realnym świecie.
Tak więc poszliśmy na mecz, zjedliśmy hot dogi i nie rozmawialiśmy już o miejscu pod ziemią.

Nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Nie chciałem o tym myśleć. Wydawało mi się, że najlepiej zignorować to całe wydarzenie, potraktować jak dziwny sen. Ale Donny nie miał zamiaru na to pozwolić. Następnej soboty, kiedy jego matka przywiozła go do mnie, pierwszą rzeczą, o którą poprosił, była wizyta u myszy.
– Tych, które mieszkają w śmiesznym miejscu, całym zrobionym z papieru.
– Czy opowiadałeś o nich mamie? – zapytałem.
Skrzywił się jakby ugryzł cytrynę.
– Ona nigdy by nie zrozumiała. A poza tym to jest sekret, pamiętasz? Czy ty opowiadałeś o tym komuś?
– Nikomu. Oczywiście, że to jest sekret. – Zmarszczyłem brwi. – Nie sądzę, żebyśmy powinni je dzisiaj odwiedzać. Naprawdę nie mamy czasu. Pójdziemy do zoo – mają tam dwa nowe lwiątka.
– Tatusiu, tylko na chwilę. To było takie fajne.
– Dzisiaj nie, Donny. Może w przyszłym tygodniu.
Spojrzał mi w oczy.
– W przyszłym tygodniu? Przyrzekasz?
– Jest tyle innych rzeczy, które możemy robić!
– Przyrzeknij, tato. Ty dotrzymujesz obietnic.
– I właśnie dlatego ci nie obiecam, Donny. Nie wiem, kiedy znowu będziemy mogli zobaczyć te... te myszy. Jeżeli w ogóle.
– Dlaczego?
Zacząłem gorączkowo szukać najlepszej wymówki, ale nic nie przychodziło mi do głowy i wreszcie po prostu powiedziałem prawdę.
– Ponieważ ludzie, którzy zamieniają się w myszy, przerażają mnie.
Wziął mnie za rękę i mocno ją trzymał.
– Nie powinieneś się ich obawiać, tatusiu. One nie zrobią ci nic złego.
Ukucnąłem koło niego.
– Czy jesteś tego pewien?
– Są miłe. Nie skrzywdziłyby nikogo. Proszę, odwiedźmy je znowu. To jest cudowne miejsce i te dzieci-myszy opowiadały mi, że jest tam tyle miejsc do zbadania, tyle rzeczy do znalezienia. Ostatnim razem odkryliśmy skarby piratów – klejnoty, srebro, złoto. To było takie fajne!
Potrząsnąłem głową.

– Nie wiem, Donny. Porozmawiamy o tym innym razem, dobrze? Mam całą masę pomysłów...

Zwiesił głowę.

– Dobrze, tato. Jeżeli tak chcesz.

Poszliśmy do zoo. Wydawało mi się, że był zadowolony.

Następnego dnia dowiedziałem się o czymś, co Sheila trzymała dotąd przede mną w tajemnicy. Zatelefonowała. Przenosiła się na Zachodnie Wybrzeże i zabierała Donny'ego ze sobą. Tam czekał na nią narzeczony, nowy ojciec dla jej syna, który znowu będzie miał pełną rodzinę. Sąd zaaprobował to. Ja mogłem go mieć przez parę tygodni w lecie, jeżeli zapłacę za jego bilet lotniczy.

Następnej soboty Donny był przygnębiony. Wiedział, że ja już wiem.

– Wszystko będzie w porządku – mówiłem, kiedy szliśmy trzymając się za ręce w stronę metra. Wybieraliśmy się do muzeum, jak wiele razy przedtem. – Będzisz lubił swój nowy dom. Tam jest zawsze piękna pogoda.

Spojrzał na mnie.

– To nie jest w porządku, prawda? Nie powinna mnie zabierać tak daleko?

– Stara się zrobić to, co dla ciebie najlepsze. Kocha cię.

– Ale ty kochasz mnie także.

– Wiesz, że tak.

– Przyjedziesz mnie odwiedzić?

– Jakoś to ułożymy.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Zeszliśmy na dół do metra i kupiliśmy orzeszki u ślepego sprzedawcy. Donny stał przez dłuższą chwilę patrząc w milczeniu. A ślepy Wilbur wiedział, c z u ł, że coś się zmieniło.

– Czy stało się coś złego? – zapytał.

Donny wsunął orzeszki do kieszeni.

– Wyjeżdżam – odpowiedział. – Już nie będę tutaj więcej przychodził. Moja mama zabiera mnie stąd.

– Mhm – mruknął ślepiec.

W tym momencie Donny odwrócił się, wziął mnie za rękę i weszliśmy w falujący tłum. Ale on szedł szybciej niż ja, zbyt szybko, zgubił moją dłoń i zniknął pomiędzy spieszącymi się ludźmi. Zawołałem jego imię, podskoczyłem usiłując go zobaczyć w tłumie między ludźmi. Przede mną zatrzymał się wagon metra. Przebiegłem przez niego na drugi peron, wołając. Nie było go tam.

Biegłem z powrotem do tunelu, szukając ślepca. Jego też nie było. Nie było orzeszków ani pudełka po cygarach, ani stołka. Wszystko zniknęło. Znowu zacząłem biec. Co innego mogłem zrobić? Znalazłem policjanta, on zawołał paru innych, przeszukali metodycznie całą stację. Nie znaleźli go. Zasugerowali porwanie. Ogłoszono więc, że jest poszukiwany. Cóż było robić, musiałem zadzwonić do Sheili i wysłuchać jej wrzasków, skierowanych przeciwko mnie. Zawsze wiedziała, że to się stanie, powiedziała. Zawsze. Wkrótce potem policja aresztowała mnie pod zarzutem uprowadzenia dziecka. Zaczęły się spotkania w sądzie i z prawnikami, ale nikt nie mógł mi nic dowieść. Nikt nigdy nie wystąpił o okup. Nigdy nie znaleziono ciała. Sheila wreszcie przeprowadziła się na Wybrzeże wraz ze swoim nowym mężem. On także był wściekły, ale tylko ze względu na nią. Sam miał parkę dzieci z poprzedniego małżeństwa i mógł sobie darować pasierba.

Oczywiście wiedziałem, gdzie jest Donny. Chociaż, kiedy tamtędy przechodziłem, we wgłębieniu muru widziałem tylko pustą ścianę. Wiedziałem. Ale jak miałbym to komuś powiedzieć: m ó j s y n z a m i e n i ł s i ę w m y s z? Nie.

Wreszcie wszystko się uspokoiło. Sheila wyjechała, policja przestała za mną łazić i życie wróciło do poprzedniej rutyny. Poza sobotami. Nadal codziennie przechodziłem, idąc do pracy, obok ślepego sprzedawcy orzeszków.

Był tam przez cały czas, nie opuszczał swego miejsca żadnego dnia. Czasami zatrzymywałem się, żeby kupić paczkę. Mówiłem mu dzień dobry. Poznawał mnie. Patrzył w moją stronę w specjalny sposób, tak jakby wiedział i czekał aż coś powiem, coś zrobię. Ale ja nie robiłem nic, nic w czasie, kiedy byłem obserwowany, i jeszcze przez długi czas po tym. Ale nadszedł dzień, sobota, kiedy wybierałem się samotnie na mecz, dzień, w którym tłum nie był tak gęsty jak zazwyczaj, kiedy zatrzymałem się, żeby kupić orzeszki i odezwałem się.

– Chciałbym go zobaczyć.

Ślepiec uśmiechnął się.

– On zawsze pyta o pana,

– Dzisiaj? – zapytałem. – Teraz?

– Myślę, że to się da zrobić.

Drzwi i schody, tunel, kolejne schody były tam gdzie wtedy i nagle znaleźliśmy się w masie skręconego papieru, który był rajem myszy-ludzi. Poczułem się zagubiony idąc przez ten niby las. Ścieżka wydawała się nieznajoma, skręcając i zmieniając kierunek w zaskakujących momentach, jakby całe to miejsce zostało przebudowane, kiedy mnie tu nie było. Otwarta przestrzeń na końcu też wyglądała inaczej – teraz była długa i wąska. W dalszej części pomieszczenia podłoga wznosiła się, a na podwyższeniu stały dwa leża, wyglądające na wygodne, wyścielone jakimś miękkim materiałem, o niskich oparciach i zaokrąglonych bokach. Wyglądały w tym miejscu niestosownie – meble pośród zgniecionego papieru. Jedno z nich zajmowała młoda kobieta – śliczne stworzenie o bladej skórze i długich blond włosach. Miała na sobie lśniącą, niebieską sukienkę i masę biżuterii, złota, klejnotów – pirackich skarbów. Na drugim leżał młody mężczyzna, silny i muskularny, ubrany w strój z czerwonego aksamitu. Na głowie miał złotą koronę. Wyglądał znajomo. Patrząc na niego widziałem twarz, którą oglądałem codziennie w lustrze.

Przypomniałem sobie posiłek, który zjedliśmy tu kiedyś nie tracąc wcale czasu. Z e w n ę t r z n e g o czasu.

Wstał, zbliżyłem się. Poznał mnie od razu.

– Tatusiu – odezwał się miękko.

Spróbowałem się uśmiechnąć. Mój głos drżał nieco, kiedy wreszcie odezwałem się.

– Cześć, Donny.

Wyciągnął rękę. Uścisnąłem ją. Męską dłoń, nie małą łapkę, którą znałem. Trudno było uwierzyć, że nie ma już mojego małego chłopca, a jego miejsce zajął ten mężczyzna. A potem on objął mnie i ja jego i było to dziwne, bardzo dziwne, że jego ręce sięgały wokół mnie. Wreszcie przestaliśmy się ściskać i przyjrzałem się koronie na jego głowie.

– Czy jesteś tutaj królem?

Uśmiechnął się szeroko, zdjął koronę i powiesił na oparciu łoża.

– To coś w rodzaju gry – powiedział. – Niektórzy młodzi ludzie tutaj bawią się w nią. W każdym razie to oczywiście iluzja. Ta korona to metalowy krążek od puszki.

Wskazał w kierunku kobiety nadal siedzącej na drugim miejscu i przyglądającej się nam wielkimi, ciemnymi oczyma.

– To jest Mila, moja przyjaciółka.

– Witaj Milu – powiedziałem.

– Ona jest prawdziwą myszą – wyjaśnił Donny – więc nie mówi. Ale jaka piękna z niej dziewczyna.

Przyglądałem się jej, próbując wyobrazić sobie tę smukłą postać jako okrągłą, szarą mysz, ale nie udawało mi się to. Nie poprosiłem go też, żeby rozwiał iluzję. Nie byłem na to przygotowany.

– Czy przyszedłeś, żeby z nami zostać? – zapytał Donny. – Będzie ci się tu podobało. Ludzie są cudowni. Myszy też.

Popatrzyłem na niego. Wydawało mi się, że widzę w nim zarazem dziecko i dorosłego, syna i kogoś obcego.

– Ile czasu minęło dla ciebie, Donny – zapytałem.

– Prawie dwadzieścia lat.

Pokręciłem głową.

– Dla mnie tylko dwa.

– Starali się mi to wyjaśnić zaraz jak tylko tu przyszedłem, ale nie rozumiałem aż do dnia, kiedy zauważyłem, że Wilbur się wcale nie starzeje. Wtedy zrozumiałem, dlaczego nie przychodzisz mnie odwiedzać.

– Starałem się ciebie chronić – powiedziałem. – Policja mnie obserwowała. Oni myśleli, że to ja... zrobiłem coś z tobą.

Spuścił wzrok.

– Tak mi przykro, tato. Nigdy nie chciałem, żebyś miał przeze mnie jakieś kłopoty.

Łagodnie zapytałem:

– Dlaczego to zrobiłeś, Donny? To było okropne dla twojej matki.

– Nie powiedziałeś jej?

– Jak bym mógł?
Wzruszył ramionami.
– Nie wiem, czy potrafię wytłumaczyć, co wtedy czułem. Szarpany w dwóch kierunkach. Bezradny. Naprawdę kochałem was oboje. Wierzysz mi?
Kiwnąłem głową.
– I bałem się. Wszystko układało się nie tak. To była jedyna droga ucieczki, nie widzisz?
Patrząc na niego pomyślałem, że rozumiem. To była naprawdę nasza wina, Sheili i moja, bo żadne z nas nie chciało z niego zrezygnować.
– Opowiedz mi o tych dwudziestu latach – powiedziałem. Tak wiele mieliśmy do nadrobienia.
Spędziliśmy razem parę godzin, chociaż na moim zegarku minęło tylko kilka minut. Opowiedział mi o swoim życiu, swoich przyjaciołach, zarówno myszach, jak i ludziach. Wielu z nich dołączyło do nich później niż Donny, a niektóre kobiety miały dzieci, ale ich ludzka populacja ciągle była niewielka i byli bardzo szczęśliwi, gdy przybywał ktoś nowy. Zaakceptowali tylko kilka prawdziwych myszy, swoich ulubieńców. Jedynym niebezpieczeństwem dla wszystkich była trutka od czasu do czasu podrzucana przez pracowników służb sanitarnych, ale ich pojawianie się było tak jawne, że przynajmniej ludzie nie mieli trudności z uniknięciem groźby. Pod ziemią było mnóstwo bezpiecznego jedzenia. Wszyscy po kolei wychodzili na peron jako myszy i plądrowali. Na zewnątrz czas biegł dla nich inaczej, więc zawsze musieli się spieszyć, nie chcąc, żeby przyjaciele czekali na nich zbyt długo.
– Z brzegu gniazda – powiedział – można zobaczyć pociągi poruszające się w zwolnionym tempie. B a r d z o wolno. Ale nie słyszy się ich. Mówili nam, że dźwięk jest zbyt niski dla naszych uszu.
– Kto wam mówił?
– Mamy tutaj paru bardzo mądrych ludzi. Dali mi całkiem niezłe wykształcenie.
Trochę zażenowany wziąłem go za ramię.
– Na zewnątrz mogłeś otrzymać lepsze. Dlaczego nie wrócisz ze mną?
Spojrzał na mnie zdumiony.
– Chcesz wracać?
– Oczywiście.
– Tato, podobałoby ci się tutaj. Dlaczego nie zostaniesz?
Potrząsnąłem głową.
– To nie dla mnie. Tu jest zbyt... inaczej. Dziecku łatwo się dostosować, ale ja nie jestem dzieckiem.
– Przychodzą do nas przede wszystkim dorośli.
– Donny, ja wiem, co mam tam i nie chcę tego zostawić.
– Czy ożeniłeś się po raz drugi?
– Nie – uśmiechnąłem się. – Dla mnie naprawdę to nie było długo.
– Przepraszam. Myślałem o tobie jako o... starym.
– Czy wyglądam staro?
– Nie. Wyglądasz tak, jak cię pamiętam. Właśnie tak, jak powinieneś. A kiedy przyjdziesz znów mnie odwiedzić... to j a b ę d ę s t a r y.
– Wrócę niedługo.
– Nawet gdybyś wracał w każdą z t w o i c h sobót, będziesz widział jak ja się starzeję, a dla mnie ty zawsze zostaniesz taki sam. – Potrząsnął głową, ale z uśmiechem. – To jest trochę jak relatywistyka.
– O t y m też cię tutaj uczyli?
– Jest z nami wykładowca fizyki z uniwersytetu. Myślę, że polubiłbyś go.
– Na pewno, ale... dlaczego nie chcesz ze mną wrócić?
Jego uśmiech zbladł.
– Nie. Nie mogę.
– Och, daj spokój. Tylko na trochę. Skoczylibyśmy do kina – przecież tutaj tego nie macie, prawda. Albo na mecz. Nie brakuje ci tego?
Wzruszył ramionami.
– Tutaj życie jest wystarczająco interesujące i bez tego.
– Mógłbyś mieć i jedno i drugie. Twoja matka nie może cię już teraz zabrać. Nie wiedziałaby nawet kim jesteś. Jakiś facet, z którym się nieraz mnie widuje, to nie to samo co mały chłopiec. Nigdy by się nie domyśliła.
Spojrzał mi prosto w oczy.



– Nie, tato, ja nie mogę.
– Nie możesz?
– To jest niemożliwe fizycznie.
– O co ci chodzi?
– Jem tu zbyt mało, żeby dostarczyć masy normalnemu, ludzkiemu ciału. Straciłem tę masę, żyłem dzięki niej, aż doszedłem do punktu, kiedy to co zjem wystarcza mi. I ważę teraz tylko parę uncji, jak prawdziwa mysz. Nie mogę wrócić do normalnej wielkości ludzkiego ciała. Gdybym chciał wyjść z tobą byłbym człowieczkiem o wysokości sześciu cali. Wierz mi, inni już tego próbowali. Kiedy się jest tu przez pewien czas, trzeba już pozostać.
Wstrząśnięty wyszeptałem:
– Czy powiedzieli ci o tym na samym początku?
Kiwnął głową.
– Powiedzieli mi, że jeżeli zostanę, to na zawsze. I oto jestem...
– Ale... ale co by było, gdybyś zmienił zdanie?
– Ten proces trwa parę miesięcy czasu subiektywnego. Mógłbym wrócić i być po prostu... chudy. Miałem wybór. Ale chciałem zostać. Kocham tych ludzi, tatusiu. Oni są dobrzy. I szczęśliwi.
Spojrzałem na niego uważnie.
– A czy t y jesteś szczęśliwy?
– Tak – uśmiechnął się. – Tak.
Przedstawił mnie innym – nauczycielowi fizyki i facetowi od reklam, pośrednikowi w handlu nieruchomościami, agentowi ubezpieczeniowemu i prawnikowi. Kobiecie, którą poznałem poprzednim razem. Miała teraz siwe włosy. Musiała się chwilę zastanowić, żeby sobie mnie przypomnieć. Urządzili dla mnie przyjęcie, wszyscy śmiali się i żartowali. Byli łatwi w kontaktach i pogodni, i nikt nie musiał wychodzić wcześniej, bo czekała na niego praca lub ważne spotkanie. Ale wreszcie zacząłem ziewać.
Odprowadzili mnie wszyscy razem do schodów. W czasie tego nie mającego końca popołudnia straciłem z oczu ślepego sprzedawcę, ale teraz czekał na mnie, stojąc na drugim stopniu schodów.
– Tutaj się pożegnamy – powiedział Donny. – Zajmiesz się nim, prawda Wilbur?
Ślepiec kiwnął głową i zaczął wystukiwać laską swoją drogę w górę. Odwróciłem się, żeby im pomachać, ale już ich nie było, zniknęli w zwariowanym, papierowym lesie.
Teraz moje życie toczy się dzień po dniu tak samo. Co sobota odwiedzam Donny'ego, a on usiłuje przekonać mnie, żebym pozostał. Jest teraz starszy ode mnie i wiem, że w ciągu paru lat go stracę. Ale i tak bym go stracił, gdyby Sheila zabrała go ze sobą. Każdy z nas dokonał wyboru i moje uczucie do niego nie zmusi mnie, żebym porzucił wszystko i został myszą. Ostatecznie teraz obaj jesteśmy dorośli. Każdy z nas ma swoje życie.
Lubię swoją pracę... wystarczająco... i mam dużą szansę, że zajmę miejsce mojego szefa, kiedy on odejdzie na emeryturę. To będzie oznaczało zwiększoną odpowiedzialność, ale myślę, że dam sobie radę i będę to lubił.
A jeżeli kiedykolwiek przestanę... jeżeli stanie się to dla mnie zbyt trudne i będę zagubiony i bezradny jak niegdyś Donny, wiem, tak jak i on, że istnieje wyjście. Na razie codziennie kupuję u Wilbura orzeszki. Oczywiście nie dla siebie.

Przełożyła
Dorota Malinowska

DANTA, ostatni Nowotahitańczyk

Robert Sheckley

(The Native Problem)

Edward Danton był kompletnym nieudacznikiem – pierwsze objawy syndromu antyspołecznego zaczęły się u niego pojawiać jeszcze w wieku dziecięcym. Powinno to stanowić wystarczające ostrzeżenie dla jego rodziców, których obowiązkiem było dostarczyć go natychmiast do kompetentnego psychologa zajmującego się nieletnimi. Ustaliłby on bez wątpienia, który z elementów tworzących dziecięcy świat Dantona przyczynił się do wykształcenia tych antyspołecznych skłonności. Jednakże rodzice Dantona, jakkolwiek przewrażliwieni na swoim własnym punkcie, uznali beztrosko, że ich dziecko po prostu z tego wyrośnie.

Nic takiego jednak nie nastąpiło.

W szkole Danton z wielkim trudem zaliczył Grupowe Przystosowanie Kulturowe, Dopasowanie Braterskie, Rozpoznawanie Wartości, Ocenę Zachowań Środowiskowych i inne przedmioty, których znajomość jest po prostu niezbędna, by móc spokojnie żyć we współczesnym świecie. Danton absolutnie żyć spokojnie we współczesnym świecie nie potrafił.

Minęło sporo czasu, zanim to sobie w pełni uświadomił.

Patrząc na Dantona nikt by się nigdy nie domyślił, że brak mu Zdolności Dopasowania. Był trochę niefrasobliwym, wysokim, atletycznie zbudowanym młodym mężczyzną o zielonych oczach. Miał w sobie coś, co dość wyraźnie oddziaływało na dziewczęta z jego bezpośredniego otoczenia. Kilka z nich obdarzyło go nawet największym ze znanych im komplementów, to znaczy uznało go za odpowiedniego kandydata na męża.

Jednak największa nawet wietrznica nie mogła nie dostrzec jego braków: potrafił na przykład poczuć się śmiertelnie znużony ledwie po kilku godzinach Tańców Masowych, kiedy to prawdziwa zabawa dopiero się zaczynała. Podczas gry w dwunastoosobowego brydża myśli Dantona często gdzieś się rozłaziły i ku zgorszeniu jedenastu pozostałych graczy, musiał prosić o powtórzenie licytacji. A już zupełnie nie do zniesienia był podczas zabawy w Metro.

Starał się bardzo wchłonąć w siebie ducha tej klasycznej gry. Spleciony ciasno ramionami z kolegami z drużyny rzucał się do wagonu kolei podziemnej próbując zawładnąć nim, zanim uda to się szturmującym przez drugie drzwi przeciwnikom. Jego kapitan wrzeszczał: „Naprzód, chłopcy! Jedziemy do Rockaway!", kapitan tamtych ryczał zaś w odpowiedzi: „Nigdy! Gazu, chłopaki! Do Bronx Park albo nigdzie!"

Danton, ze sztucznym uśmiechem na zmarszczonej, zmęczonej twarzy szamotał się w napierającej zewsząd ciżbie. Jego aktualna dziewczyna pytała: „Co się stało, Edward? Chyba dobrze się bawisz?" „Pewnie", odpowiadał Danton, chwytając z trudem oddech. „Właśnie, że nie!", wołała z mieszaniną zdumienia i zakłopotania dziewczyna. „Czy ty nie rozumiesz, że nasi przodkowie w ten właśnie sposób wyładowywali swoje agresje? Historycy twierdzą, że tylko dzięki zabawie w Metro nie doszło do wybuchu wojny jądrowej. My także mamy agresywne skłonności i musimy dawać im upust w akceptowany przez społeczeństwo sposób". „Jasne, wiem o tym", odpowiadał Danton, „Bardzo to lubię i... o Boże!" – w tej chwili bowiem, skandując „Do Canarsie! Do Canarsie!" runęła na nich trzecia, ciasno zbita grupa.

Tak oto tracił kolejną dziewczynę, której trudno było w sumie brać za złe, że nie potrafiła dostrzec zbyt świetlanej przyszłości rysującej się przed nią w razie kontynuowania związku z takim człowiekiem. Braku Zdolności Dopasowania nie można bowiem ukryć czy zamaskować. Oczywiste było, że Danton nigdy nie będzie czuć się dobrze w rozciągających się od Rockport, stan Maine, po Norfolk, stan Virginia, przedmieściach Nowego Jorku. Wątpliwe było, czy istnieje w ogóle takie miejsce, w którym czułby się dobrze.

Próbował jakoś sobie z tym poradzić, ale na próżno. Mało tego, zaczęły się pojawiać nowe problemy: od ciągłego widoku różnych reklam wykształcił mu się astygmatyzm, a dziarskie piosenki zachęcające do kupna tego czy tamtego pozostawiały po sobie przykre dzwonienie w uszach. Lekarz ostrzegł go, że sama tylko analiza objawów nie wyleczy go z tych psychosomatycznych dolegliwości, tym bowiem, czym należało się zająć, była leżąca u podstaw wszystkiego antyspołeczna nerwica. Nią jednak zająć się Danton nie potrafił.

W jego myślach coraz częściej pojawiał się pomysł ucieczki. W kosmosie było pełno miejsca dla ziemskich nieudaczników.

W ciągu ostatnich dwu stuleci poleciało ku gwiazdom miliony psychopatów, neurotyków, schizofreników i w ogóle pomyleńców różnej maści. Statki tych, którzy na ten krok zdecydowali się wcześnie, wyposażone były w napęd Mikkelsena; na doczłapanie z jednego systemu do drugiego potrzebowały dwadzieścia do trzydziestu lat. Nowsze jednostki napędzane były podprzestrzennym konwerterem pól siłowych systemu GM i taką samą podróż odbywały w kilka miesięcy.

Pozostający w domu opłakiwali, jak na społecznie dostosowanych przystało, stratę współobywateli, ale jednocześnie cieszyli się ze zwiększonej liczby nie wykorzystanych zezwoleń prokreacyjnych, które, siłą rzeczy, były wśród nich rozdzielane.

W dwudziestym siódmym roku życia Danton postanowił porzucić Ziemię i ruszyć na podbój Kosmosu. Smutny to był dzień, kiedy jego najlepszy przyjaciel, Al Trevor, otrzymał od niego bezcenny karteluszek.

– O rety, Edward – powiedział Trevor ściskając w palcach drogocenne zezwolenie – nie masz pojęcia, co to dla nas znaczy. Zawsze chcieliśmy mieć dwoje dzieci. Dzięki tobie...

– Nie ma o czym mówić – przerwał mu Danton. – Tam, dokąd lecę, nie będę potrzebował żadnych zezwoleń na rozmnażanie. Możliwe zresztą – dodał, po raz pierwszy uświadamiając sobie taką możliwość – że nie miałbym nawet z kim takiego zezwolenia wykorzystać.

– To jak sobie dasz radę? – zapytał zawsze dbający o sprawy przyjaciela Al.

– Jakoś tam. Zresztą, może po jakimś czasie trafi się jakaś dziewczyna. A poza tym są przecież różne środki zastępcze.

– No pewnie. Który wybierzesz?

– Uprawę warzyw. W końcu raz na jakiś czas mogę być praktycznie myślącym człowiekiem.

– Jasne. W takim razie, powodzenia, chłopie.

Wraz z pozbyciem się zezwolenia prokreacyjnego Danton wkroczył na drogę, z której nie mógł już zawrócić; nie pozostawało mu nic innego, jak przeć twardo do przodu. W zamian za wyrzeczenie się prawa do spłodzenia potomka rząd dawał mu dwuletni ekwipunek i zapewniał darmowy transport do dowolnego zakątka Wszechświata.

Danton natychmiast ruszył w drogę.

Gęściej zaludnione planety wolał omijać z daleka, bowiem znajdowały się one zazwyczaj pod bezwzględnymi rządami małych, spragnionych władzy grupek kolonistów.

Zupełnie na przykład nie podobała mu się Heil V, gdzie totalitarne społeczeństwo złożone z 342 osobników najpoważniej w świecie sposobiło się do podboju Galaktyki.

Nie był też zainteresowany Korani II, gdzie z kolei założonym przez siebie matematycznym imperium rządził gigantyczny komputer.

Zrezygnował także z Planet Rolniczych – smutnych, odizolowanych światów, na których zajmowano się głównie praktycznym potwierdzaniem lub obalaniem różnych ekstremalnych teorii dotyczących wpływu takich czy innych czynników na życie i zdrowie człowieka.

Przelatując koło Hedonii zapragnął zrazu osiedlić się na tej znanej powszechnie planecie. Odwiodły go od tego zamiaru pogłoski o bardzo krótkim okresie życia jej mieszkańców; co prawda nawet autorzy tych pogłosek nie zaprzeczali, że życie na Hedonii, aczkolwiek krótkie, z pewnością nie może być nazwane nudnym.

Danton leciał dalej przed siebie.

Minął Planety Górnicze – ponure, skaliste globy zamieszkałe przez posępnych, skorych do bitki brodaczy. A potem znalazł się już na Nowych Terytoriach; planety były tu nie zamieszkane i wyznaczały najdalszą granię politycznych wpływów Ziemi. Danton zbadał kilka z nich, aż wreszcie trafił na jedną bez jakichkolwiek śladów inteligentnego życia.

Planeta miała łagodny klimat i pokryta była olbrzymim oceanem, napiętnowanym dość gęsto pyszniącymi się soczystą zielenią dżungli, pokaźnych rozmiarów wyspami. Sprawiała wrażenie zasobnej w ryby i wszelkiego rodzaju zwierzynę. Kapitan statku skrupulatnie odnotował objęcie w posiadanie przez Edwarda Dantona planety o nazwie Nowa Tahiti, tak ją bowiem jej nowy właściciel postanowił ochrzcić. Właściciel został następnie wysadzony na największej wyspie i wziął się za budowę obozowiska.

Czekało go sporo pracy. Parę kroków od olśniewająco białej plaży zbudował z gałęzi i trawy małą chatkę. Potem sporządził sobie sieci, trochę sideł i oszczep do polowania na ryby. Założył także warzywnik i z dumą obserwował, jak dzięki tropikalnemu słońcu i padającemu codziennie między 7.00 a 7.30 ciepłemu deszczowi jego warzywa dosłownie z dnia na dzień stają się coraz większe.

Ogólnie rzecz biorąc Nowa Tahiti była rzeczywiście rajskim miejscem i Danton powinien czuć się tutaj bardzo szczęśliwy. Było jednak jedno małe ale...

Warzywnik miał stanowić niezawodny środek zastępczy, odciągający jego myśli od pewnych, ściśle określonych spraw. Pod tym względem absolutnie nie spełnił swego zadania. Danton w dzień i w nocy myślał o kobietach i zawodził smętnie do pomarańczowego księżyca nastrojowe, miłosne ballady.

Było to ze wszech miar niezdrowe. Rzucił się desperacko na inne formy działań zastępczych. Na pierwszy ogień poszło malarstwo, potem wziął się za wydawanie gazety, następnie próbował skomponować sonatę, wreszcie wyrzeźbił z miejscowego piaskowca dwie gigantycznych rozmiarów postacie, wykończył je starannie i zaczął się rozglądać za czymś nowym do roboty.

Niczego takiego nie dostrzegł; warzywa dawały sobie doskonale radę bez niego – jako przybysze z Ziemi nie dały szans miejscowym roślinom. Ryby całymi ławicami wpływały w jego sieci, mięsa też miał pod dostatkiem – wystarczyło tylko zastawić sidła. Znowu więc całe dnie i noce spędzał na rozmyślaniu o kobietach – wysokich i niskich, czarnych i białych, a także o kobietach brązowych.

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy Danton zaczął myśleć z pożądaniem o kobietach marsjańskich – coś takiego nie udało się do tej pory żadnemu Ziemianinowi. Musiał jakoś położyć temu kres. Ale jak?

Nie miał jak wzywać pomocy, nie miał jak uciec z Nowej Tahiti. Zajęty był właśnie ponurą kontemplacją swej sytuacji, kiedy wysoko nad morzem dostrzegł czarną kropkę.

Z zapartym tchem obserwował, jak rosła coraz bardziej, modląc się cały czas w duchu, by nie okazała się jakimś ptakiem czy owadem. Kropka jednak rozrastała się w oczach i wkrótce już mógł dostrzec strzelający z dysz blady płomień zimnego ciągu.



Michał Jędrczak

Statek! Koniec samotności!

Statek lądował długo i bardzo ostrożnie. Danton przebrał się tymczasem w swoje najlepsze pareu, strój z Mórz Południowych, wręcz idealny dla kogoś mieszkającego w klimacie Nowej Tahiti. Wykąpany, ze starannie przylizanymi włosami, obserwował podchodzący do lądowania statek.

Był to jeden z gwiazdolotów wyposażonych jeszcze w archaiczny napęd Mikkelsena. Z tego, co Danton wiedział, wszystkie zostały już dawno wycofane ze służby. Ten jednak, co od razu rzucało się w oczy, musiał być w drodze od bardzo już długiego czasu. Kadłub, o beznadziejnie anachronicznym kształcie, pełen był rys i wgnieceń, a mimo to sprawiał wrażenie, że bez obawy można mu zawierzyć życie. Na dziobie miał wymalowaną wielkimi literami nazwę: „DRUŻYNA HUTTERA".

Kiedy wraca się z długiej kosmicznej wyprawy, najbardziej jest się spragnionym świeżego jedzenia. Zanim „DRUŻYNA HUTTERA" osiadła ciężko na plaży, Danton zebrał i przygotował dla jej pasażerów stos soczystych owoców.

W burcie statku otworzył się niewielki właz; wyszło z niego dwóch uzbrojonych w karabiny, ubranych od stóp do głów na czarno mężczyzn. Rozglądali się ostrożnie dookoła.

Danton rzucił się w ich kierunku.

– Hallo, witamy na Nowej Tahiti! Rany, ludzie, fajnie, żeście przylecieli! Co tam słychać...

Ani kroku dalej! – krzyknął jeden z mężczyzn. Mógł mieć koło pięćdziesiątki, był wysoki i wręcz nieprawdopodobnie chudy, twarz miał nieprzyjemną, pokrytą siecią zmarszczek. Jego stalowoniebieskie oczy zdawały się przewiercać Dantona na wylot. Lufę karabinu wycelował prosto w jego pierś. Drugi mężczyzna miał szeroką twarz, był niewysoki, krępy i bardzo mocno zbudowany.

– Coś nie tak? – zapytał zatrzymując się Danton.

– Jak się nazywasz?

– Edward Danton.

– Ja jestem Simeon Smith – powiedział mężczyzna o pomarszczonej twarzy – komendant wojskowy „DRUŻYNY HUTTERA", a to Jedekiah Franker, mój zastępca. Jakim cudem mówisz po angielsku?

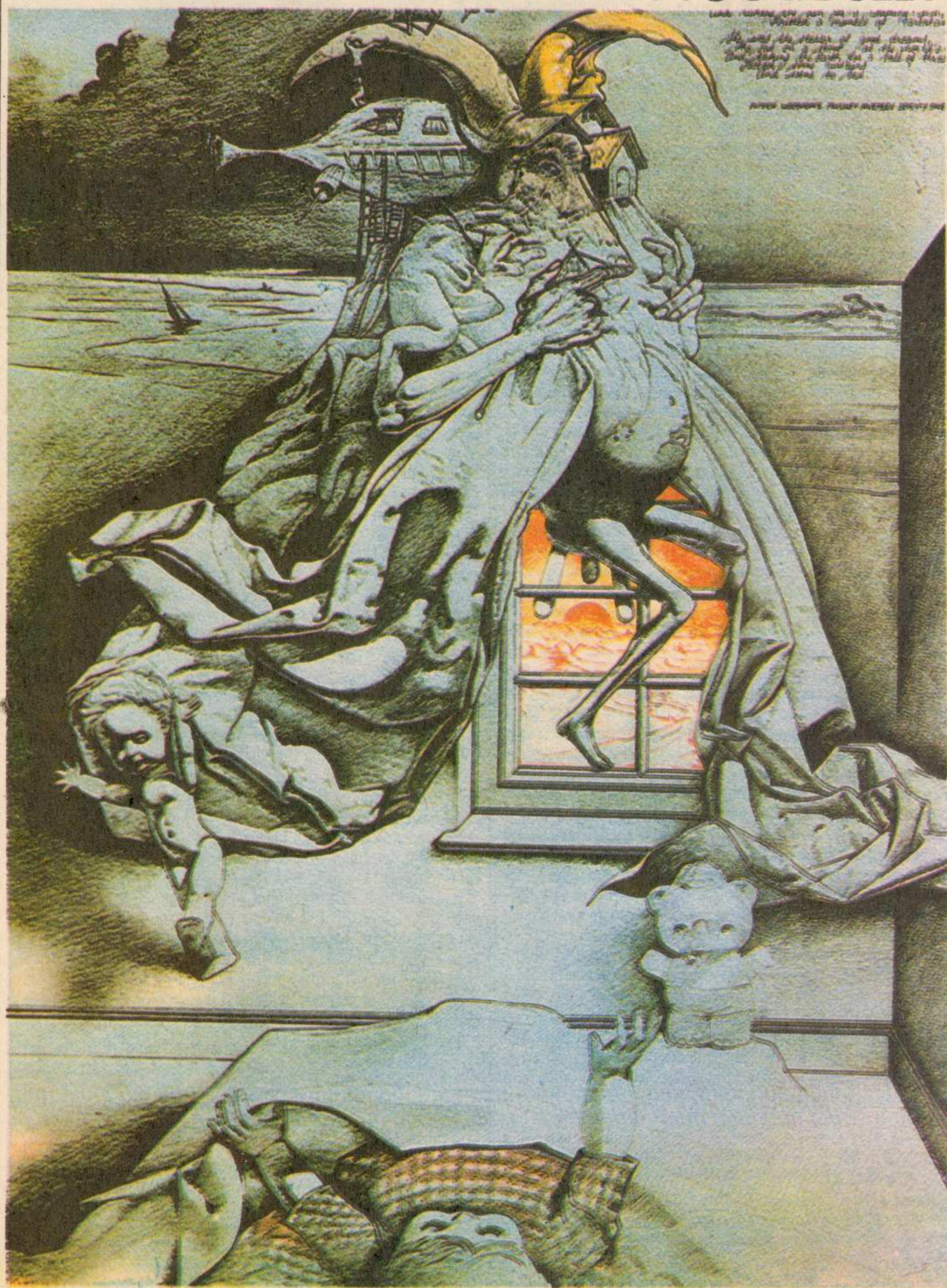
– Zawsze mówiłem po angielsku – wyjaśnił Danton. – Zrozum, ja...

– Gdzie reszta?

– Nie ma żadnej reszty, jestem tylko ja. – Wszystkie iluminatory statku były wypełnione twarzami mężczyzn i kobiet. – Zebrałem trochę tego dla was – powiedział Danton wskazując

„Malarstwo olejne wymaga przede wszystkim systematyczności. Jeśli nie stosujesz się do zasad, nieszczęście gotowe. Dobrym pomysłem jest użycie w podmalówce kolorów ciepłych, później trudno idzie na przykład z czerwienią, za to błękit bardzo dobrze nakłada się na czerwień. Do podmalówki używam tylu kolorów zimnych – palona sjena, czerwień indyjska, surowa umbra – ile tylko możliwe. Żadnych czerni, łatwo je osiągnąć później, chociaż ja sam rzadko używam czerni, długo schną i wyszarzają obraz. Jeśli chcę osiągnąć efekt czerni, kładę błękit lub brąz z błękitem na jakiś inny kolor”.

Patric Woodroffe



na stertę owoców. – Myślałem, że po tak długim locie będziecie mieli ochotę przekąsić coś świeżego.

We włazie pojawiła się śliczna dziewczyna o krótkich, rozczochranych włosach.

– Czy możemy już wyjść, ojcze?

– Nie! – odparł Simeon. – To niebezpieczne. Wracaj do środka, Anito.

– Popatrzę w takim razie stąd – powiedziała, utkwiwszy w Dantonie zaciekawione spojrzenie.

Danton odpowiedział swoim i poczuł, jak przez jego ciało przebiega łagodny, nieznany mu do tej pory dreszcz.

– Przyjmujemy wasze dary – oznajmił Simeon – ale jeść tego nie będziemy.

– Dlaczego? – zapragnął wiedzieć Danton.

– Bo nie wiemy, jakimi truciznami chcecie nas załatwić.

– Truciznami? A może tak byśmy sobie spokojnie porozmawiali?

– Co o tym sądzisz? – zapytał Jedekiah Simeona.

– Jest tak, jak się spodziewałem – odparł komendant. – Przymilny, płaszczący się, bez wątpienia perfidny. Przyszedł sam, bez swoich ludzi. Założę się, że czają się w krzakach. Lekcja poglądowa byłaby tutaj jak najbardziej na miejscu.

– Słusznie, trzeba zaszczepić im lęk przed cywilizacją – powiedział uśmiechnięty Jedekiah i wycelował karabin.

– Hej! – krzyknął Danton, cofając się raptownie.

– Ależ ojcze – wtrąciła się Anita – przecież on jeszcze nic nie zrobił.

– Otóż to. Jak się go zastrzeli, to wtedy już na pewno nic nie zrobi. Dobry tubylec, to martwy tubylec.

– Dzięki temu – dodał Jedekiah – reszta będzie wiedziała, że mamy rzeczywiście poważne zamiary.

– Ale to nie fair! – zawołała z oburzeniem Anita. – Rada...

– ... nie ma teraz nic do gadania. Lądowanie na obcym terytorium stwarza sytuację zagrożenia, a wtedy o wszystkim decyduje wojsko. Zrobimy to, co uznamy za stosowne. Pamiętacie chyba, co było na Lan II?

– Poczekajcie chwilę – odezwał się Danton. – Wszystko pomieszaliście. Nie ma tu nikogo oprócz mnie, po co więc...

Pocisk wzbił fontannę piasku tuż przy jego lewej stopie. Rzucił się do ucieczki, szukając schronienia w gęstwinie dżungli. Druga kula świsnęła w powietrzu, a trzecia, kiedy już dawał nura w gęste poszycie, ścięła tuż przy jego głowie małą gałązkę.

– Dobra! – usłyszał ryk Simeona. – To powinno ich czegoś nauczyć!

Danton zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy między nim a statkiem było pół mili splątanej dżungli.

Spożywając lekki obiad złożony z miejscowej odmiany bananów i owoców drzewa chlebowego próbował zrozumieć, o co właściwie chodziło Drużynie Huttera. Może byli szaleni? Widzieli przecież, że jest Ziemianinem – samotnym, nieuzbrojonym i o jak najbardziej pokojowych zamiarach. A mimo to w ramach jakiejś lekcji poglądowej o mało go nie zabili. Dla kogo była ta lekcja przeznaczona? Dla ohydnych tubylców, którym należało dać nauczkę...

Otóż to! Danton pokiwał głową z przekonaniem. Ci z Drużyny Huttera myśleli zapewne, że mają do czynienia z miejscowym dzikusem i że cała horda jemu podobnych czeka w krzakach na pierwszą okazję, by dokonać masakry przybyszów. Szczerze mówiąc, trudno było im się dziwić. Znajdował się przecież na odległej planecie, bez statku i kiedy ujrzeli go paradującego tylko w opaleniźnie i skromnej przepasce na biodrach...

Musiał przedstawiać sobą widok pasujący jak ulał do ich wyobrażeń o zamieszkujących dziewicze planety dzikusach. Tylko gdzie, według nich, zdołał nauczyć się angielskiego?

Cała ta historia była beznadziejnie głupia. Ruszył z powrotem w kierunku statku, pewien, że w ciągu paru minut będzie w stanie wyjaśnić wszelkie nieporozumienia. Jednak po kilku metrach stanął.

Zbliżał się wieczór. Niebo za jego plecami pełne było białych i szarych chmur, od strony morza nadciągała gęsta mgła, nieszkodliwych, jak się o tym już nie raz zdążył przekonać. Przybysze jednak mogli mieć na ten temat akurat odwrotne zdanie.

Jak go nauczyło niedawne doświadczenie, mechanizmy spustowe ich karabinów były bardzo dobrze naoliwione. Wyleźć teraz na plażę równało się pewnej kuli w łeb. Poruszał się z największą ostrożnością – ciemnoskóra postać ginąca w splątanym tle zielonobrązowej dżungli. Ostatni odcinek drogi przebył czołgając się przez gęste poszycie. Dotarł do skraju lasu i wyjrzał na schodzącą do morza plażę.

Przybysze zdecydowali się jednak na opuszczenie statku. Wśród kilkunastu kobiet i mężczyzn Danton dostrzegł także kilkoro dzieci. Wszyscy pocili się niemiłosiernie w ciężkich, okrywających ich dokładnie, czarnych strojach. Przyniesione przez niego owoce leżały nietknięte, a na rozstawiany właśnie aluminiowy stół przynoszono potrawy z chłodni.

Na skraju zebranego na plaży niewielkiego tłumu Danton dostrzegł kilku mężczyzn objuczonych karabinami i pasami z zapasowymi ładunkami. Stali bez wątpienia na straży. Obserwowali uważnie ścianę dżungli, zerkając od czasu do czasu z niepokojem na ciemniejące niebo.

Simeon uniósł w górę ręce i natychmiast zapadła cisza.

– Przyjaciele – zwrócił się do zebranych – znaleźliśmy nareszcie dom, którego tak długo przyszło nam szukać. Spójrzcie tylko – oto kraj mlekiem i miodem płynący, hojny i zasobny we wszelkie dary Natury. Warto chyba było tak długo czekać, tak usilnie szukać, narażać się na takie niebezpieczeństwa?

– Tak, bracie! – odpowiedział tłum.

Simeon ponownie uciszył ich gestem uniesionych rąk.

– Nikt jeszcze nie zaszczepił na tej ziemi cywilizacji. Przybyliśmy tu pierwsi i do nas ona należy. Czekają na nas jednak nie same tylko radości! Kto wie na przykład, jakie potwory kryją się w gęstwinie tej dżungli?

– Największe są prawie wielkości wiewiórki – mruknął pod nosem Danton. – Czemu mnie o to nie zapytają? Przecież bym im powiedział.

– Kto wie, co za bestie żyją w głębinach tego morza? – mówił dalej Simeon. – Tego nie wiemy, ale wiemy za to co innego: mieszkają tu tubylcy – nadzy, dzicy, z pewnością podstępni, bezlitośni i amoralni – słowem, tacy, jak wszyscy tubylcy. Musimy się ich strzec. Będziemy żyć z nimi w pokoju, o ile nam na to pozwolą. Obdarujemy ich owocami cywilizacji i kwiatami kultury. Być może będą sprawiać wrażenie przyjaźnie do nas nastawionych, ale pamiętajcie o jednym: nigdy nie można być pewnym, co się dzieje w sercu dzikusa. Zasady moralne, jakimi się kierują, są diametralnie różne od naszych. Nie wolno im zaufać! Musimy być zawsze czujni! A w razie czego – strzelać jako pierwsi! Pamiętacie przecież, co nas spotkało na Lan II.

Przemówienie zostało nagrodzone długotrwałymi oklaskami, po czym odśpiewano hymn i zabrano się do wieczornego posiłku. Wraz z nadejściem nocy na statku zapłonęły potężne światła, wypłaszając ciemność z zajętej przez przybyszów plaży. Nerwowo przygarbieni strażnicy chodzili tam i z powrotem z karabinami gotowymi do strzału.

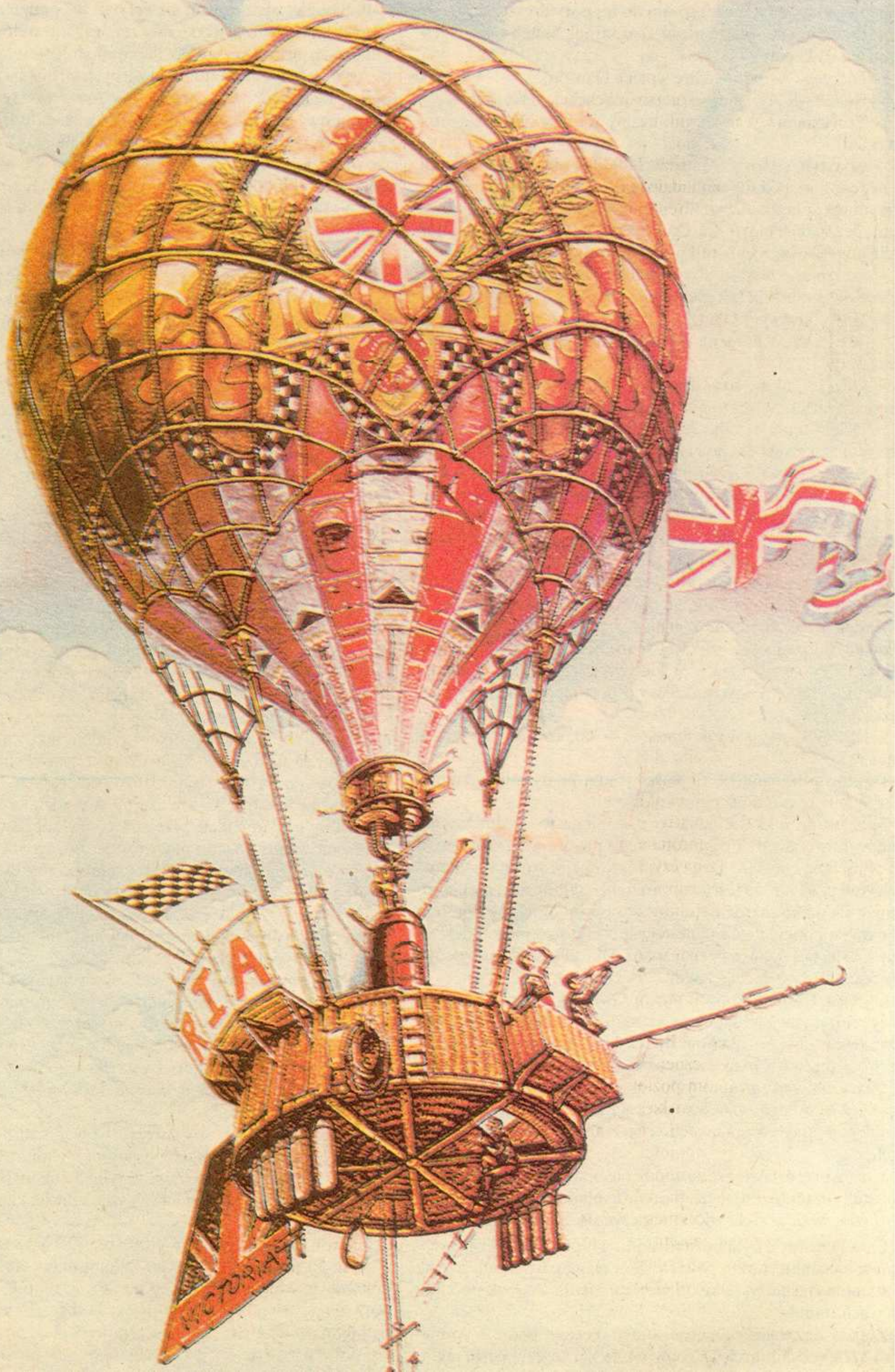
Danton obserwował, jak osadnicy wyciągają z bagaży swoje śpiwory i udają się na spoczynek w cieniu ogromnego kadłuba. Nawet strach przed ewentualnym atakiem nie był w stanie zmusić ich do spędzenia jeszcze jednej nocy we wnętrzu statku, szczególnie kiedy alternatywę dla jego dusznego wnętrza stanowiło czyste, świeże powietrze, którym tak lekko i przyjemnie było oddychać.

Wielki, pomarańczowy księżyc Nowej Tahiti skrył się do połowy za zawieszonymi gdzieś wysoko chmurami. Strażnicy klęli pod nosem i starali się trzymać jak najbliżej siebie. Wkrótce zaczęła się kanonada – rozstrzeliwali każdy podejrzany cień i odgłos.

Danton cofnął się nieco w głąb dżungli. Noc spędził za chroniącym go przed zabłąkanymi kulami drzewem. Po namyśle doszedł do wniosku, że chyba nie jest to najodpowiedniejsza pora dla wyjaśniania czegokolwiek. Ludzie z Drużyny Huttera byli jednak ciut zbyt popędliwi. Najlepiej będzie wytłumaczyć wszystko przy dziennym świetle w sposób prosty, rozsądny i

„Naprawdę nie rozumiem, dlaczego rozróżnia się artystów i ilustratorów. Dla mnie przynajmniej najlepsi artyści są i tak ilustratorami. Niektórzy ludzie mówią czasem o obrazie »literackim« tak, jakby to był zarzut. Nie rozumiem, czemu musisz być bardzo abstrakcyjny albo bardzo reklamiarski, by zrobić coś wartościowego".

Patric Woodroffe



Kłopot polegał na tym, że przybyszów w żaden sposób nie można było nazwać rozsądnymi.

Rano wszystko jeszcze wyglądało obiecująco. Danton pozwolił Drużynie Huttera zjeść spokojnie śniadanie, a potem wyszedł spomiędzy drzew na plażę.

– Stój! – wrzasnęły straże.

– Dzikus wrócił! – zawołał jeden z osadników.

– Mamuuusiu! – zapłakał jakiś chłopczyk. – Ja nie chcę, żeby mnie ten brzydki pan pożarł!

– Nie bój się, kochanie – uspokajała go matka – tatuś ma specjalną strzelbę na dzikusów.

Ze statku pośpiesznym krokiem wyszedł Simeon.

– Dobra, ty tam! Możesz podejść!

Danton, czując jak w skórę wbijają mu się drażniące igiełki niepokoju, ruszył ostrożnie przez plażę. Zbliżył się do Simeona, cały czas trzymając na widoku swoje puste ręce.

– Jestem dowódcą tych ludzi – powoli i wyraźnie, jakby rozmawiał z dzieckiem, powiedział Simeon. – Ja wielki szef mój ludzie. Ty wielki szef twój ludzie?

– Nie wiem, czemu pan w ten sposób do mnie mówi. Ledwo pana rozumiem – odparł Danton. – Wyjaśniłem panu już wczoraj, że oprócz mnie nikogo więcej tu nie ma.

Zawzięta twarz Simeona pobladła z gniewu.

– Mów lepiej prawdę, bo jak nie, to tego pożałujesz. No więc, gdzie jest twój szczep?

– Jestem Ziemianinem! – wrzasnął Danton. – Głuchy jesteś? Nie słyszysz, co mówię?

Podszedł do nich Jedekiah, a wraz z nim niski, przygarbiony, sinowłosy człowiek z wielkimi, rogowymi okularami na nosie.

– Zdaje mi się – zwrócił się do Simeona – że nie miałem jeszcze przyjemności poznać naszego gościa.

– Profesorze Baker, ten dzikus utrzymuje, że jest Ziemianinem i że nazywa się Edward Danton.

Profesor jednym długim spojrzeniem obrzucił opaloną skórę, skąpy strój i bose stopy Dantona.

– Więc jesteś Ziemianinem? – zapytał go.

– Oczywiście.

– A kto wyrzeźbił te posągi na plaży?

– Ja – przyznał Danton – ale to była po prostu forma terapii. Otóż, widzi pan...

– Rzeźby te są ponad wszelką wątpliwość dziełem jakiegoś prymitywnego ludu. Ta stylizacja, charakterystyczna linia nosa...

– To pewnie przypadkiem. Niech pan posłucha: kilka miesięcy temu opuściłem Ziemię na statku...

– Jaki miał napęd? – przerwał mu profesor Baker.

– Podprzestrzenny konwerter pól siłowych systemu GM.

Baker skinął głową i Danton mówił dalej.

– No więc, zależało mi na czymś innym niż Korani czy Heil V, Hedonia też niezbyt mi odpowiadała, dałem sobie spokój z Planetami Górniczymi i Rolniczymi, aż wreszcie wylądowałem tutaj. Planeta jest zarejestrowana na moje nazwisko pod nazwą Nowa Tahiti. Zaczynało mi się tu jednak trochę nudzić, więc cieszę się, żeście tu przylecieli.

– I jak, profesorze? – zapytał Simeon. – Co pan o tym myśli?

– Zadziwiające – mruknął Baker – doprawdy zadziwiające. Poziom opanowania potocznej odmiany angielskiego świadczy o stosunkowo wysokim poziomie inteligencji, co z kolei naprowadza nas na trop zjawiska często spotykanego w niedorozwiniętych społeczeństwach, a mianowicie nieprawdopodobnie zaawansowanej umiejętności kamuflażu. Nasz przyjaciel Danta (tak bowiem najprawdopodobniej brzmi jego prawdziwe imię) powinien stać się dla nas niewyczerpanym źródłem plemiennych legend, mitów, pieśni, tańców...

– Ale ja jestem Ziemianinem!

– Niestety, mój biedny przyjacielu – poprawił go delikatnie profesor – nie jesteś. Z pewnością natomiast musiałeś kiedyś spotkać jakiegoś Ziemianina, na przykład wędrownego kupca, który wylądował tu dla dokonania jakichś napraw.

– Odkryliśmy ślady świadczące o tym, że kiedyś zatrzymał się tu na krótko jakiś statek – powiedział Jedekiah.

– No proszę – pokiwał głową profesor Baker. – Oto potwierdzenie mojej hipotezy.

– Właśnie tym statkiem tutaj przyleciałem – próbował wyjaśnić Danton.

– Na uwagę zasługuje również sposób – kontynuował mentorskim tonem profesor Baker – w jaki ta niemalże wiarygodna historia, w wielu swoich kluczowych punktach, przeradza się w najczystszej wody fantazję. Na przykład ów „podprzestrzenny konwerter pól siłowych systemu GM", jakim miał być jakoby napędzany mityczny statek naszego przyjaciela, jest bezsensownym nowotworem leksykalnym, jako że jedynym używanym w badaniach dalekiego Kosmosu napędem jest napęd Mikkelsena. Nasz przyjaciel twierdzi także, że jego podróż z Ziemi trwała kilka miesięcy, a wiemy przecież, że takiej prędkości nie jest w stanie, nawet teoretycznie, zapewnić statkowi ż a d e n napęd. Tego rodzaju twierdzenia Danty są spowodowane tym, że jego niewykształcony i niedorozwinięty umysł nie jest po prostu w stanie wyobrazić sobie podróży trwającej całe lata.

– A może wynaleziono taki napęd już po waszym odlocie? – zapytał Danton. – Jak długo byliście w drodze?

– „DRUŻYNA HUTTERA" opuściła Ziemię sto dwadzieścia lat temu – pobłażliwym tonem wyjaśnił Baker. – Obecna jej załoga to głównie czwarte i piąte pokolenie. Proszę zwrócić także uwagę – kontynuował już wyłącznie na użytek Simeona i Jedekiaha – na jego wysiłki zmierzające do podania nam brzmiących możliwie wiarygodnie nazw własnych; słowa takie jak „Korani", „Heil", „Hedonia", brzmią dla niego dobrze – prawdopodobnie są to jakieś onomatopeje. To, że takie miejsca nie istnieją, nie ma dla niego żadnego znaczenia.

– Właśnie, że istnieją! – zaperzył się Danton.

– Gdzie? – zaatakował Jedekiah. – Podaj mi współrzędne!

– A skąd mam je niby znać? Nie jestem nawigatorem. Zdaje się, że Heil jest gdzieś koło Boötes, czy może Kasjopei... Nie, to na pewno było Boötes...

– Przykro mi, przyjacielu – powiedział Jedekiah – ale może zainteresuje cię informacja, że jestem nawigatorem tego statku. Mogę ci pokazać atlasy i mapy gwiazdowe. Nazw, które wymieniłeś, z pewnością na nich nie znajdziesz.

– Twoje mapy są o sto lat przestarzałe!

– Więc gwiazdy też – odparł Simeon. – A teraz, Danta, gdzie są twoi ludzie? Dlaczego się przed nami kryją? Co planują?

– To niedorzeczność – zaprotestował Danton. – Jak mam was przekonać? Jestem Ziemianinem, urodziłem się i wychowałem...

– Dosyć tego – przerwał mu Simeon. – Byle dzikus nie będzie nam tu pyskował. Dosyć tego, Danta. Gdzie są twoi ludzie?

– Nie ma nikogo oprócz mnie – upierał się Danton.

– Zawiązany języczek? – zazgrzytał zębami Jedekiah. – A może damy powąchać...

– Potem, potem – wtrącił się Simeon. – Przyjdą tu wkrótce po upominki. Wszyscy tubylcy tak robią. A tymczasem, Danta, możesz pomóc przy rozładunku.

– Dziękuję bardzo, ale wolę...

Pięść Jedekiaha strzeliła błyskawicznie, trafiając Dantona w bok szczęki. Zatoczył się, z trudem utrzymując się na nogach.

– Szef powiedział: „Nie pyskować!" – ryknął Jedekiah. – Czemu wszystkie dzikusy to takie śmierdzące lenie? Zapłacimy ci, jak tylko wyładujemy paciorki i perkal.

Dyskusja wyglądała na zakończoną. Danta, ogłupiały i otumaniony, podobnie jak przed nim miliony tubylców na tysiącach innych planet, dołączył do długiego ogonka kolonistów podających sobie wyciągane z ładowni towary.

Późnym popołudniem wyładunek został zakończony i można było nareszcie odpocząć. Danton siedział na uboczu, próbując wykombinować jakieś wyjście z tej sytuacji. Był głęboko w tych rozważaniach pogrążony, kiedy podeszła do niego Anita z menażką wody.

– Czy ty też myślisz, że jestem tubylcem? – zapytał.

Usiadła przy nim i powiedziała:

– A czy możesz nim nie być? Każdy przecież wie, jak szybko może lecieć statek...

– Wiele się zmieniło od chwili, kiedy opuściliście Ziemię. Chyba nie lecieliście cały ten czas?

– Oczywiście, że nie. Najpierw wylądowaliśmy na H'gastro I, ale że ziemie nie były tam zbyt żyzne, następne pokolenie przeniosło się na Ktedi. Tam jednak zboże przeszło jakąś mutację, w wyniku której o mało nie doszło do zagłady wyprawy. Za następny cel obrano więc Lan II. Wszyscy mieli nadzieję, że będą to już ostatnie przenosiny.

– I co się stało?

– Tubylcy – westchnęła Anita. – Z początku nawet wydawało się, że są dość przyjaźnie nastawieni i wyglądało na to, że panujemy nad sytuacją. Aż tu nagle pewnego dnia znaleźliśmy się ni stąd, ni zowąd w stanie wojny z całą tubylczą ludnością. Mieli tylko maczugi i dzidy, ale było ich zbyt wielu, toteż odlecieliśmy i przybyliśmy tutaj.

– Hmm – mruknął Danton – teraz rozumiem, czemu tak nieufnie odnosicie się do tubylców.

– Właśnie. W razie najmniejszego nawet zagrożenia przechodzimy pod rozkazy wojskowych. To znaczy mego ojca i Jedekiaha. Kiedy niebezpieczeństwo mija, ster przejmują na powrót władze cywilne.

– To znaczy?

– Rada Starszych, naprawdę dobrzy ludzie, brzydzący się przemocą. Jeżeli tobie i twoim ludziom rzeczywiście zależy na pokoju...

– Nie mam żadnych ludzi – znużonym tonem zaprotestował Danton.

– ...to pod rządami Rady Starszych będziecie mogli wieść spokojne i szczęśliwe życie – dokończyła Anita.

Siedzieli obok siebie obserwując zachód słońca. Danton widział, jak zwichrzone wiatrem włosy przytulały się miękko do jej czoła i jak odblask tonącego w oceanie słońca zarysowuje i uwypukla linię jej warg i policzka. Wstrząsnął nim dreszcz, który wytłumaczył sobie wieczornym chłodem. Anita, która cały czas opowiadała mu z ożywieniem o swoim dzieciństwie zdawała się nagle mieć kłopoty z utrzymaniem wątku. Zdania rwały się coraz bardziej...

Ich dłonie nie musiały szukać się zbyt długo. Koniuszki palców zetknęły się delikatnie i tak już zostały. Przez długi czas nie padło ani jedno słowo. A potem, lekko i jakby z ociąganiem, pocałowali się.

– Co tu się dzieje, do cholery? – zażądał wyjaśnień jakiś donośny głos.

Danton zerknął w górę i ujrzał stojącego nad nim tęgiego mężczyznę, którego potężna głowa otoczona była aureolą pomarańczowego księżyca. Zaciśnięte w pięści dłonie miał wsparte na biodrach.

– Proszę cię, Jedekiah – odezwała się Anita – tylko nie rób sceny.

– Wstawaj – polecił Jedekiah Dantonowi złowieszczo spokojnym głosem. – Wstawaj na nogi.

Danton stanął, trzymając ręce w pogotowiu i czekał.

– Jesteś hańbą dla Drużyny Huttera i dla całej swojej rasy – zwrócił się Jedekiah do Anity. – Czyś ty oszalała? Jak można mieć choć odrobinę szacunku do siebie szlajając się z jakimś brudnym dzikusem? A ty – to już było przeznaczone dla Dantona – słuchaj uważnie i lepiej, żebyś to sobie dobrze zapamiętał: wara dzikusom od kobiet z Drużyny Huttera! A teraz wbiję ci tę lekcję do głowy!

Nastąpiła krótka szarpanina i Jedekiah znalazł się na ziemi.

– Na pomoc! – ryknął. – Tubylcy atakują!

Na statku rozdźwięczał się alarmowy dzwonek, nocną ciszę przeszył jęk syren. Kobiety i dzieci, dobrze przygotowane na taką ewentualność, w karnych oddziałach zniknęły we wnętrzu statku. Mężczyźni, w których rękach pojawiły się momentalnie karabiny, pistolety maszynowe i granaty, ruszyli w kierunku Dantona.

– To było jeden na jednego! – zawołał Danton. – Trochę się posprzeczaliśmy, to wszystko. Nie ma żadnych tubylców, tylko ja.

– Anita, cofnij się, szybko! – rozkazał najbardziej wysunięty z napastników.

– Nie widziałam żadnych tubylców – protestowała gorąco dziewczyna – a poza tym to nie była wina Danty...

– Cofnij się!

Odciągnięto ją na bok. Zanim odezwały się karabiny, Danton zdołał dać nura w krzaki. Pięćdziesiąt metrów przebył na czworakach, potem wstał i rzucił się do szaleńczej ucieczki.

Na szczęście nikt z Drużyny Huttera nie miał zamiaru go ścigać. Zainteresowani byli jedynie obroną statku i utrzymaniem małego przyczółka, składającego się ze skrawka plaży i przylegającego do niego wąskiego paska dżungli. W nocnej ciszy rozbrzmiewały strzały, wrzaski i dzikie okrzyki.

– Tam jest jeden!

– Prędko, obracaj ten karabin! Okrążyli nas!

– Tam! Tam! Mam jednego.

– Uciekł! Tam ucieka!... Na drzewie, uważaj, na drzewie!

– Strzelaj, człowieku, strzelaj!

Przez całą noc Danton przysłuchiwał się odgłosom walki Drużyny Huttera z wyimaginowanym przeciwnikiem.

Nad świtem ogień ustał. Przez noc zdołano wystrzelić około tony ołowiu, zdekapitowano setki drzew, całe hektary trawy wdeptano w błoto. Dżungla śmierdziała kordytem.

Danton zapadł w niespokojną drzemkę.

Około południa obudził go trzask łamanych gałęzi i deptanych krzewów. Ktoś przedzierał się przez dżunglę. Cofnął się głębiej w gęsty las i przyrządził sobie obiad z miejscowej odmiany bananów i mango. Potem postanowił wszystko dokładnie przemyśleć.

Zupełnie jednak nie mógł się skupić. Umysł miał bez reszty zaprzątnięty Anitą i rozpaczą z powodu jej utraty.

Resztę dni spędził na ponurym łażeniu bez celu i bez sensu. Późnym popołudniem ponownie usłyszał, jak ktoś przedziera się przez gęstwinę.

Zawrócił już by skryć się w głębi wyspy, kiedy ten ktoś zawołał go po imieniu:

– Danta! Danta! Zaczekaj!

To był głos Anity. Danton zawahał się, nie wiedząc, co ma począć. Może porzuciła statek, by żyć z nim w głębi zielonej dżungli? Bardziej jednak prawdopodobne było, że wysłano ją jako przynętę i że w krzakach za nią czai się cały oddział z gotowymi do strzału karabinami. Skąd miał wiedzieć, czy może jej zaufać?

– Danta! Gdzie jesteś?

Uświadomił sobie, że przecież i tak nigdy nie będzie im dane się połączyć. Nigdy mu nie zaufają, jego życie będzie zawsze wisiało na włosku...

– Danta, proszę!

Danton wzruszył ramionami i skierował się w stronę, z której dochodził jej głos.

Spotkali się na małej polance. Choć Anita miała włosy w nieładzie, a ubranie wisiało na niej w strzępach, to dla Dantona była i tak najpiękniejszym zjawiskiem na świecie. Przez moment uwierzył, że uciekła, by zacząć z nim nowe życie.

Potem pięćdziesiąt metrów za nią zobaczył uzbrojonych mężczyzn.

– Nie bój się – powiedziała Anita. – Nic ci nie zrobią. Są tu tylko po to, żeby mnie bronić.

– Bronić cię? Pewnie przede mną? – zaśmiał się ponuro Danton.

– Nie znają cię tak dobrze jak ja – odparła Anita. – Dzisiaj zebrała się Rada Starszych. Wszystko im powiedziałam.

– Wszystko?

– Oczywiście. Powiedziałam im, że to nie ty sprowokowałeś bójkę i że walczyłeś w obronie własnej i że Jedekiah kłamał. Nie było żadnej hordy tubylców, tylko ty jeden. Tak im powiedziałam.

– Dzielna dziewczyna! – zawołał z zapałem Danton. – I co, uwierzyli ci?

– Chyba tak. Wytłumaczyłam im, że atak tubylców nastąpił później.

Danton jęknął.

– O rany, jak mógł nastąpić jakiś atak tubylców, skoro żadnych tubylców nie ma?

– Ależ są – odparła Anita. – Słyszałam ich krzyki.
– Słyszałaś krzyki waszych ludzi.
Danton próbował intensywnie znaleźć jakiś sposób, żeby ją przekonać. Jeżeli nie uda mu się to z jedną dziewczyną, to jak niby ma sobie poradzić z całą Drużyną Huttera?
I wtedy nadeszło olśnienie. Pomysł sam w sobie był bardzo prosty, ale jego efekty musiały, po prostu musiały być olbrzymie.
– Jak rozumiem, jesteście przekonani, że byliście obiektem frontalnego ataku ze strony tubylców?
– Naturalnie.
– Ilu było tych tubylców?
– Słyszałam, że stosunek sił wynosił 10:1 na waszą korzyść.
– I byliśmy uzbrojeni?
– Oczywiście.
– Jak więc w takim razie wytłumaczysz fakt – z triumfem w głosie zapytał Danton – że ani jeden z waszych ludzi nie został ranny?
Spojrzała na niego rozszerzonymi ze zdziwienia oczyma.
– Ależ, Danta, mój drogi! Wielu naszych zostało rannych, niektórzy nawet ciężko. Dziwne, że nikt nie został zabity!
Danton poczuł, jak ziemia chwieje mu się pod nogami. Przez jedną straszliwą chwilę uwierzył we wszystko, co mówiła. Ci ludzie byli święcie przekonani, że to, co mówią, jest najszczerszą prawdą! Może rzeczywiście miał swoje plemię, może rzeczywiście w dżungli kryli się ciemnoskórzy, jak on, tubylcy, czyhający na pierwszą okazję, by...
– Ten kupiec, który nauczył cię angielskiego – mówiła dalej Anita – musiał być człowiekiem bez skrupułów. Prawo międzygwiezdne zabrania sprzedaży broni palnej mieszkańcom zacofanych planet. Mam nadzieję, że kiedyś go złapią i...
– Broni palnej?!
– Właśnie. Oczywiście nie potraficie jej zbyt dobrze używać, ale Simeon mówi, że sama siła ognia...
– Jak przypuszczam, wszyscy wasi poszkodowani mają rany postrzałowe?
– Tak. Nie pozwolili wam zbliżyć się na tyle, żebyście mogli użyć łuków i noży.
– Rozumiem – powiedział Danton. Cały jego wywód okazał się diabła wart, ale odczuwał bezmierną ulgę, że jednak nie postradał zdrowych zmysłów. Mało doświadczeni osadnicy napytali sobie biedy uganiając się po dżungli i strzelając do wszystkiego, co się rusza – czyli do siebie nawzajem.
Było więcej niż dziwne, że nikt nie został zabity. To był po prostu cud.
– Wytłumaczyłam im jednak, że nie mogą was za to winić. Zostałeś zaatakowany i twoi ludzie mieli prawo przypuszczać, że jesteś w niebezpieczeństwie. Rada Starszych uznała taką wersję za bardzo prawdopodobną.
– To miło z ich strony – powiedział Danton.
– Starają się być rozsądni. A poza tym zdają sobie sprawę, że jesteście ludźmi tak samo, jak i my.
– A czy ty też tak myślisz? – z odcieniem ironii w głosie zapytał Danton.
– Oczywiście. Rada Starszych zwołała następnie walne zebranie na temat naszej polityki wobec tubylców i ustanowiła jej niepodważalne zasady. Przeznaczamy obszar o powierzchni tysiąca akrów na rezerwat dla ciebie i twoich ludzi. To spory szmat ziemi, prawda? Zaczęliśmy już ustawianie słupków granicznych. Będziecie żyć spokojnie w swoim rezerwacie, a my – w naszej części wyspy.
– Co takiego?
– A żeby sprawę już definitywnie zakończyć, Rada Starszych prosi cię o przyjęcie tego oto dokumentu – mówiąc to wręczyła mu zwój pergaminu.
– Co to jest?
– Traktat pokojowy, ogłaszający zakończenie wojny między Drużyną Huttera a Nową Tahiti i zobowiązujący nasze dwa narody do utrzymywania wiecznej przyjaźni.
Danton bezmyślnie wziął pergamin z rąk Anity. Oddział towarzyszący dziewczynie rozproszył się tymczasem i wesoło podśpiewując wbijał w ziemię czerwono-czarne słupki. Było się z czego cieszyć – przecież w łatwy i szybki sposób udało się rozwiązać niełatwy problem tubylców.

– Ale czy nie sądzisz – zapytał Danton – że, powiedzmy, lepszym wyjściem z sytuacji byłaby asymilacja?
– Sama im to zasugerowałam – odparła, poczerwieniawszy nieco, Anita.
– Naprawdę? Czyli zrobiłabyś to...
– Oczywiście, że bym zrobiła – powiedziała nie patrząc na niego. – Uważam, że wymieszanie dwóch tak silnych ras byłoby wspaniałą i jak najbardziej odpowiednią rzeczą. A jakie cudowne historie mógłbyś opowiadać naszym dzieciom!
– Nauczyłbym je polować i łowić ryby, pokazałbym, które rośliny nadają się do jedzenia...
– A te wasze upojne pieśni i tańce! – westchnęła Anita. – To by było naprawdę wspaniałe. Przykro mi, Danta.
– Ale coś chyba da się zrobić! Nie mógłbym porozmawiać z Radą Starszych? Czy rzeczywiście nic nie można poradzić?
– Nic – odpowiedziała Anita. – Uciekłabym z tobą, ale prędzej czy później i tak by nas znaleźli, choćby nie wiem jak długo musieli nas szukać.
– Właśnie, że nigdy by nas nie znaleźli – zapewnił ją Danton.
– Może tak, może nie. W każdym razie, chciałabym to sprawdzić...
– Kochanie!
– ...ale nie mogę. Pomyśl o swoich ludziach, Danta! Nasi schwytaliby zakładników i zabiliby ich, gdybym nie wróciła.
– Ależ ja nie mam żadnych ludzi, do jasnej cholery!
– To miło z twojej strony, że tak mówisz – powiedziała łagodnie Anita – ale nie wolno nam w imię naszej miłości poświęcać czyjegoś życia. Musisz powiedzieć swoim ludziom, że jeżeli chcą żyć, to nie wolno im przekraczać granicy rezerwatu. A na razie do widzenia i pamiętaj, że najdalej można zajść krocząc ścieżką pokoju.
Uciekła do swoich. Danton, patrząc za nią, był wściekły na jej szlachetne sentymenty, które bez żadnej realnej przyczyny nie pozwalały im się połączyć, a jednocześnie kochał ją za miłość, jaką okazywała jego ludziom. To, że ludzie ci nie istnieli, nie miało żadnego znaczenia. Liczyły się intencje.
Wreszcie odwrócił się i poszedł w głąb dżungli.
Zatrzymał się przy cichym, okolonym gigantycznymi drzewami i kwitnącymi paprociami oczku czarnej wody i próbował ułożyć plany na resztę swego życia. Anita odeszła, wszelkie stosunki z ludźmi zerwane. Próbował sobie wmówić, że ani jej, ani ich nie potrzebuje. Miał przecież swój rezerwat. Mógł na nowo zająć się uprawą ogródka, wyrzeźbić parę nowych posągów, skomponować kilka sonat, zacząć wydawać kolejną gazetę...
– Do diabła z tym wszystkim! – wrzasnął na otaczające go drzewa. Dosyć miał już tych środków zastępczych. Pragnął Anity i chciał żyć razem z ludźmi. Samotność zbyt już mu dopiekła.
Ale co miał zrobić?
Możliwości miał doprawdy niewielkie. Oparł się o pień drzewa i zapatrzył w nieprawdopodobnie niebieskie, nowotahitańskie niebo. Żeby tylko ci przybysze nie byli tacy przesądni, żeby nie mieli tego kompleksu tubylców, żeby...
I wtedy przyszedł mu do głowy plan – absurdalny, niebezpieczny...
– Ale warto spróbować – powiedział do siebie. – Nawet, gdyby mieli mnie zabić.
Ruszył kłusem w stronę granicy rezerwatu.
W pobliżu statku dostrzegł go strażnik i natychmiast skierował w jego stronę lufę karabinu. Danton uniósł obie ręce.
– Nie strzelać! Muszę pomówić z waszymi wodzami!
– Wracaj lepiej do rezerwatu – ostrzegł go strażnik – bo będę strzelał!
– Muszę mówić z Simeonem – oświadczył Danton, nie ruszając się ani o milimetr.
– No cóż, rozkaz, to rozkaz – westchnął strażnik składając się do strzału.
– Chwileczkę! – ze statku wyszedł skrzywiony ponuro Simeon.
– O co chodzi?
– Wrócił ten dzikus – wyjaśnił strażnik. – Mogę go zdmuchnąć?

– Czego chcesz? – zapytał Simeon Dantona.

– Przyszedłem tutaj – ryknął pełnym głosem Danton – żeby wam wypowiedzieć wojnę!

Podziałało to jak kij włożony w mrowisko. Po kilku chwilach wokół statku zgromadził się pełny stan osobowy Drużyny Huttera. Nieco z boku stała Rada Starszych – grupka podeszłych wiekiem mężczyzn wyróżniających się siwymi brodami.

– Zaakceptowaliście przecież traktat pokojowy – zaprotestował Simeon.

– Skonsultowałem się z pozostałymi wodzami z tej wyspy – odparł postępując krok naprzód Danton. – Według nas traktat jest nieuczciwy. Nowa Tahiti jest nasza. Należała do naszych ojców i do ojców naszych ojców. Tutaj wychowywaliśmy nasze dzieci, zbieraliśmy z pól plony, zrywaliśmy owoce drzewa chlebowego. Nie możemy się zgodzić na zamknięcie nas w rezerwacie!

– Danta! – zawołała Anita pojawiając się we włazie. – Prosiłam cię przecież, żebyś zaniósł pokój swemu ludowi!

– Lud nie chciał mnie słuchać – odparł Danton. – Już gromadzą się plemiona z całej wyspy. Nie tylko moje, Cynochi, ale i Drovati, Lorognasti, Retellsmbroichi, Vitelli. Oraz, rzecz jasna, zależne od nich szczepy i lennicy.

– Ilu was jest? – zapytał Simeon.

– Jakieś pięćdziesiąt do sześćdziesięciu tysięcy. Nie wszyscy, oczywiście, mamy strzelby. Większość z nas będzie musiała polegać na nieco bardziej tradycyjnej broni, jak na przykład zatrute strzały i dmuchawy.

Przez tłum przeszedł nerwowy pomruk.

– Wielu naszych zginie – mówił z niewzruszonym spokojem Danton – ale to nie ma znaczenia. Każdy Nowotahitańczyk będzie walczył jak lew. Na każdego z waszych przypada tysiąc naszych. Na sąsiedniej wyspie mieszkają nasi krewniacy, którzy z pewnością się do nas przyłączą. Bez względu na ofiarę z życia i cierpienia, jaką przyjdzie nam złożyć, zepchniemy was do morza. Powiedziałem.

Odwrócił się na pięcie i powolnym, dostojnym krokiem ruszył w stronę dżungli.

– Mogę już go zdmuchnąć? – przypomniał o sobie strażnik.

– Odłóż ten karabin, idioto! – warknął Simeon. – Danta, zaczekaj. Przecież możemy się dogadać. Nie ma sensu niepotrzebnie przelewać krwi.

– Zgadzam się z tym – ze śmiertelną powagą odparł Danton.

– Czego chcecie?

– Równych praw!

Rada Starszych niezwłocznie rozpoczęła obrady. Simeon przysłuchiwał im się jakiś czas, potem wrócił do Dantona.

– To się da zrobić. Coś jeszcze?

– Nic – odparł Danton. – Nic, oprócz potwierdzającego nasz układ przymierza między rodziną panującą Drużyny Huttera a rodziną panującą Nowotahitańczyków. Najlepsze byłoby jakieś małżeństwo.

Po kolejnej rundzie obrad Rada Starszych przekazała swe stanowisko Simeonowi. Komendant wydawał się czymś najwyraźniej wzburzony. Kark mu nabrzmiał, ale zdołał się jakoś opanować, kiwnął głową na znak zgody i podszedł do Dantona.

– Zostałem upoważniony przez Radę Starszych – oświadczył – by zaproponować ci zawarcie przymierza krwi. Ty i ja, jako przedstawiciele rodzin panujących naszych narodów, zmieszamy naszą krew, a następnie podzielimy się chlebem i solą. Będzie to podniosła i mająca wielkie symboliczne znaczenie uroczystość, która...

– Przykro mi – przerwał mu Danton – ale my, Nowotahitańczycy, nie uznajemy takich rzeczy. To musi być małżeństwo.

– Ale do cholery, człowieku...

– To moje ostatnie słowo.

– Nigdy się na to nie zgodzimy! Nigdy!

– A więc wojna! – oznajmił Danton i poszedł w las.

Znajdował się akurat w odpowiednim nastroju do prowadzenia wojny, ale jak jeden tubylec miał poradzić sobie z całym statkiem uzbrojonych ludzi?

Rozważał właśnie ponuro ten problem, kiedy spomiędzy drzew wyszli Simeon i Anita.

– W porządku – oświadczył wściekły Simeon. – Rada Starszych wyraziła zgodę. Dosyć już mamy tego latania od planety do planety. Mieliśmy już takie kłopoty wcześniej i podejrzewam, że mielibyśmy je wszędzie, gdziekolwiek byśmy się przenieśli. Zmęczyły nas te ciągłe problemy z tubylcami, więc sądzę – tu mężnie powstrzymał napływające mu do oczu łzy – że najlepiej będzie rozpocząć proces asymilącji. Tak w każdym razie uważa Rada Starszych. Ja osobiście wolałbym walczyć.

– Przegrałbyś – zapewnił go Danton i w tym momencie poczuł, że sam jeden potrafiłby dać radę całej Drużynie Huttera.

– Możliwe – przyznał Simeon. – W każdym razie, podziękuj Anicie, bo tylko dzięki niej możemy zawrzeć ten układ.

– Dzięki niej? Jak to?

– Bo jest jedyną dziewczyną, która chciałaby wyjść za gołego, brudnego, durnego dzikusa!

I tak oto wzięli ślub, i Danta, nazywany teraz Przyjacielem Białych Ludzi zaczął prowadzić osiadły tryb życia, pomagając Drużynie Huttera w podboju nowego kraju. W zamian za to zaznajomiono go z cudami cywilizacji; nauczono go gry w dwunastoosobowego brydża i Tańców Masowych, a wkrótce potem Drużyna Huttera wybudowała sobie małe Metro – przecież cywilizowani ludzie muszą mieć jakieś możliwości dawania upustu swoim agresjom. Dancie, rzecz jasna, także wytłumaczono, na czym ta zabawa polega.

Próbował się jakoś zidentyfikować z praktykowanym na Ziemi sposobem spędzania wolnego czasu, ale okazało się to zadaniem przekraczającym możliwości jego barbarzyńskiej duszy.

Cywilizacja działała na niego przygnębiająco, toteż wraz ze swoją żoną przemierzał olbrzymie przestrzenie planety, zawsze w straży przedniej, zawsze jak najdalej od powabów cywilizowanego świata.

Często odwiedzali go antropolodzy. Rejestrowali pilnie wszystkie historie, jakłe opowiadał swoim dzieciom – prastare, cudowne nowotahitańskie legendy, pełne opowieści o bogach przestworzy i demonach oceanów, o duchach ognia i nimfach z puszcz i lasów, opowieści o tym, jak to Katamandura musiał w ciągu trzech dni stworzyć świat z niczego i jaką otrzymał za to nagrodę, o tym, co Jevasi powiedział Hootmentaliemu, kiedy spotkali się w królestwie podziemi i o przedziwnych następstwach tego spotkania.

Antropolodzy dostrzegli pewne podobieństwa między tymi opowieściami a niektórymi z ziemskich mitów – dało to okazję do wysunięcia wielu ciekawych hipotez. Zainteresowanie naukowców wzbudzały także wielkie, wyrzeźbione w piaskowcu posągi z największej wyspy Nowej Tahiti. Te groźne, ponure postacie były z pewnością dziełem jakiejś prastarej, przed wiekami zaginionej rasy – kto je raz ujrzał, nie mógł już ich zapomnieć.

Jednak najbardziej dla wszystkich pasjonującym problemem była zagadka samych Nowotahitańczyków. Ci szczęśliwi, uśmiechnięci, miedzianoskórzy barbarzyńcy, wyżsi, silniejsi, przystojniejsi i zdrowsi od wszystkich znanych dotychczas ras, zniknęli wraz z przybyciem białego człowieka. Tylko nieliczni z najstarszych członków Drużyny Huttera widzieli ich kiedykolwiek w większej liczbie, a i to wiarygodność ich opowieści była przez wielu kwestionowana.

– Moi ludzie? – mawiał Danta, gdy go o to zapytano. – Cóż, nie potrafili obronić się przed chorobami przyniesionymi przez białych ludzi, nie mogli znieść ich maszynowej cywilizacji, brutalnego i bezwzględnego stylu bycia. Teraz są wszyscy w szczęśliwej krainie Valhoola, skryci za błękitem nieba. Pewnego dnia i ja do nich dołączę.

A biali ludzie, słysząc te słowa, doświadczali dziwnego uczucia winy i podwajali swe wysiłki, by okazać dobroć Dancie, ostatniemu Nowotahitańczykowi.

Przełożył **Arkadiusz Nakoniecznik**

Adam Hollanek nigdy nie poddawał się w pełni rygorom czystej, czy – jak to niektórzy określają – „twardej science fiction". Nie symulował ani nie odczuwał przesadnej wiary w aktualne czy perspektywiczne sukcesy nauki i techniki. Przeciwnie, posługiwał się wyjątkowością eksperymentu naukowego w wymiarze fantastycznym i ukazywał ryzyko takiego eksperymentu dla egzystencji jednostek i społeczeństw. Przy okazji demaskował naturę i charakter bohaterów przyszłości, bowiem dopiero w najostrzejszych próbach odsłania się prawdziwe oblicze człowieka.

Tak było w pierwszej fantastycznej powieści „Katastrofa na »Słońcu Antarktydy«, której bohaterowie musieli stawiać czoło najdrastyczniejszym przygodom, tak działo się w „Zbrodni wielkiego człowieka" i w niedawno napisanej mikropowieści „Nie można go spalić" – odkrycia i wynalazki stają się tam tragicznymi pułapkami, a to co wydawało się mądre i piękne obraca się w głupotę i brzydotę.

Nigdzie dotąd nie drukowane opowiadanie „Fausteron" stało się kanwą powieści, która ukaże się w tomie zatytułowanym „Skasować drugie ja", a stanowiącym wybór utworów Adama Hollanka w Wydawnictwie Literackim. I tutaj elementy science fiction służą przede wszystkim ujawnianiu prawdziwych cech charakterologicznych bohaterów dramatu, rozgrywającego się między grupką osób poddanych eksperymentowi zarówno technicznemu, jak i psychologicznemu.

Fausteron

Adam Hollanek



© ilustracje Marek K. Zalejski

Właściwie nie wiem do czego potrzebny byłem doktorowi Jerzemu Faustowi. Człowiek bywa czasem potrzebny człowiekowi w chwilach upadku. On więc okazał mi się bardzo przydatny.

Po trzech odrzuconych przez wszystkie wydawnictwa książkach i całym łańcuszku bezskutecznych artykułów do prasy, rozpiłem się. Na koszt swoich koleżków. Początkowo płacili za mnie. Tak, nawet płacili. Potem zachowywali się coraz niegrzeczniej. W końcu, gdy ich zacząłem nachodzić w domu – ich matki lub żony mówiły mi przez drzwi „nie ma, wyszedł, nie wiem gdzie go szukać".

Ale ja z czasem ich odnajdywałem. Znałem po prostu knajpę. Tam się zbierali. Przywalałem się wtedy bezczelnie do stolików, psułem im nastrój.

Mówiłem „postaw no jedną kolejkę Wicek czy Wacek", zależnie od okoliczności. I nieraz mi się udawało. Bali się, że zrobię jakąś grubszą awanturę, a zależało im przecież na pozycji, na opinii, na tym wszystkim co ode mnie odpadło, nie wiem czy z mojej winy, ale odpadło.

Zawsze udawało mi się wyrwać kilku na pokera. To jeszcze ze mną jako tako lubili, zwłaszcza kiedy miałem przy sobie trochę przypadkowo zarobionego grosza, który zresztą szybko ode mnie uciekał. Po paru kieliszkach i rundkach – przegrywałem. Tego wieczoru jednak szło mi nieźle. Jak dziś pamiętam przysiadł się wtedy do nas szczeniakowaty dr Jerzy Faust. Wiedziało się o nim niewiele i to po plotkarsku. Studiował podobno w Pradze i tam rozpoczynał karierę. Robił wielkie ekspedycje do dzikich szczepów znad Amazonki. Przyjechał do nas, na tutejszy uniwersytet, wykonywać jakieś wspólne duże doświadczenia. Coś nawet pisano o tym w prasie. Zresztą, czy ja wiem. Może mi się zdawało z tą jego sławą. Rzeczywistość mieszała mi się z tym co jeszcze zdołałem przeczytać i pomyśleć. Niektórzy twierdzili, że cała naukowa kariera Fausta to wielka lipa, a koleżkowie z naszego grona gadali wprost, że on się tak pęta wszędzie bez ładu, składu i celu, bo go żona, którą ogromnie kochał, dla kogoś kantem puściła.

Nigdy nie interesowałem się specjalnie nauką. A i on nie bardzo na uczonego wyglądał.

Zawołałem do niego, gdy się przysiadł do stolika:

– Nie kibicuj pan, doktorze, chodź do nas to cię w karty nauczymy. To ciekawsze od tych wszystkich E = mc kwadrat i innych pi razy oko.

On jednak nigdy nie grywał. Przypatrywał się, popijał trochę, słuchał w milczeniu plotek. Z nikim w gruncie rzeczy się nie przyjaźnił. Drażnił swoją wyszukaną elegancją i manierami. Starał się wyraźnie odróżnić od nas. Uderzał swoim gładkim, niemal młodzieńczym wyglądem. Miałem go za bubka, karierowicza, zresztą teraz w naukach mnóstwo bubków. Jak ktoś się trochę chemii czy matematyki i fizyki poduczy, co musi być zresztą paskudnym zajęciem, to łatwo mu zrobić zawrotną karierę. Tak, jest ich – tych speców – ciągle za mało.

Jerzy Faust, choć widywałem go przynajmniej raz w tygodniu, tak, chyba raz, może dwa razy w tygodniu, nie zdawał się zwracać na mnie najmniejszej uwagi. Albo – źle mówię. Ja nie dostrzegałem, żeby zwracał. Ciągle mi się racje plączą. Przez alkohol.

Fausteron

Tego się w żaden sposób nie potrafię oduczyć: ćwiartka rano, ćwiartka w południe i przynajmniej ćwiartka przed lub po kolacji. Gdy próbuję pisać, a to przecież mój zawód, ręce mi się trzepią jak zarzynane kury. Wszystko mi się plącze. Jednakże on musiał mnie od dawna obserwować, ten diabelny Faust. Na co liczył? Na moją półprzytomną samotność. Na pewno na nią liczył i na moje znaczone karty.

– Pożycz mi doktór forsę – powiedziałem chyba wówczas do niego. Przymilnie, niezwykle grzecznie. – Pożycz mi pan, chcę przybić, a widzi pan, że wygrywam.

Udał, że nie słyszy.

Byłem pod dobrą datą. Zacząłem ryczeć. Zerwałem się i wywróciłem stół. Jerzy Faust – pamiętam to – powolutku zbierał karty pod stolikiem i przyglądał się każdej zbyt uważnie. Musieli na to zwrócić uwagę partnerzy.

– Znaczone – wykrztusił jeden z nich – ty podła świnio.

Byliśmy chyba sami karciarze i kibice w tej barokowej salce klubu. Jednak w drugiej mogli znajdować się jeszcze ludzie z zewnątrz.

– Cicho – dodał więc partner, na razie całkiem spokojnie, spokojniej niż krztusił to swoje „ty podła świnio".

Chyba jednak dalej ryczałem. Nie pamiętam jak to się nagle stało. Dość, że otoczyli mnie wszyscy. „Wreszcie mnie złapali" – pomyślałem sobie.

– Odjazd – odezwał się znowu ten sam – odjazd, ale już.

Odepchnąłem go. Chyba dość lekko.

Nic już nie zobaczyłem. Poczułem pod dłońmi parkiet podłogi. Musiałem się przy tym bardzo drzeć, wszystko starałem się im pewnie wygarnąć, wszystko co o nich wiedziałem i myślałem. Niemało. Zatykali mi gębę. Wynieśli z klubu. Nie żałowali szturchańców, nawet kopniaków. Byłem dokładnie zalany, a wieczór parny. Ulica kompletnie, ale to kompletnie pusta.

Wtedy on dopomógł mi wstać. Dr Jerzy Faust. I od tego czasu żyję na jego koszt. Mieszkam w jego willi. Chodzę sobie w jego piżamach. Piję za jego pieniądze. Nawet czasem lubię z nim pogadać. Pisuję sobie też czasami.

II Pamiętam pierwszą rozmowę.

Żadna niespokojna myśl nie przeszła mi wówczas przez głowę. A przecież mógł ze mną zrobić co mu się podobało, w tej swojej przestronnej willi. Nic mi nie chciał zrobić. Ciągle się zastanawiam do czego mu byłem i jestem potrzebny. Jeszcze mi szumiało we łbie. Golnąłbym sobie trochę.

Prowadził mnie przez amfiladę wielkich pokoi. Jak się u nas dba o tych facetów od nauki – pomyślałem. Tu się spodziewać można było nowoczesnych, maleńkich pomieszczeń z małymi mebelkami, barkami, kolorkami. Tymczasem mijaliśmy niemal sale. Z ciemnymi obrazami olejnymi, z których – zdawało mi się – kiwają ku mnie jakieś głowy. Z antycznymi fotelami i komódkami na jamniczych nogach. Makaty na ziemi, makaty na ścianach. Dostojna atmosfera profesorskiej rezydencji, jakich zresztą więcej w tym mieście. Ale skąd to do niego?

Nie po raz pierwszy zwróciłem wtenczas uwagę na jego krok. Ciężko odrywał stopy od podłogi, powłóczył nieco nogami. Wyszliśmy na chłodnawą klatkę schodową, potem na drugą, oficynową. Coraz bardziej trzeźwiałem i każdy szczegół nowego otoczenia wbijał mi się w pamięć. A raczej niektóre tylko szczegóły. Tak, niektóre. Ściany gołe. W rogu zbroja. Błyski światła na metalu. Schodki kręte. Był blisko mnie.

– Uważaj – powiedział – bardzo kręte i strome.

– Mógłbyś mnie z nich zrzucić na pysk do piwnicy.

– Mógłbym, uważaj.

Na dole było ciemno. Wysforował się naprzód. Przekręcił kontakt. Co za zmiana scenerii. Pusty hol. Z niego kilka bielutkich drzwi. Jak w poczekalni lekarskiej.

– No, teraz najciekawsze – powiedział.

Przypatrywał mi się z uwagą. Często mi się od tego czasu tak przypatruje. Dlaczego? Mam swoje różne teorie.

Za drzwiami drewnianymi były metalowe. Jakby zamknięcie ogromnej lodówki. Znowu coś tam kręcił. Wąski przedpokoik jasno się oświetlił. Zimno. Zaszczękałem zębami.

– Psiakrew, zapomniałem cię ubrać. Zmarzłeś, co?

– Zmarzłem – szczęknąłem zębami.

– Długo tu nie będziemy.

Wtedy może zrodziło się podejrzenie? Prawdopodobnie miałem dość tej jego opieki i chciałem się napić. Czegoś gorącego. Gorącego za wszelką cenę, na przykład grogu, prawda? Odwróciłem się. Odepchnąłem go na bok. Przytrzymał mnie. Wydał mi się bardzo silny.

– Zwariowałeś. Puść mnie, chłopie.

Otworzył przede mną jedną ze swych lodówek. Dwie takie były, ale jedną najpierw otworzył. Zrobiłem krok do tyłu, ale patrzyłem.

W szklanym naczyniu, podobnym do wanny, leżała kobieta. Gołe ciało niezbyt wyraźne w płynie, w którym było rozciągnięte. Głowa tylko wystawała. Ubrana w diadem z rurek, błyszczących w zimnym świetle, metalowych rurek. Musiała mieć włosy, ale zginęły w tłoku tych rurek.

– Przedstawiam ci moją małżonkę – powiedział uroczyście i prędko otworzył drugą lodówkę. Takie samo wnętrze. Tylko z męską głową.

– A to jej ukochany.

Zwrócił się do pierwszej lodówki. Chwilę patrzył na twarz kobiety, białą jak jego nieskazitelny zawsze kołnierzyk. To płaskie porównanie narzuciło mi się wówczas najbardziej. Nie mówiłem nic. Nawet mi sobie trudno przypomnieć, czy się trochę przestraszyłem. Chciałem tylko jak najprędzej stamtąd wyjść.

– No to już.

Szybko zatrzaskiwał drzwiczki tych sezamów. Zauważyłem, że gdy wszedł pierwszy do pokoju lekko chwiał się na nogach. Mnie także ogarnęło znużenie i głowa mi się dobrze zakręciła, kiedyśmy z lodowni przeszli do nagrzanych pokoi.

Bezwiednie usiadłem w bardzo głębokim, klubowym fotelu, obok biurka. Wielkiego, ciemnego biurka. Przy takim nie można ani urzędować, ani nawet siedzieć, po co komu takie biurka – myślałem idiotycznie. Łeb mi się kręcił. Olejne bohomazy z postaciami w długich szatach zaczęły mi tańczyć.

– I co – powiedział – napijemy się?

Już stała na biurku kryształowa karafka z przezroczystą wódką. Już nalewał.

– Widziałeś więc trzy osoby dramatu. A jutro ostatni akt się zacznie. Jutro, może pojutrze.

– Jakie trzy? – tak na pewno zapytałem wtedy. – Jakie trzy?

Pomyślałem, że mógłbym zostać czwartą.

– Jakie trzy? – powtórzyłem, myśląc o postaciach z obrazów. Tamten widok z dołu wydał mi się pijackim widziadłem. Zresztą chyba go już nie pamiętałem.

– No trzy. Żona, jej ukochany i ja. Banalny trójkącik, co?

– Banalny – skinąłem głową, wychylając do dna kieliszek. Część świństwa wylała się. Wycierałem bezskutecznie kołnierz. Wycierałem i wycierałem.

– Nie taki całkiem jednak banalny. Nie całkiem. Weź bracie pod uwagę, że jestem uczonym. Rozumiesz: u-czo-nym. No, jeszcze jedno. Jutro zacznie się rozgrywka.

– Aleśmy się urżnęli. Jak ty się nazywasz, no, gadaj. Jak się nazywasz? – tak chyba zagadywałem do niego.

– Idioto – tak chyba mówił. – Jestem Jerzy Faust. Doktor Jerzy Faust. Faust, Faust, Faust. – Ryczał mi to chyba wprost do ucha.

– Nie bujaj – zdaje się, że tak odkrzyknąłem, też w samo ucho – nie łżyj. Faust miałby tysiąc lat. A ty? Ty jesteś gówniarz. Gówniarz. Ju-Jurek po papierosy. Szczeniak jesteś przy mnie. Po papieroooo-sy.

To się tak zaczęło. Wszystko się zaczynało w tych dniach i kończyło na wódzie.

III Na drugi dzień rano: sam mi przyniósł tackę z jedzeniem i kielichy.

Piliśmy na czczo. Tylko odrobinę zagryzali. Opowiadał mi o tej swojej Lizie i o tamtym. Podobał mi się. Byłbym się w nim zakochał na umór, gdybym był babą. Miał przecież gębę mocną, ciekawą, niegłupią. I młodą. Kto by pomyślał, że był już grubo po sześćdziesiątce. Przysięgał się, że to najprawdziwsza prawda.

– Pamiętasz tę scenę z lodówkami?

Nie pamiętam. Chciałem, żeby mi nalał kieliszek. Sam spróbowałem, ale mi odsunął rękę.



– Jesteś sam jak palec, wiem – powiedział.

– No to co?

– Byłem też taki samotny. Przy swojej pięćdziesiątce z haczykiem wyglądałem pomarszczony i sterany.

– Pleciesz.

– Stary i zniszczony. Parszywy mól książkowy. Bez przeżyć. Wiesz gdzie się poznaje kobietę, w której można się zakochać?

– W najidiotyczniejszy sposób się ją poznaje.

– Sądzisz? Była smarkulą. Mogłem właściwie przystawiać się do jej matki. Tak się zresztą zaczęło. W filharmonii je obie obserwowałem. Ona tam z matką chodziła. Rzadko widywałem obok tych dwu pań – jednej jeszcze całkiem całkiem i drugiej – smarkuli, starszego pana o szpiczastym nosie. Tatusia. Ona miała nos prosty. Nie wiem jak to się dzieje. Skąd się jej taki wziął. Bo u nich wszyscy albo kartoflane, jak matka i babka, albo spiczaste jak tatuś i dziadek. Mniejsza z tym. Nieważne, w kogo się wdała.

– Lubisz muzykę? – powiedziałem, starając się nalać do kieliszków. Pozwolił tym razem.

– Nic prawie z brzdąkania nie rozumiem. Nic. Kompletnie mnie to nie interesuje.

– To na coś tam chodził?

– Żeby zobaczyć jak to wygląda. Lubiłem się z tego śmiać jak goście siedzą i z nabożeństwem uciekają od własnych myśli, wpatrzeni w facetów z powykręcanymi kawałkami metalu albo innymi przedmiotami o śmiesznych kształtach. Czemu to ma akurat takie kształty, a nie inne? Czemu to brzmi właśnie tak? Funkcjonalizm...

– Ona też ma funkcjonalne? – zapytałem.

W tym momencie przypomniałem sobie tę lodówkę z kobietą w metalowych rurkach na głowie.

– Ty, to było naprawdę: kogo tam masz w lodówce?

– No, ją.

– Nie łżyj.

– Odstaw kielich i słuchaj. – Popatrzył się na mnie jak by myślał „idioto, i tak niczego nie pojmujesz, ale ci opowiadam, bo muszę się przed kimś wygadać". Zresztą po dziś dzień nie wiem na pewno, dlaczego mnie sprowadził. Mam różne teorie. Ale o nich za chwilę. Później.

– Miałem pomarszczoną gębę, ale w środku jeszcze byłem niezły. No, nie byłem zepsuty – powiedział. Na tyle nie zepsuty, że mi się zdawało, że ona się we mnie zakochała. Czort wie, może się kochała rzeczywiście. Była początkowo zazdrosna. Jeszcze jak. Potem poznałem ciekawe zboczenie tej zazdrości. Ciągnęła mnie w kółka towarzyskie. Gdy spostrzegła, że mam powodzenie, że się mną interesują takie jak ona smarkule – to wcale z zabaw nie chciała zrezygnować. Rezygnowała ze mnie. Miała swoich kolegów. Spotykała się z nimi codziennie. Nic mnie nie obchodził ten jej własny czas. Mężczyzna w moim wieku, który jeszcze niewiele zrobił, nie interesuje się duperelami. Ja się duperelami coraz mniej zajmowałem. Kompletna obojętność dla ludzi. Nie, żebym nie lubił. Owszem. Tylko bez angażowania się. Rozumiesz? A ją ludzie angażowali. Opowiadała mi początkowo szczegóły każdego spotkania. Bawiło mnie to nawet. Żartowałem sobie z niej. Czasami bardzo złośliwie. Tak, wierzyłem jej. Nie przypuszczałem, aby mogła. No, napijmy się jeszcze.

– I zamknąłeś ją do lodówki?

Już mi szumiało w głowie. On budził we mnie więcej obojętności niż zainteresowania. Poczułem się doskonale. O lodówce powiedziałem ot, tak sobie. Ta lodówka z ciałem kobiety i ta druga z mężczyzną to był pijacki koszmarek.

– Ja ich jutro obudzę – powiedział wstając.

Był wściekły. Miałem przez chwilę wrażenie, że mnie chce łupnąć. I zastanawiałem się, jak zareaguję. Tylko tego byłem ciekaw: jak zareaguję. Czy spuszczę łeb i zniosę to, czy mu oddam? Ale nie uderzył. Dobrze. Wstał i powtórzył:

– Ja ich jutro, najdalej pojutrze budzę. Pomówisz z nią. Będziesz z nią mówił. Poznasz jaka jest.

– Napijmy się jeszcze – przerwałem.

We łbie miałem już tylko ochotę na smak alkoholu. Jeszcze trochę. Jeszcze trochę. Jest wesoło? Nie? Wszystko się kręci, wykręca, zapada. Nawet przestaję wiedzieć, że istnieję. Najmilsze uczucie.

Bydlak na drugi dzień nie dał mi ani kropelki. Pilnował także, żebym nie uciekł. Ani siły, ani ochoty nie miałem na taką ucieczkę. Gdym sobie porównał klub z tym co teraz. Nie, szkoda porównywać. Nie dał mi pić. Ale da.

Pokazywał mi dokładnie to swoje największe doświadczenie. Ciała tych dwojga tkwiły w wannach z roztworem fizjologicznym którego temperatura była znacznie niższa od zera. Kazał mi dotknąć płynu. To była bardzo zimna lemoniada o żółtawym kolorze. Nagie ciało wydawało się w niej woskowe i rybie. Nic ludzkiego, przysięgam, przysięgam. Posąg. Twardy. Próbowałem. Brrr.

Tkwiła w tym jakaś szalona perwersja, gdy się usiłowało wierzyć, że ta kobieta, z tymi ładnymi kształtami jest jeszcze żywa, że można się do niej zbliżyć i dotykać, a ona kiedyś będzie czuła i mówiła. A teraz właściwie jej nie ma. Bo że właściwie nie żyła, to fakt.

Co się dzieje z człowiekiem, któremu się odbierze naturalną temperaturę ciała? Wyjaśniał rzeczowo, ale pod tym musiała się kryć gorączka. Wyjaśniał mi, że organizm ludzki jak gdyby rozpada się wówczas na najdrobniejsze cząstki.

Już przy 29 stopniach, tak – przy plus dwudziestu dziewięciu – zanika świadomość. Człowiek staje się nieczuły na wszelkie bodźce. Manekin, bryła sztucznie połączonego mięsa, nerwów i kości. Nic. To jest tak zwana zimna anestezja. Życie stopniowo przechodzi w stan, który Claude Bernard określił jako vie non manifestée. Nie ma go w gruncie rzeczy, trwa podskórnie, drzemie gdzieś tam głęboko jak u ryb uwięzionych w krze lodowej.

Serce osiąga swój biegun chłodu przy dziewiętnastu, plus dziewiętnastu lub nawet plus szesnastu stopniach. Staje. Zupełnie się zatrzymuje. W miarę dalszego ochładzania zrywają się więc wszelkie kontakty między poszczególnymi organami a nawet komórkami. Każda cząstka ciała stara się resztkami sił wegetować na swój własny rachunek. Nie trzeba jedzenia, nie potrzeba powietrza.

– Popatrz.

Nałożył klosz na woskową twarz w wannie. Pokazał mi manometr. Ogromny manometr z długim czarnym wąsem.

– Wypompowuję powietrze.

Wąs ruszył. Zatrzymał się w pobliżu zera.

– Ani krztyny powietrza.

Oddychałem gwałtownie. Czułem każdy swój oddech. Wydawało mi się, że każdy kolejny coraz trudniej łapię. Przestanę oddychać?

Tłumaczył mi z kolei, że według prawa, pamiętam doskonale, aż się dziwię, że to tak precyzyjnie pamiętam, według prawa van t'Hoffa-Arrheniusa intensywność reakcji chemicznych zwalnia się dwukrotnie po obniżeniu temperatury o kolejnych 10 stopni. Po oziębieniu tego ciała do plus 30 stopni, czyli zaledwie o głupich siedem kresek, zużycie tlenu zleciało o połowę. Przy dwudziestu stopniach – aż do 85 procent. Ustrój liczący sobie 10 stopni ciepła zużywa tylko 5 procent tej ilości tlenu jaką zazwyczaj spożytkowuje w normalnej temperaturze. A ona tutaj?

– Ona jest w pobliżu zera. Nie oddycha. Rozumiesz?

Opisywał mi jak ich oboje zwabił i jak z nimi postąpił. Z detalami to objaśniał. Widocznie sam nie mógł i nie chciał uronić ani szczegółu. Chciał je wszystkie mieć świeże, świeżuteńkie. Na zawsze w pamięci.

Przerwałem mu wtedy całkiem serio, że jak mi będzie zabraniał dalej pić to go obezwładnię.

– Ty, ty byś to potrafił? – I zaśmiał się.

Myślałem, że prowokuje awanturę. Ale nie. Tylko spod oka pilnie mnie obserwował. Więcej się nie zaśmiał. Pozwolił mi się znowu napić. Pił także sam. Trochę gorączkowo. Niemal jednego za drugim.

Opowiadał te sceny zbyt chaotycznie jak na mój gust i słabą głowę. Nakrył ich w sposób prymitywny. Wrócił z podróży do Anglii dzień wcześniej. Zastał chłopaka z nią. Oni byli podobno dla siebie bardzo odpowiedni, doskonale dopasowani fizycznie i psychicznie. Rozmawiali sobie o różnych tam głupstwach i to ich wzajemnie bawiło. Opisywali sobie każdy szczegół swych idiotycznych uczuć. W stosunku do Jerzego ona się zachowała brutalnie. Oświadczyła mu, że ma go już po uszy, że stary i że z takim starcem nie ma w ogóle nic do roboty, że tylko męczy i nudzi. Takie to ćmoje boje wygadywała. I wreszcie: trzeba się rozstać. Tak powiedziała, wprost. Przy tamtym, który także zachowywał się dość bojowo. „Niech pan nie myśli, że ją pan skrzywdzi. Żadnych takich brutalności" – stawiał się chłopak. „Co pan zresztą o niej wie. Jesteście różni, obcy ludzie. Jakie pan ma do niej prawo?"

Wtedy Jerzemu Faustowi rozjaśniło się w głowie. Postanowił wykorzystać swoje doświadczenia naukowe. Zamrożę ją. Zatrzymam w tej postaci, w jakiej ją kochałem, a tymczasem wykorzystam swój inny wynalazek i będę się odmładzał.

Miał takie środki od dawna wypróbowywane na zwierzętach. Czemu by ich działania nie wypróbować na sobie?

– Przypatrz się mojej szyi – powiedział, rozpinając kołnierzyk swej zawsze śnieżnobiałej koszuli.

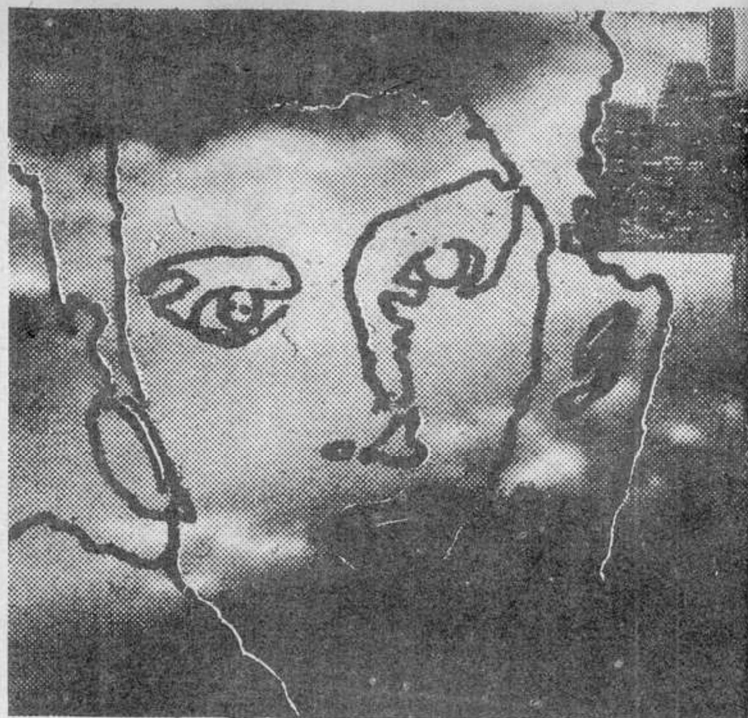
Z tyłu, za uszami i pod włosami, dojrzałem całe łańcuszki schodzących aż na kark blizn. Małych, ledwo, ledwo widocznych, już starych. Po dawno zasklepionych ranach.

– Ta parka nie przewegetowała w wannach całych dziesięciu lat, o nie. – Dodał.

I zaraz przyszła kolej na mrożące moją krew opisy zabiegów, jakie na tych obojgu dokonywał. Idąc śladem sławnych odkryć Fiłatowa, który stwierdził w tkankach poddawanych działaniu niskich temperatur wytwarzanie się substancji bodźcowych, zwanych biogennymi stymulatorami, Faustowi udało się wyodrębnić jedną z takich substancji.

– Dawniej nikt nie mógł tego zrobić – mówił ciągle gorączkowo, ale z tą swoją przerażającą naukową dokładnością. – Nie mógł, ponieważ mnie pierwszemu udało się doprowadzić człowieka do temperatury zerowej, a nawet nieco poniżej zera. A wówczas ta substancja, broniąca resztek organizmu od nieuchronnej śmierci, szczególnie silnie się ujawnia. Jest jej dużo i jest bardzo aktywna. Nazwałem ją fausteronem, zwłaszcza, że ma charakter zbliżony nieco do hormonów, wiesz? Ach, gdybyż udało się ją otrzymywać syntetycznie, cóż to byłby za eliksir młodości.

Przerwał, wpatrywał się chwilę w postaci w wannach. Potem zbliżył się i ku memu przerażeniu i wstrętowi zaczął je odwracać, ukazując miejsca, z których pobierał skórę, zawierającą ów wytwarzany przez chłód – fausteron organiczny.



– To był potwornie żmudny i ponury proceder. Zapewniam cię.

Oziębiał tych dwoje. Po miesiącach, czy nawet po roku w oziębionych było sporo tego fausteronu, więc ich zagrzewał, chuchał, dmuchał – aż dochodzili prawie do przytomności. Zdzierał z nich niewielkie płaty skóry, wszczepiał sobie. Przywracały młodość jego twarzy i całemu ciału, mimo że pobierał je w niewielkich ilościach. Potem znowu ich na długie miesiące zamrażał. Znowu ogrzewał. Ponownie pobierał skórę. I tak mijały lata.

– Ile? – zapytałem niecierpliwie.

– Dziesięć. Jutro mija równa dziesiątka.

Teraz rozumiałem, skąd sprzeczne informacje o jego długich wyjazdach ekspedycyjnych, niby to do dalekich i dzikich krajów, gdzieś nad Amazonkę.

– Teraz pojmujesz? Dziesięć lat. A ona, ona wyjdzie po tej dziesiątce identyczna jak wówczas, gdy ją kładłem po raz pierwszy do wanny, dziewiętnastolatka. Dziewczyneczka. Sam smak życia. Dlaczego miałem tego nie próbować? Myślałem sobie zawsze: „zatrzymam ją, zamrożę w tej postaci jaką najbardziej kocham, a sam się odmłodzę". To trwało, prawda. Musiało trwać, ale wbrew naturze czas pracował dla mnie. Odmłodzę się – myślałem i wówczas będę się z nią mógł lepiej porozumieć. Zobaczy mnie takim jakiego jeszcze nie widziała. Wtedy przebaczy próbę, to swoje zamrożenie, które przecież i jej przedłużyło młodość, a pewnie i całe życie. Przebaczy. Musi przebaczyć.

Swoją drogą jak on mógł tak rozumować? Musiał być dobrze zaszokowany. Jak można sądzić, że człowiek, któremu jego ręka przerwała życie w najważniejszej chwili, przebaczy mu wszystko?

Nie rozumiem Jerzego. Staram się, ale go nie pojmuję. Nie wiem, co w nim siedzi. Kompletne wariactwo. Ale wariactwo postępujące tak konsekwentnie i logicznie, działające bezbłędnie – cóż to za wariactwo. Mój Boże, jakiż jestem trzeźwy, że umiem się zastanawiać, co właściwie w tym człowieku przeważa: chęć zrobienia doświadczenia, jakiego nikt przed nim nie zrobił, chęć sławy, chęć odmłodzenia siebie? A uczucie do tej Lizy?

Gdy ich zastał razem, postanowił nie tylko ją, ale ich oboje zamrozić. I zagrać grę. Wolną grę. Ciekawy był piekielnie, jak z tej gry wyjdzie. Ja jestem głęboko przekonany, że nie można wygrać. Ona wybrała tego młodego, który tego jej wyboru padł ofiarą. Pytałem Jerzego czy oni oboje zachowają pełną świadomość po eksperymencie (że ja jeszcze ciągle wierzę, że oni z tego wyjdą cało).

– Naturalnie – odpowiedział.

– Pewnie – dodał – bez tego nie byłoby całej mojej gry. Wolnej gry sił, w którą i ty – uśmiechnął się – i ty zostałeś wciągnięty.

– Po co ja?

– Zobaczysz.

Co do mnie to mnie było wszystko jedno. Nawet przy wódce mroziło mnie jego ohydne opowiadanie ze szczegółami. Gdy ich zastał i kie-



dy ona oświadczyła z brutalną nienawiścią, że dłużej z nim żyć nie będzie, a ten bubek się nawet stawiał – Faust zachował zupełny spokój.

Zwierzał mi się: „Dużo mnie to kosztowało, ale olśniła mnie myśl, że mogę zagrać. Mogę za jednym zamachem sprawdzić swoje odkrycie i naturę ludzką. Nie miałem zresztą innego sposobu odzyskania jej. Rozumiesz? Innej szansy nie miałem".

Tak, nie miał sposobu. Chyba zabić. Ale to by była bezpowrotna strata. A nie chciał, on, ten bydlak nie chce nikogo stracić. Przywiązuje się chyba do ludzi, których sobie wybrał i którymi się otoczył. Mnie także nie zechciałby stracić, bez względu na zamiary jakie żywi wobec mnie. Bawi mnie to, że nie wiem do czego mnie użyje.

Wtedy uspokoił tych młodych. Powiedział, że owszem, bez rozgłosu i formalności z rozwodem się załatwi. Na razie niech sobie spokojnie tu zamieszkają, pod jego bokiem. Willa przecież obszerna. On ich w niej zostawi i wyjedzie za granicę. Uwierzyli. W gruncie rzeczy ona miała go za starego zbzikowanego baranka. Obok odrobiny złośliwości nigdy nie wykazywał żadnych dramatyczniejszych cech.

Nawet przeprosiła go za swą początkową brutalność. Tłumaczyła, że to był wybieg, jedyny sposób powiedzenia szczerej prawdy. Obawiała się podobno próśb i łez i w ogóle chciała jakoś tę całą sytuację skrócić. Może pragnęła zostać bohaterką romansidła?

Jerzy mówił mi, że ona wyglądała mu nawet na rozczarowaną jego kompletnym pogodzeniem się z rzeczywistością. Widocznie całkiem obojętny jej nie był. Tak to sobie w każdym razie przetłumaczył. Wieczorem dodał im do herbaty środka usypiającego. Gdy sprawdził (spali w oddzielnych pokojach – oczywiście), gdy skonstatował utratę świadomości, zrobił zastrzyki.

„Porozbierałem ich, położyłem obok siebie i z satysfakcją wpychałem im kilkakrotnie igły w ciała. A ciała drżały przy każdym ukłuciu. Zamieniałem ich w kłody drewna. Nie, to źle powiedziane: w worki mięsa w końcu już w ogóle nie reagujące. Przyszła kolej na koktajl lityczny, duże dawki largaktolu mieszane z innymi preparatami. Mierzyłem nieustannie temperaturę i z przyjemnością patrzyłem jak stopniowo się obniża".

Miał przygotowanych kilka wanien-lodówek dla swych zwierząt doświadczalnych, dla małp.

„Napełniłem je roztworem. Roztwór oziębiłem najpierw do plus dziewięciu stopni Celsjusza. Własnoręcznie zaniosłem każde z nich do takiej kąpieli. Mózgi utrzymywałem stale w wyższej temperaturze. Widzisz te zwoje i rurki. Prądami elektrycznymi pobudzam od czasu do czasu ich mózgi do działania, do resztkowego działania. Żeby mi zupełnie nie zginęli".

Gdy ich włożył do wanny – znowu obniżka temperatury. Ciała stygły. Tężały i stygły. Zbliżały się do zera. „Zanim to zero osiągnęły otworzyłem im żyły – zabrałem wszystką krew. O popatrz – powiedział – tu są butle z ich krwią, zakonserwowaną i żywą. To dostaną na ostatek przy ożywianiu, w ostatnim stadium ożywiania. Mam mnóstwo innej dobrze dopasowanej krwi do wstępnych transfuzji. Tę też dostawali, gdy musiałem od nich pobierać skórę do odmładzania się" – wskazał na szereg butli pełnych czerwieni. „Potem puszczałem z nich krew. Ich serca nie biły. Ich ciała stawały się martwe".

Przerwał to gadanie. Przybladł. Z zadowoleniem śledziłem zmiany jakie w nim zachodziły: cierpiał. Powinienem był go znienacka ogłuszyć, uciec i zawiadomić władze.

Ta myśl stawała się szczególnie uporczywa w pijackim, a raczej półpijackim widzie. Jeśli eksperyment się nie uda? Jeśli on ich nie zdoła ożywić? Albo jeśli ich ożywi, a oni nie postąpią po jego myśli? Zadrżałem na myśl o nieznanej roli w całej tej strasznej, maniackiej zabawie, o roli jaką dla mnie przeznaczył. Do czego mnie użyje?

Musiał domyślać się mego stanu, bo podsuwał teraz kieliszek za kieliszkiem. I znowu całe jego opowiadanie utonęło w zapomnieniu. Stawałem się wesoły. Czort bierz wszystko. Moje życie było zmarnowane. Co mnie obchodziły jego doświadczenia. Kobieta w wannie nie była kobietą, chłopak przestawał być chłopcem: martwe, pokryte lodem kawałki materii. Nieważne.

– Wyglądam już dość młodo? – zapytał nagle. Tak, zdaje się, zapytał.

– No, niezły jesteś.

– Podobam się kobietom.

– Wiem, że unikasz kobiet.

– Podobam się kobietom – powiedział z uporem. – I jestem silny. No, spróbuj, silniejszy wielokrotnie od ciebie.

Aha, na to mnie potrzebował.

– Głupi, nie będę się z tobą bił. Napijmy się.

– Broń się, bo zginiesz – zawołał.

Prawdopodobnie zaśmiałem się sztucznie. Walnął mnie w żołądek. Zatkało mnie, zatoczyłem się. Strąciłem jakąś wazę z jednego z tych jego zabytkowych stoliczków czy serwantek. Zrobiło mi się ciemno w oczach. Zobaczyłem zaraz krew: krew i przemoc w tych jego gadaniach całodziennych.

Wyprostowałem się, pochwyciłem ciężki przycisk. Poczułem dobrze tę broń chłodną, orzeźwiającą. Jego zwężone oczy dojrzałem tuż przed moimi. Uniosłem szybko rękę, żeby skutecznie uderzyć. Skoncentrowałem cały wysiłek w tej ręce. Przeraziłem się, że mogę już stąd nigdy nie wyjść i zapragnąłem wyjść za wszelką cenę. Uprawiałem w życiu tyle sportów, boksowałem kiedyś nieźle, uczyłem się dżudo. Potem to utonęło w alkoholu.

Nie spuściłem tej ręki.

Pomyślałem, że mógłbym go zabić. I zatrzymałem dłoń. Za to lewą poszukałem jego podbródka. Prędko. Bęc. Głowa z przymrużonymi oczami odleciała w tył. Przewalił się przez krzesło. Wstał, otarł mimochodem wargi. Nie mogę pojąć czemu nie starałem się dopaść drzwi jeszcze w tamtej chwili. Ale ciągle byłem bardzo zły. Zaślepiło mnie trochę. Szedłem na niego z przyciskiem w prawej, lewą miałem przygotowaną na odparowanie ciosu i na zadanie ciosu.

– Nieźle – powiedział, znowu ocierając wargi. – Nieźle. Jeszcze nie zginąłeś. Jeszcze się liczysz.

Kocim ruchem znalazł się przy mnie, wyminął bark i moją opadającą mu na łeb rękę z tym przyciskiem. Znowu mnie palnął. Wywróciłem się. Skuliłem się momentalnie jak robak. Czekałem na atak. Bałem się podnieść, bo liczyłem, że pójdzie za ciosem. Działał powoli, ale bezbłędnie.

Wyczekał kilka sekund aż zupełnie ochłonę. Przycisku już nie miałem w ręku. Zbliżył się. Kopnąłem, ale się wywinął. Zerwałem się i sierpem musnąłem mu szczękę. Głowa mu się lekko odwróciła od ciosu. Poprawiłem lewą. Odskoczył w tył. I nagle poczułem dużo krwi w nosie i na wargach. Chwila bólu. Nic więcej. Nie, to nie była tylko chwila bólu. Wtedy pomyślałem o sobie: „czemu się tak, jełopie, bronisz? Nie masz nikogo, nikoguteńko. Żadnej twarzy miłej w twej pamięci. Dla kogo żyć". I to mną wstrząsnęło.

GALERIA

„Od wielu lat świadomie nie używam modeli i nie maluję z natury. Jeśli artysta może w ogóle zrobić coś unikatowego, wynika to z tego, że robi to coś »nie tak« – to daje jego dziełu wdzięk i tajemniczość. Postaci maluję teraz w sposób, który jest anatomicznie niepoprawny, lecz to jakoś tam pasuje do obrazu. Myślę, że wielu malarzy popełnia błąd i sądzi, że konieczne jest coś w rodzaju »prawidłowości«. Mylą się. Tak przecież robiło wielu artystów w przeszłości, podejrzewam, że dotyczy to zwłaszcza średniowiecza".

Patric Woodroffe



Fausteron

IV Właściwie to byłem Jerzemu Faustowi nawet wdzięczny za te ciosy i za ten wstrząs. Zdałem sobie sprawę, że jedynym człowiekiem, który się mną poważniej zainteresował był tylko on. A więc jest ta jedyna głowa w pamięci.

Wstałem z ciężkim łbem. Kotary na oknach zapuszczone. Ciepło w tej hali z antykami. Jak król się poczułem, mimo ciężkiej głowy. Kto tak kiedy o mnie dbał: machinalnie sięgnąłem po stojącą obok buteleczynę. Trochę po omacku nalałem sobie kieliszek. Kotary na oknach były zapuszczone, ale mnie mało interesowało czy to ranek czy wieczór. Wypiłem jeszcze jednego. I jeszcze. Zapomniałem o ciężkiej głowie. Miałem plaster na prawej stronie podbródka, plaster na policzku i nic więcej. Dotykałem jednego i drugiego. Bawiły mnie te obce ciała na twarzy. Wszystko mnie tego dnia, wieczora, a może nocy – bawiło. Mogłem w każdej chwili wyjść na zawsze. Ubrać się i uciec. Otwierałem szafę i zamykałem. Wymacywałem różne, wiszące w niej ubrania. Mogłem w nie natychmiast przeskoczyć z mej piżamy, a raczej z piżamy Jerzego Fausta. Tak mi się przynajmniej wydawało. On nie pilnował mnie teraz wcale. Widocznie bardzo zajęty. Aha, koniec eksperymentu. Koniec tych makabrycznych lodówek w piwnicznym laboratorium.

Faktycznie. Co mnie to zresztą obchodzi. Niech sobie wskrzesza swoich umarlaków. Niech ich nawet z powrotem zamraża. Niech mnie bije codziennie po mordzie, bylem tylko mógł być w takim nastroju. Zaśpiewałem sobie. Coś tam sobie pod nosem podśpiewywałem. Kto wie zresztą czy nie bardzo głośno. Czort wie co. Nieważne. I właśnie wtedy otworzyły się te wielkie drzwi, jak w auli uniwersyteckiej.

Kobieta była w krótkim szlafroczku, w pantoflach, włosy miała jakby trochę zlepione. Zresztą pomalowana jak lalka świeżo ściągnięta z wystawy. Świetnie to widziałem mimo półmroku. Nie wiem dlaczego zawstydziłem się bardzo, że jestem także w szlafroku i na bosaka i w takim nastroju i że trzymam kieliszek w ręce. Natychmiast o tym wstydzie zapomniałem. Na wszelki wypadek cofnąłem się za wielki czarny stół. Widać mnie było więc tylko do połowy. Taka między nami była śmieszna rozmówka:

– Ooo, kto pan jest? Nic o panu nie wiedziałam.

– Szuka pani Jurka? On na dole wypuszcza pewne zwierzątka z lodówki.

– Mnie już wypuścił.

Racja, że w tym szlafroczku nie nadeszła z ulicy. Musiałem mieć bardzo idiotyczną minę, bo się zaśmiała. Zaśmiałem się także, ale z wielkim zmieszaniem.

– Pani? To pani. No, no i jak się pani czuje?

– Cudownie. Czemu człowieku siedzisz za tymi wariackimi kotarami?

Podbiegła do okna. Wspięła się na palce. Odwracałem się za nią jak słonecznik za słońcem. O ile dobrze pamiętam. Buchnęło światło. A ona, odwrócona, na tle światła, była czarną wspaniałą kobiecością.

– Cudownie – powtórzyła. – Przyjemnie jest żyć.

– A, a pani, pani coś z tamtego pamięta?

– Człowieku nie zawracaj mi głowy.

Podeszła do stoliczka z karafką. Nalała sobie. Wychyliła duszkiem. Zauważyłem wówczas, że jej ręce trochę latały. Rozlewała na stolik. Gestem zaprosiła mnie koło siebie, na tapczan. Skrępowany, ale posłuszny usiadłem i napiłem się. Ona także. I jeszcze raz. I jeszcze.

– Wesoły z ciebie chłopak – powiedziała. – Widać, że pijesz cały boży dzień. A to on ciebie także tak urządził?

Rozglądnąłem się jakby nagłe niebezpieczeństwo było tuż tuż. Dotknąłem plastrów na pysku. Przyciszyłem głos.

– Gdzie go pani zostawiła?

– Nie wiem. Wyszedł chyba do miasta. Musi odwalić te swoje naukowe interesy.

– A ten drugi?

– Pan mnie naprawdę zaskakuje. Coś wie, ale... Eee. Ile, właściwie pan spał czy leżał nieprzytomny? To już drugi dzień jak jest po wszystkim. Drugi dzień. Po co właściwie pan tu jest?

– Po co tu jeszcze siedzisz – krzyknąłem chrapliwie i zamachałem po pijacku rękami, machałem bezładnie. – Po co tu siedzisz, wołałem, wstając, chwytając ją wpół i starając się dopchać do drzwi. – Uciekaj.

Ledwo się wyrwała.

– Dom wariatów – powiedziała. Czy nie widzisz człowieku, że jestem w niezłym humorze i nie mam na razie zamiaru stąd czmychać? Co ja tam sama zrobię? Co ja bym na świecie sama robiła?

– Przecież on, przecież tu on...

– On stracił swoją władzę. Człowieku – powiedziała, śmiejąc się i mrużąc do mnie oczy – człowieku on stracił władzę odkąd mnie ożywił. Co mi może zrobić? W każdej chwili mogę stąd wyjść. W każdej chwili. Patrz – dodała – klucz do laboratorium, klucz do mego pokoju, klucz do drzwi wejściowych, zawsze mogę wyjść. Ale co on mi może więcej zrobić. Jest dobry, łagodny i – i pełen niepokoju. On się teraz tylko może bać.

Nic mi się nie układało w głowie.

– No to wypijmy – powiedziałem.

Kiedy on przyszedł wcale się nie zorientowaliśmy. Zobaczyłem go dość niespodziewanie z tą jego przystojną, młodzieńczą, gładko wygoloną twarzą, w tym jego eleganckim ciemnym garniturze. Przysiadł na stołku fortepianowym. Okręcił się w kółko. Przypatrywałem mu się. Musiałem mieć bardzo mętne oczy, bo się uśmiechnął drwiąco, pokazując mi kieliszki. A potem pociesznie pogłaskał się po twarzy: po podbródku i policzku, jakby chciał mi przypomnieć moje plastry. Czekał, że się znów zdenerwuję? Nic z tego.

– No to pijmy Jerzy – powiedziałem, nalewając trochę trzęsącą się ręką.

Kobieta się śmiała głośno. Za chwilę było nas już aż trzech mężczyzn z nią jedną. Przypatrywałem się z kolei jej bubkowi. Chuderlawy, szczuplutki. Wobec Jerzego Fausta prawdziwy wymoczek. Tacy mali bywają najbardziej zaczepliwi. On też ciągle zachowywał się wyzywająco. A w stosunku do niej zbyt poufale. Gdy ją objął i przytulił, spoglądając na Jerzego ze śmiechem, powiedziała ostro:

– Nie chcę tego. Odczep się. – Odepchnęła go bardzo silnie. Omal że się nie skatulał z tapczanu, na którymśmy wszyscy razem siedzieli. Ryknęliśmy we trójkę śmiechem. On się zaczerwienił. Przysiadł na krawędzi.

– Nie myśl, że ujdzie ci to na sucho – mówił do Jerzego.

– To czemuś stąd od razu nie wyfrunął? – spytał Jerzy.

– Przestańcie – krzyknęła – źle wam tak? Mnie tak dobrze. Nalej jeszcze, człowieku.

Nalałem.

Potem tańczyliśmy z nią po kolei. Jerzy był szarmancki i starał się nie reagować na zaczepki tamtego. Ja wszystkim ustępowałem.

To był wyjątkowo zadziorny kogucik ten jej bubek. Złościł mnie. Zresztą i on się urżnął. Nawet nie pamiętam kiedy się ta zabawa skończyła: kiedy nadszedł wieczór, a kiedy rano.

O nie. Przepraszam. Cholerna wóda. Jedno mi się przypomina. Gdy po raz nie wiem który ona tańczyła z Jerzym Faustem zauważyłem, że on stara się ją pocałować, a ona przyjmuje to z radością. Diabelska sprawka. Wypuścił kobietę z lodówki, gdzie przeleżała bez życia całych dziesięć lat, a ona jak gdyby nigdy nic. Całuje się z nim.

Poczułem odrobinę sympatii do stawiającego się bubka. Nie wiem czy on także widział, bo był kompletnie zalany i zdawało mu się, że na antycznym stoliku szachowym rozgrywa wielką partię.

Ustawił szachy, powyprowadzał piony i figury. Mruczał: „szach, szach, szach, mat". Potem wszystko trochę cofał i jeszcze raz swoje. „No, czemu nie robisz ciągu" – zapytał mnie. „Rób". Wzruszyłem ramionami. „Rób" – powtórzył. I jeszcze coś plótł. Nie słuchałem. Podsłuchiwałem rozmowę tańczącego Jerzego. Teraz myślę, że oni całkiem głośno rozmawiali. Ładna para.

– Jesteś teraz naprawdę młody chłopiec – mówiła mu. – I tyle, tyle umiesz. Młody, fajny chłopiec.

Czyżby on wygrał? – pomyślałem. Już samo to, że ona nie chciała uciekać mogłem śmiało uważać za jego wygraną. Teraz mu się przymilała. Coraz więcej sympatii czułem do tego wykiwanego bubka. Tyle co ona przeleżał przez nią w lodówce. Tyle przeleżał i nie żył, żeby ją teraz stracić. Niech to wszyscy diabli.



V Szukałem jej po całym domu. Ani jej, ani bubka nie znalazłem. Z przykrością uświadomiłem sobie, że wszystko robię dziś zupełnie na trzeźwo. Nie ciągnęło mnie do butelki, choć po wczorajszej bibie (a może to było przedwczoraj lub wcześniej jeszcze?) dość ich jeszcze i to nie całkiem pustych walało się po barze i po stołach. Nawet nalałem, ale zapomniałem wypić. Trochę mi się to śmieszne wydawało. To bieganie po całym domu. Działałem jak w gorączce. Tłumaczyłem się, że to po wczorajszym pijaństwie i dlatego że dzisiaj ani kropli. Dobrze. Pal diabli tłumaczenia. W korytarzyku na dole, do którego doszedłem, paliły się dwie jarzeniówki. Syczały głośno, podkreślając pustkę. Zmitygowałem się. Trzeba było wejść cicho, niespodziewanie – jeśli oni są tutaj. Buchnęło zimnem i Jerzy Faust uśmiechał się przed kabiną. Nie mówił jeszcze nic, tylko uśmiechał się i obserwował mnie. Odsunąłem go. Wszedłem. Dał się łatwo odsunąć. W wannie, w której przedtem ona musiała leżeć, tkwiło kosmate cielsko dużej małpy. Odsunąłem się mimo woli. Klepnął mnie po plecach. Objął i pokazał drugą małpę w drugiej wannie. Zatkało mnie.

– Wściekły? – zapytał.

– Znowu te doświadczenia? – warknąłem.

– Jasne. To nie może być przerwane. Fausteron, rozumiesz? Nie może, bez względu na to jak się moja osobista sprawa rozwinie.

– Liza?

Wzruszył ramionami.

– Nie więżę jej. Skończyłem doświadczenia. Nie więżę.

– A bubek?

– Widziałeś, że wczoraj miał dość.

– Co on robi? No, mówże co oni robią. Wyszli jednak razem?

– Nie, nie razem. Rano spakował swoje manatki.

– Pewnie się gdzieś umówili.

Przyjrzał mi się jakby mnie pierwszy raz zobaczył. Zachowałem się po kretyńsku. Mówiłem bardzo blisko jego twarzy. Z pasją. Więc zapytał:

– Nie piłeś? Nic nie piłeś. Popatrz no.

Przyglądałem się małpom. Nie do zniesienia była myśl, że on ludzi trzymał w tych samych wannach co te małpy. Fałszywie to wyrażam: inaczej to wówczas formułowałem. Całkiem inaczej. Małpy leżały nieruchomo ze szklistymi otwartymi oczyma, ustami lekko uchylonymi, z diademem rurek na głowach. Skąd je wziął, te małpy? Gdzie, u diabła miał klatki? Byłem zawsze taki pijany – willi dobrze nie znałem. Teraz sobie to z całą ostrością uświadomiłem, gdy liczyłem wszystkie obejrzane przed chwilą pokoje i zakamarki, które przebiegłem szukając tamtych.

– Nie pijesz – powtórzył. – Wyszedłem naprzeciw ciebie jakeś huknął drzwiami – zrobił ruch ręką: chciał mi pokazać o jakie drzwi chodzi. – Wyszedłem naprzeciw, bo się bałem, że możesz... – Tu ręka mu przeszła nad moją głową, po drodze lekko stuknął mnie pięścią w czaszkę. Zareagowałem bardzo gwałtownie. Pchnąłem go tak, że się mało co na wannę nie przewrócił.

Oparł się o ścianę. Miałem przez moment wrażenie, że rzuci się. Czekałem na to. Po raz pierwszy wyczułem jednak: nie miał odwagi zaatakować. Sprawiło mi to przyjemność, rozładowało napięcie.

– Nie pijesz, bracie – powiedział – a zachowujesz się jak pijany.

– Chciałbym wreszcie wiedzieć do czego ci byłem potrzebny.

– A ja chciałbym wiedzieć, czy się przypadkiem nie przydałem na coś?

– Ty mnie?

– Tak, ja tobie.

Staliśmy tak naprzeciw siebie. Jerzy Faust roześmiał się. Nie jestem pewny, czy to nie było wymuszone.

– Nie bój się. Wróci – dodał prędko, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Bubka wyrzuciła, wyrzuciła, wyrzuciła.

– Wygrałeś?

– Wątpisz.

– Tobie się zdaje, że twoja nauka pozwoliła ci zeżreć wszystkie rozumy. Tymczasem nigdy nie wiesz jak się zachowa człowiek. Nigdy. Ja, ja sądzę, że tu każde doświadczenie zawodzi. Zawsze nas zawodzi doświadczenie.

Wołała Liza.

Głos jej w tej chłodnej i pustawej przestrzeni zabrzmiał wobec naszych szczególnie ciepło i mocno. Obaj podskoczyliśmy ku drzwiom.

– Jurek – wołała – co ty tam znowu robisz.

Przepchnął się przede mną przez drzwi. Szczęśliwy człowiek. Czy na to byłem mu potrzebny? Zarzuciła mu ręce na szyję. Zachowywała się jak dziewczynka. Czegoś innego w niej szukałem. Ubzdurała sobie, że po tym co zaszło powinna być inna, że zawsze powinna być inna. Tymczasem z tamtym na pewno była taka sama. Z każdym. Na mój widok ucieszyła się wyraźnie. Pokazała nam torbę.

Otwierała ją gorączkowo, nawet nie patrzyłem na fatałaszki, które stamtąd wyciągała. Ohydny banał. Coś gorszego niż banał. Szmira – powtarzałem sobie.

Można jednak z góry przewidywać zachowanie się takiej kobiety. Faust znał ją oczywiście lepiej i dłużej ode mnie. W tej chwili jego doświadczenie, to doświadczenie z ludźmi, ta cała walka i rywalizacja zrobiła się śmieszna. Jerzy zmalał w moich oczach, kompletnie zmalał.

Zostawiłem ich i poszedłem się napić. Dogonili mnie.

– Nalewaj – wołali – nalewaj.

Drżały mi ręce, gdy nalewałem.

– Z czego się tak strasznie śmiejesz, popatrz jak on się śmieje. Nie marszcz się tak w śmiechu, bo brzydko i staro wyglądasz – powiedziała do mnie, a raczej krzyknęła. Rzeczywiście nie miałem dotąd najmniejszego pojęcia, że się zanoszę od śmiechu. Jerzy Faust poklepał mnie po plecach.

– No i widzisz chłopie, w porządku.

Jakich nadzwyczajności mogłem się po nich spodziewać? Tak, ale to jeszcze nie wszystko. Co się stało dalej muszę opisać, choć ręce mi się znowu trzepią od przepicia jak zarzynane kury.

VI Na dworze było mnóstwo słońca.

Wciskało się tu, między stare meble i obrazy. Odbierało trochę powagi. Wyobrażałem sobie jak Jerzy musiał paskudnie spędzić tę noc. Odwrócił się do mnie plecami, gdy nalewał kieliszki. Wygodniej mu było w ten sposób przystąpić do stołu. Obserwowałem jego ręce. Ani drgnęły.

– Nie masz do mnie żalu? – zapytałem.

– Do ciebie? Sam ciebie sprowadziłem.

Istotnie wyglądał na pogodzonego z losem. Ile w tym było udawania? Zniknął nawet najmniejszy śladzik jego drapieżności. Może w nim tego nigdy nie było. Zresztą – pocieszałem się – miał do czego wrócić. Miał swoje doświadczenia: podobno z jedną małpą, na dole, działo się nie najlepiej.

Powiedziałem mu:

– Masz swoje doświadczenia, masz co robić.

– Zostawicie mnie? – zapytał.

To samo pytanie postawił jeszcze wczoraj.

– No przecież we trójkę żyć nie będziemy.

– Nie denerwuj się. Nie potrzebujesz się denerwować. Tylko powiedz, jak pójdziecie, z czego będziecie żyli?

Wtedy mi się przypomniało jak ona beztrosko nad tą sprawą przeszła do porządku dziennego. Było już dobrze po północy i Jerzy trochę chwiejnym krokiem poszedł do swoich małp. Uparł się, że pójdzie. A myśmy mu mówili: „zostaw to do diabła". Ale musiał się nudzić i musiał być zły, gdyż ona coraz rzadziej z nim tańczyła i mówiła.

Tylko wyszedł przysunęła się do mnie. Stanęła tuż, tuż, leciutko oparła się na mnie. „Człowieku – powiedziała – i ty myślisz pewnie, że ja bym z Jerzym została. Po tym wszystkim co się stało. Musiałam mieć trochę czasu na ochłonięcie. I tamtego chciałam się pozbyć". Żachnąłem się. Nie spodziewałem się przecież tego, ale dalibóg to było najmilsze ze wszystkiego czego dotychczas doświadczyłem. „Zostawisz go?" „Pewnie. Niech sobie szuka idiotki. Widziałeś tę jego sztuczną młodość. Ona jest tylko z wierzchu. W środku został taki sam jak przedtem". „Kocha cię jednak" – próbowałem go niby to bronić. Ale jakim to głosem robiłem. „Człowieku – powiedziała – o miłość nie jest wcale trudno". Skrzywiłem się. „Głupio się krzywisz. Nie masz pojęcia co we mnie siedzi". „Co siedzi?" Objęła mnie nagle i pocałowała. „To we mnie siedzi".

Nie dosłyszeliśmy jego kroków. Wszedł cichutko po tych swoich puszystych, profesorskich dywanach. Dopiero kiedy stanął nad moimi plecami zwietrzyłem niebezpieczeństwo. Szybko się odwróciłem. Miał oczy ściągnięte i nabiegłe krwią. Co miał do stracenia? Doświadczenie wygrał, ale przegrał tę swoją ludzką walkę. Wybrał mnie pewnie tylko dlatego, że uważał mnie za słabego przeciwnika. Oszukiwał samego siebie tą równą walką.

Tymczasem tak się to wszystko wykołowało. Co miał teraz do stracenia? Przestraszyłem się, że wybierze ostateczność.

„Nie idzie mi" – powiedział przez zęby.

„Pomówmy otwarcie – powiedziała Liza. – Absolutnie nie mam zamiaru z tobą zostać. Próbowałam, ale już nie mam zamiaru".

„Nie idzie mi" – powtórzył Jerzy w moją stronę. Odpaliłem ostro: „Znaliśmy się tak krótko, że nie mam wobec ciebie żadnych zobowiązań. Poza tym te twoje doświadczenia z ludźmi. Mam dość twoich doświadczeń z ludźmi. Nie będziesz więcej robił prób z ludźmi".

„Zabronisz?" Szedłem na niego. Ten sam przycisk, który miałem w ręce podczas pierwszego starcia, twardą metalową statuetkę (zabijcie mnie, jeśli wiem co przedstawiała) już ścisnąłem w dłoni. Od razu ją miałem na oku. Tę statuetkę. I jego łeb. Pochylony łeb z przymrużonymi oczami. Uniosłem statuetkę. Pochylił głowę jeszcze mocniej. Nie patrzył na mnie. Patrzył w bok.

„Radzisz mi nie robić doświadczeń z ludźmi. A to czemu? Coś na tym stracił".

Zdawało mi się, że go dobrze zrozumiałem. Nie odchylił się, gdy robiłem zamach, nie wyciągnął nawet rąk przed twarz. Cisnąłem statuetką w lustro, które odbijało naszą trójkę. Rozprysło się na kawałki. W jednym odłamku została tylko część twarzy Lizy.

Karmił mnie. Wtajemniczał w swoje sprawy, jeśli nawet chciał, żebym był łatwym przeciwnikiem – okazałem się trudniejszy. On tracił, ja zyskiwałem z każdą chwilą. Odbierałem mu to, co sobie uzbierał. Liza miała twarz histerycznie wykrzywioną i piszczała: „Nie chcę, żeby przeze mnie lała się krew". Obaj zatrzymaliśmy na niej oczy. Zrobiła ruch jakby chciała objąć Jerzego. Zawahała się. Przyskoczyła do mnie. „Weź mnie stąd. Weź mnie stąd. Prędko".

„Co mam robić Jerzy" – zapytałem bezradnie. Uśmiechnął się. To był gorzki uśmieszek.

„Chciałem wam powiedzieć – odezwał się jak najspokojniej umiał – że nie bardzo mi poszły doświadczenia, tam na dole. Jedno zwierzę ma się źle. Bardzo źle".

VII Z czego będziemy żyli we dwójkę? Zastanawiałem się nad tym właśnie gdy mnie o to zapytał. Nie mogłem o tym nie myśleć jak Liza.

– Postaram się jakoś wkręcić do starej roboty.

– To nie będzie łatwe. Znają cię z najgorszej strony.

Byłem wściekły, że mi tamte sprawy przypomina. Na pewno miał rację, ale po co mi wypominał.

– Mam zrezygnować? Żądasz jednak, abym z niej zrezygnował?

– Nie, ale może byście tu... oboje...

Spojrzałem mu w oczy. Nie spuścił wzroku. Na dnie błyskały chyba iskierki ironii.

– Żartujesz?

– Nie, mówię poważnie. Mógłbym wam przez pewien czas pomóc. Pracowałbyś u mnie. – Przerwał. Ironia zniknęła. Machnął ręką. – Niepotrzebnie gadam. I tak zrobisz inaczej. Musisz postąpić inaczej po tym co wiesz i widziałeś.

– Targujecie się o mnie? – zawołała dźwięcznie i wesoło Liza. – Targujcie się sobie, targujcie. – Nagle z wesołego tonu przeszła na ten swój histeryczny, piskliwy. – Czy nie widzicie, żeście obaj dla mnie dziady. Stare, obrzydliwe dziady. – Zwróciła się do mnie z pasją: – I tyś, człowieku, mógł choć przez moment myśleć, że pójdę z tobą. Ile jesteś ode mnie starszy. No, powiedz. Co ja bym z tobą robiła? To samo co z nim?

Złapała mnie za rękaw, przyciągnęła do okna, zza którego buchało słońce.

– Widzisz tego, tam na drugiej stronie? Czeka na mnie. Spakuję się i odejdę. Tylko bez kawałów, panowie.

Pojąłem, że musiała tak postąpić. Teraz ja z kolei wydałem się sobie śmieszny. Było to uczucie tylko początkowo nieprzyjemne, jako że do takich przykrości nawykłem był od dawna. Wszystko więc było po dawnemu? Dobrze? Dobrze czy źle? Obojętnie?

Wyszła do drugiego pokoju spakować się. Jerzy był wstrząśnięty. Poznałem to po jego ruchach, zupełnie nieopanowanych, po spojrzeniu. Na mnie zatrzymywał wzrok z jakąś niemal ojcowską czułością.

– Hm – mruknął do mnie. – Można by coś jeszcze poradzić.

– A mianowicie? – starałem się mówić swobodnie.

– No cóż, każdy może być Faustem. Ty także. – Ściszył głos. Czuło się, że mówi w pełnym napięciu. – Można by Lizę uśpić. Zwabić tego nowego sprzed domu i także uśpić. Spróbować jeszcze raz. Spróbować. Z tobą w roli głównej – dokończył bardzo szybko.

Chciał się jeszcze raz w to bawić? Liczył po cichu na odrodzenie swoich szans?

– Idź do diabła – warknąłem.

– Słuchaj, zrozum. Żadna sytuacja się nie powtarza. Absolutnie żadna – mówił z głębokim przekonaniem. – Ta nowa będzie całkiem nowa. Nie skorzystasz z moich rozczarowań. To będzie kompletnie coś nowego. Pojmujesz. Nie warto zobaczyć, co?

– Każdy może być Faustem – przedrzeźniałem go – i ja też. Tylko po co?

Gdy w tym momencie Liza przeszła przez pokój, mówiąc „biorę na razie torbę, po walizki wrócę z robotem" Jerzy, który przed chwilą zastygł w geście przekonywania, z wyciągniętymi do mnie rękami, opuścił te ręce. Odwróciłem się i przez ramię powtórzyłem mu swoje „po co".

Adam Hollanek

słuchowisko radiowe

Anna

Róża Holzman

W listopadzie 1987 r. rozstrzygnięto konkurs na słuchowisko o tematyce fantastyczno-naukowej i popularnonaukowej, ogłoszony przez Program IV Polskiego Radia (werdykt opublikowaliśmy w numerze 4/88). W pracach jury konkursu uczestniczył redaktor naczelny „Fantastyki", Adam Hollanek. Wśród wielu nadesłanych tekstów słuchowisk powielających przestarzałe wątki fantastyki, szczęśliwie znalazło się kilka oryginalnych propozycji, których autorzy spróbowali się wyłamać z getta klasycznych tematów SF i odświeżyć tradycyjną formę słuchowiska radiowego. Przedstawiamy Państwu wyróżniającą się pod tym względem nagrodzoną pracę Róży Holzman (godło „Ada"), która zajęła w konkursie trzecie miejsce. (mp)

Osoby: **NARRATOR, DZIEWCZYNA, PRZECHODZIEŃ I, PRZECHODZIEŃ II, CHŁOPIEC, SANITARIUSZ I, SANITARIUSZ II.**

NARRATOR: Jestem dzieckiem nie chcianym. Pojawiam się w słuchowiskach niektórych autorów dlatego, że beze mnie cała konstrukcja rozsypałaby im się i nikt by nie rozumiał, o co chodzi.

Ponieważ mnie powołano – jestem. Ponieważ jestem – pracuję. Zacznę od prezentacji bohaterki. Jest drobna i szczupła. Ma tyle lat, na ile wygląda; wygląda młodo. Jej puszysty koński ogoń lśni w słońcu rudawo. Dziewczyna ma pewne osobliwości w wyglądzie i zachowaniu, ale zapowiem tylko dwie. Pierwsza – to jej dłonie. Długopalce, mocne, chwytliwe. Zadziwiająco delikatne, jak na osobę, która sama sprząta, gotuje, pierze. W ogóle jest sama – ani rodziny, ani chłopca. Jej drugą osobliwością są oczy: intensywnie niebieskie, granatowo nakrapiane.

Kiedy jesteśmy już przygotowani – spotkajmy ją. W letni wieczór na placu Zamkowym kręci się wiele ludzi, ale bez trudu odnajdziemy delikatną, płynnie poruszającą się dziewczynę, która zmierza w stronę Starego Miasta. Zwyczajem samotnych ludzi – mówi do siebie.

DZIEWCZYNA: Nie gniewaj się święty Antoni i pomóż mi chociaż wiesz, że jestem niewierząca. Patronie szukających, wysłuchaj mnie: nie chcę niczego znaleźć, chcę zgubić. Posłuchaj...

PRZECHODZIEŃ I: Słucham panią...

DZIEWCZYNA: Nie do pana mówię! Święty Antoni, czy wiesz, że w moim domu ciemność urodziła potwory? Walą się na mnie, kiedy tylko wracam do domu, już od progu omotują mnie, parzą, kłują prądem. Czasem cofają się przed krzykiem. Wrzask musi być ostry, ciągły, na długim oddechu. Nie lubią tego. Ale sąsiedzi także tego nie lubią i od razu wzywają karetkę pełną mężczyzn usiłujących narzucić na mnie szatkę z za długimi rękawami. Święty Antoni...

PRZECHODZIEŃ II: Czego...

DZIEWCZYNA: Proszę nie zaczepiać, bo zawezwę... Mój cierpliwy święty, przyznam ci się do czegoś: wychodząc z domu rano zapalam światło. Wracając wieczorem już z daleka widzę jasność w moich oknach i mówię sobie: „O, ktoś miły na mnie czeka!" Ale zaraz muszę sobie powiedzieć: „Nie zgrywaj się..." Święty Antoni, pozwól mi zgubić pamięć o tym, kto i dlaczego zapalił światło! Pozwól mi choćby tak długo, jak trwa droga z ulicy aż do drzwi mieszkania, cieszyć się, że ktoś wstanie z fotela, uśmiechnie się, obejmie mnie i powie: „Tak długo na ciebie czekałem, dobrze, że jesteś!"

CHŁOPIEC: Tak długo na ciebie czekałem, dobrze, że jesteś!

NARRATOR: No nie, tak nie można! Kto z tego coś zrozumie? Po kolei! Porządnie! Przecież tu się stało coś ważnego! Dziewczyna biegnąc po schodach wyciągnęła z torebki klucz, wsunęła go do zamka, ale nie drgnął, wtedy wyjęła klucz i chwyciła za klamkę, która ustąpiła. W pokoju na fotelu siedzi młody człowiek, bawiąc się jej błękitnymi, granatowo nakrapianymi paciorkami z lazurytu. Ujrzawszy dziewczynę uśmiechnął się i nonszalanckim gestem wrzucił naszyjnik do kieszeni.

CHŁOPIEC: Tak długo na ciebie czekałem. Dobrze, że jesteś!

DZIEWCZYNA: Jak się tu znalazłeś?

CHŁOPIEC: Proste: zgubiłem się gdzie indziej i znalazłem się tutaj.

DZIEWCZYNA: Jak otworzyłeś drzwi?

CHŁOPIEC: Zaklęciem. Czy nie wzywałaś mnie światłem?

DZIEWCZYNA: Jak ma się zachować dziewczyna, która zastaje w swoim mieszkaniu obcego młodzieńca. Wezwać milicję? Zastukać w ścianę, żeby sąsiedzi się zbiegli. Poprosić, żeby się przedstawił?

CHŁOPIEC: Do usług: reaguję na każde męskie imię, byle nie wypowiedziane kolczastym głosem, bo wtedy natychmiast popadam w frustrację. A jak ja mam ciebie nazywać?

DZIEWCZYNA: Pola.

CHŁOPIEC: Paula? Paulina?

DZIEWCZYNA: Polatucha.

CHŁOPIEC: Przecież to latająca wiewiórka! Jaka szkoda, że nie mam przy sobie orzechów, basiu-basiu.

DZIEWCZYNA: Rozumiem, że drzwi otworzyłeś wytrychem, ale jak sforsowałeś skrytkę?

CHŁOPIEC: Czy wyglądam na niedołęgę? Siedziałem tu sam, więc troszeczkę pomajstrowałem, aż się dostałem do twego skarbca. Czy te świecidełka to zapasy na zimę? Nie zdziwisz się chyba, że niektóre cenności zmieniły właściciela. To jakby premia za wysiłek. Nawiasem mówiąc czajnik, w którym nastawiłem wodę na herbatę natarczywie gwiżdże. Jeśli poczęstujesz mnie kolacją, mógłbym zostać także na śniadaniu.

NARRATOR: W przedwojennym filmie nastąpiłoby po tych słowach zaciemnienie, a po rozjaśnieniu wiadome by było, że czas na śniadanie. Prawdopodobnie jestem staroświecki, ale muszę przyznać, że nie pochwalam takiego postępowania. Nawet bardzo cierpiąc z powodu samotności Dziewczyna nie powinna się zgodzić na propozycję nieznajomego. Ale czy mnie ktoś pyta o zdanie? Zaprogramowano mnie tak, abym możliwie jasno relacjonował wydarzenia, więc robię to: zjedli śniadanie, pozmywali, poustawiali wszystko porządnie w kredensie.

CHŁOPIEC: Daj czółko, to cię cmoknę na pożegnanie. Płaczą po mnie dziatki, żonka, a szef wściekły za spóźnienie, skreśla mi premię. Bywaj! Nie lataj, jak szalona!

NARRATOR: Cyniczny łobuz! Złodziej właściwie. Jak postąpi Dziewczyna? Będzie skomleć? płakać? rozpaczać? Pozwoliła mu odejść ani słowem nie wspomniawszy o naszyjniku. Klasa! Ale czym wypełni sobie dzień? Dni? Znowu opuszczając dom rano zapali światło? I święty Antoni znowu bę-

dzie miał mnóstwo roboty? A Dziewczyna codziennie z tą samą emocją, że tym razem już na pewno... Właśnie biegnie, skacze po dwa stopnie, niecierpliwie wtyka klucz do zamka, przekręca, otwiera drzwi i wolno podchodzi do fotela.

DZIEWCZYNA: Święty Antoni, co mógłbyś mi pomóc odnaleźć? Naszyjnik z lazurytu? Z nim, jak bez niego. Stół nakryty dla dwóch osób? A czy kiedykolwiek siedział przy nim ktoś oprócz mnie samej? Coś mi się snuje po głowie, coś straszy. Trzymajmy się realiów. Dzień się skończył, czas na wieczorne rachunki. Noga – to raz, dwoje oczu – to dwa, trzęsionka – to... nie wiem, jak policzyć. Pracowity dzień.

Raz: Szłam za tą dziewczyną Nowym Światem spory kawałek. Z irytacją patrzyłam na jej prawą nogę skurczoną i przedłużoną butem ortopedycznym. Przy sklepie z futrami poczułam przypływ energii, jak włączenie prądu i już byłam gotowa do przeprowadzenia korekty anatomicznej. Dziewczyna także coś odczuła. Zatrzymała się zaniepokojona, zachwiała się, przez chwilę walczyła o odzyskanie równowagi, ale nie udało się jej i grzmotnęła o chodnik. Ryczała z przerażenia, a i z bólu pewnie też – napadli zaraz na nią czekający w kolejce: „Komediantka! Udaje kalekę!" Kiedy kopniakami odsunęli ją od wejścia – przebiegłam na drugą stronę ulicy.

Dwa: Zezowatą kobietę spotkałam na Krakowskim Przedmieściu. Spojrzała na mnie każdym okiem inaczej, mozolnie celując w środek czoła. Wyglądała, jak rozjuszone ptaszydło, które dziobnie, kiedy tylko zorientuje się, z której strony naprawdę znajduje się przeciwnik. Przez chwilę nasze oczy zmagały się ze sobą, aż poczułam, że udało mi się nanizać rozsypane paciorki na jeden sznurek. Kobieta stała chwilę ogłupiała, a potem wyciągnęła z torebki lusterko i zbliżyła je do twarzy.

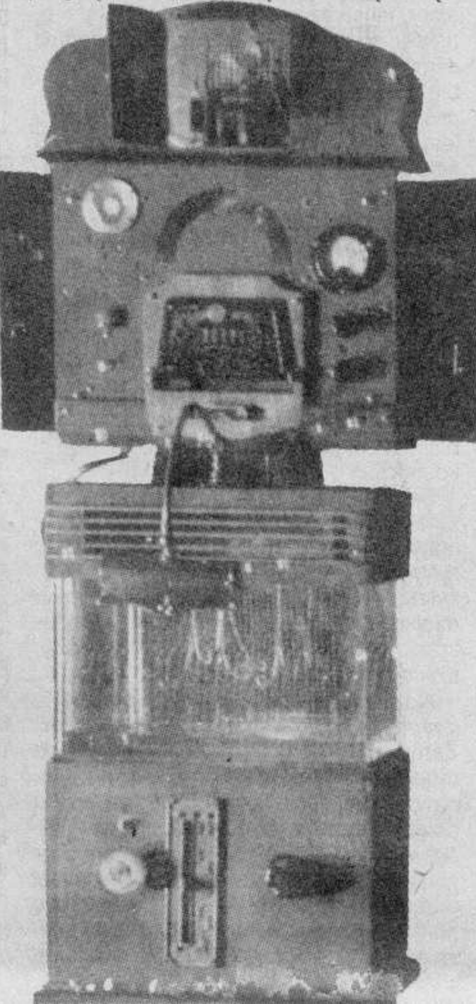
Trzy: Tego starszego mężczyznę widywałam na Rynku Starego Miasta. Dziś siedział w ogródku Hortexu i jak zwykle dzwoniąc łyżeczką o szkło pucharka – jadł krem. Dopiero dzisiaj to nieznośne dzwonienie wyprowadziło mnie z równowagi. Podbiegłam do niego, wyrwałam łyżeczkę i silnie uchwyciłam jego dłonie. „Ja sobie pani nie przypominam, ja pani wcale nie znam!" – powtarzał płaczliwie, kiedy tak siedzieliśmy ze splecionymi, rozlatanymi dłońmi. Ogarnęła mnie niezmierna słabość. Nie mogłam tego wytrzymać. Wcisnęłam mu łyżeczkę do ręki, a kiedy zaczął nią znowu dzwonić – uciekłam w popłochu.

Dlaczego mi się nie udało? Czy moc mnie opuściła? Jutro spróbuję jeszcze raz; z tym beznogim spod perfumerii.

NARRATOR: Ale jutro wcale nie okazało się łatwiejsze. Sama zresztą opowie. Właśnie wbiegła do domu, usiadła na fotelu i przysunęła do siebie telefon.

DZIEWCZYNA: 31-91-11. Nie wiesz, Pogodysiu, czym się usuwa z sukienki plamy z mózgu? Nie przypuszczałam, że to się może tak skończyć. Żeby człowiek tak się bronił przed cudem?! Codziennie przechodzę przez ten róg Kruczej i Żurawiej. Od lat przyglądam się temu facetowi. Od wiosny do jesieni siedzi na kuchennym stołku. Kule oparte o ścianę perfumerii, noga wyciągnięta daleko, pusta nogawka podpięta agrafką. Dziobata morda fioletowa od alkoholu. Budziło to we mnie coraz większą odrazę i wściekłość. Ponieważ nie chciałam zmieniać mojej codziennej trasy – musiałam zmienić coś na trasie. Gdyby ten człowiek miał dwie nogi, to by wstał, odniósł krzesełko do kuchni, wyrzucił kule, zaczął pracować u Kasprzaka albo w Bełchatowie i zniknąłby mi z oczu. Więc niech mu ta cholerna noga wreszcie odrośnie! Stanęłam obok. Skupiłam się. Po chwili poczułam przypływ tej siły, której nie rozumiem, ale z której czasami korzystam. Zakłuło mnie w końcach palców. Kiedy wyciągnęłam do niego ręce – rozdziawił mordę pełną czarnych pieńków, chuchnął na mnie wysokoprocentowo i obleśnie zachichotał: „Panienka chce się pobawić?" Podałam mu kule i wrzasnęłam: „Wstań, kiedy nad tobą czynią cud!" Nie chciał wstać. Usiłowałam go podnieść, ale był bardzo ciężki i stawiał opór. Musiałam się śpieszyć nie tylko dlatego, że tam się ciągle kręcą milicjanci, ale dlatego, że przypływ energii nigdy nie trwa zbyt długo. Natężyłam się i wreszcie udało mi się go podnieść. Ale wtedy walnął mnie pięścią. Zabolało – więc się wściekłam. W szamotaninie przewróciło się krzesło, upadły kule. Teraz był zdany tylko na swoją jedną nogę i właściwie na mnie, ale mnie właśnie odpychał, bił po głowie, po ramionach, gdzie popadło. Jestem nieduża i niezbyt silna, ale czułam przecież w sobie tę moc, która miała służyć czemuś całkiem innemu, więc lewą ręką chwyciłam go za klapy, a prawą za kudły i zaczęłam walić jego głową o mur. Moja sukienka zmieniła w niektórych miejscach kolor i to było obrzydliwe. Jakaś babina narobiła wrzasku, ludzie zaczęli się gromadzić. Pobiegłam Kruczą do Alej, słyszałam za sobą tupot wielu nóg. Ostatkiem energii odbiłam się od krawężnika i wzleciałam. Bardzo lubię ten moment zachłyśnięcia się nieprawdopodobną wolnością, ale tym razem zepsuła mi go wściekłość na samą siebie, przypomniałam sobie, że jestem w zwykłych figach, a nie w tych z koronkowymi falbankami. Trudno, niech się gapią na byle jakie, jeśli już tak pozadzierali głowy do góry, jakby nigdy jeszcze nie widzieli latającej dziewczyny. Wylądowałam na stopniu autobusu 175, resztką energii rozsunęłam zamykające się drzwi i wcisnęłam się do środka. Ciekawa jestem, czy o tym całym zdarzeniu napiszą w Expressie? Jak myślisz: czy włamywacze czytają Express? Czy taki jeden domyśli się, że to o mnie? Czy przyjdzie na kolację? No to jak będzie z tym przepisem na pasztециki z móżdżkiem? Dasz czy nie? Dlaczego w kółko pleciesz o temperaturach, o przelotnych opadach? Przecież pytam, jak człowiek, odpowiedz jak człowiek! Nie zachowuj się, jak bezpańska krowa na rynku, do której każdy może podejść i ją podoić, a ona ani me ani be, gadaj idiotko, bo ci ten twój słodki głosik...

NARRATOR: Teraz, już powinno się zdarzyć coś dobrego, coś co rozładuje jej napięcie i pozwoli wrócić do normy. Jak znaleźć tego gałgana, który do obcego domu wszedł, jak po swoje? Może jemu udałoby się odwrócić bieg wydarzeń, które zmierzają w złą stronę. Jest coraz bardziej podniecona, będzie się coraz gwałtowniej zachowywać, będzie traktować przedmioty jak ludzi, spoufalać się ze świętym Antonim, aż wreszcie zacznie krzyczeć głosem nie do zniesienia, wprawi w panikę cały dom, a kiedy przez zamknięte okno wyrzuci pelargonię i budzik „Jantar" – sąsiedzi zawezwą karetkę z



krzepkimi sanitariuszami. Czy nie można by jej pomóc zanim będzie niezbędny kaftan bezpieczeństwa?

DZIEWCZYNA: Biedna, mała drżąca Pelasia, tak długo czekała na mnie. No i jestem. Spójrz tylko, co ci kupiłam. Wózek. Będę cię teraz wozić po całym mieszkaniu i po tarasie. Nie, na ulicę nie, wiesz, jakich mamy sąsiadów, zaraz by zadzwonili, wiesz gdzie, przecież to są straszne chamy. Hopla! A teraz wyjedziemy na taras, o, tu ci będzie dobrze. Zaśpiewam ci, ale jeśli mnie jeszcze raz wyśmiejesz za to, że fałszuję – to cię ogolę, liść po liściu, rozumiesz? I zostanie pusty wózek. I przestań się wreszcie trząść! Boisz się? Ja także się boję! Bój się, bój się!

NARRATOR: Co robić? Kogo poprosić o pomoc? Przecież nie wolno dopuścić do tego, co tu się za chwilę stanie!

DZIEWCZYNA: Muszę ci coś wytłumaczyć, Jantoś. Ja wiem, że masz dobre serce i wiem, że mnie lubisz. Ale ani jedno, ani drugie nie upoważnia cię do tego, żebyś mnie nie budził o godzinie, o którą cię prosiłam. Dlaczego sprawiasz mi kłopot? Ja jestem na każde twoje zawołanie, staram się, żeby ci było dobrze, a jak ty masz zrobić dla mnie najmniejszy drobiazg, to od razu ci jest za ciężko. Masz taką poczciwą, okrągłą, wesołą mordkę i taki ładny głosik. Kto by przypuszczał, że taki z ciebie egoista! Zdaje się, że trzeba ci twardej ręki, inaczej zupełnie się rozklekocesz. I nie rób takich głupich min! Widzisz? – mam tu młotek. Jak cię walnę, to wszystkie sprężynki pogubisz! I nie drwij ze mnie! Nie potrzebuję ciebie! Nie potrzebuję nikogo! Mam dosyć waszej łaski! Wynoś się! Wynoście się wszyscy!

Brzęk tłuczonego szkła, przez okno wylatuje budzik, pelargonia, lustro; hałas demolowanego mieszkania, sąsiedzi walą w ściany, krzyczą.

NARRATOR: Przecież mówiłem, że to się zbliża! Jak można tak biernie przyglądać się cudzemu nieszczęściu? Czy naprawdę najważniejszy jest spokój we własnym mieszkaniu i jak najszybsze pozbycie się uciążliwej sąsiadki? Pewnie już zadzwonili na pogotowie. Lada chwila rozlegnie się sygnał karetki *(słychać sygnał karetki)* i wprawni sanitariusze wyważą drzwi *(słychać trzask wyważanych drzwi i krzyk Dziewczyny).*

SANITARIUSZ I: Przytrzymaj jej łapy!

SANITARIUSZ II: No i po krzyku. Dziecku ładnie w tym kaftaniku. No, a teraz pojedziemy na spacerek za miasto.

SANITARIUSZ I: A ten jak tu wlazł? Czego?

CHŁOPIEC: Przyniosłem ci trochę orzechów, basiu-basiu. Widzę, że masz gości, czy nie przeszkadzam?

NARRATOR: Czy okaże się człowiekiem, czy zechce pomóc? Sięga po orzechy, po co te orzechy w takiej chwili? Ale z kieszeni wyciąga naszyjnik z lazurytów i nakłada je na szyję nieruchomej Dziewczynie. Ona patrzy na Chłopca niebieskogranatowymi oczami i wszystkie paciorki także jakby na niego patrzyły. Sanitariusze przytomnieją.

SANITARIUSZ I: Niech nam pan nie przeszkadza! Na służbie jesteśmy!

SANITARIUSZ II: Nastąp się Romeo! Możesz swoją Julcię odwiedzać codziennie między 15 a 17.

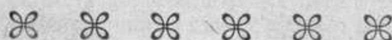
NARRATOR: Sanitariusze popychają Dziewczynę ku drzwiom. Wyrywa się im gwałtownym szarpnięciem, wybiega na taras i mocno odbija się od jego krawędzi. Połamie sobie kości! Zabije się! Ludzie, pomóżcie! Ja nie mogę, jestem tylko głosem!

SANITARIUSZ I: Nie gap się w dół, tumanie, popatrz w górę! Ona lata!

CHŁOPIEC: Wiesz, basiu-basiu, zgorszyłaś mnie. Chałupa pełna gości, a ty ich zostawiasz i jeszcze im świecisz nad głową majtkami. A co mam zrobić z orzechami, pognać za tobą aż do Łazienek?

NARRATOR: Uciekła im, uciekła im! Poleciała! Rozwiązane rękawy powiewają jak skrzydła, jej rudawe włosy lśnią... Lepiej będzie jeśli zamilkniesz, sentymentalny mazgaju.

SANITARIUSZ I: Ty, a jak my się rozliczymy przed szefową? Przecież ona nam nie uwierzy!



Dumzdej!!!

Kilka lat strawiłem za młodu na heavy-metal-punkowym męczeniu elektrycznej gitary. Nie trafiłem niestety do Jarocina (absolutny brak słuchu), paru jednak rzeczy się nauczyłem. Między innymi tego, że kiepskiemu gitarzyście wara od dobrego instrumentu. Póki piłuje na „defilu" wzmacniacz rzęzi, gitara rzęzi i można wytrzymać. Ale na „Gibsonie" cała jego mierność wyłazi na wierzch w sposób tak jaskrawy, że nic, tylko usiąść i się wstydzić.

Później, kiedy zarzuciłem karierę gwiazdy rocka na rzecz twórczości SF, przekonałem się, że i tu jest podobnie. Nie ma co brać się od razu za łeb z największymi problemami tego świata. Autor, którego możliwości warsztatowe swobodnie wystarczają na space operę lub bajeczkę o wyprawie po ukryte w górach skarby, na wielkim temacie wykłada się z reguły malowniczo jak Flap na skórce banana. A potem musi łykać ukradkiem łzy i długo masować obolałe siedzenie.

Miewało się w życiu takie pouczające przygody. Toteż doświadczam teraz złośliwej satysfakcji, kiedy na tym samym bananie wywija orła kto inny. Zwłaszcza jeśli jest to autor starszy wiekiem i stażem i ceniony wśród fanów. Takiej właśnie niechrześcijańskiej radości dostarczył mi „Stan zagrożenia", najnowsza książka Jacka Sawaszkiewicza.

Szczeciński autor od dawna już nikogo nie zaskakuje, trzymając się z powieści na powieść jednego strychulca. Jego recepta na sukces jest prosta: dużo seksu, dużo sprawnie namotanej fabuły, zwięzły precyzyjny styl. I nade wszystko: ślizganie się po powierzchni tematów najmodniejszych przed kilkoma (ach, te cykle wydawnicze!) laty. Pogłębiania tematu raczej nie ma się co spodziewać – „mistrz nie po temu". Mistrz wyspecjalizował się w opowiadaniu ciekawostek rodem z „Kuriera Polskiego", i jak dotąd dobrze mu z tym było mimo recenzenckich cięgów, jakie zebrał od Parowskiego i Oramusa.

Podejrzewam, że „Stan zagrożenia" to właśnie efekt ich recenzji. Sawaszkiewicza wyraźnie zabolał zarzut, że stroni od poważnych problemów tego świata. Wziął zatem na warsztat (a daj mi Boże taki warsztat, ale całą resztę dawaj mi od innych pisarzy) temat wielki, tragiczny i w ogóle najpoważniejszy z możliwych. Przyjął mianowicie misję ostrzeżenia rodaków przed totalnym dumzdejem, atomową zagładą i ostatecznym kresem ludzkiej cywilizacji.

Jak na starego fachurę przystało, najpierw przeryl starannie literaturę przedmiotu – bomba faktycznie wybucha bez picu, dobre i to. Rozplanował też dwupłaszczyznową fabułę. Pierwszy jej plan to opis zagłady trafionego termojądrową rakietą miasta, zawarty w dziele tajemniczego proroka Eliasa (prorok to bardzo pożyteczne w SF stworzenie; aby go uzyskać wyżymamy kilka powieści Dicka do szklaneczki i zarabiamy wodą). Plan drugi natomiast to ponura rzeczywistość imperialistycznej Ameryki, gdzie wszyscy żłopią coca-colę, gonią za dolarami (Polakowi trudno to zrozumieć) i zioną obsesyjną nienawiścią do postępowych systemów społecznych. Z zawartych w tym planie wzmianek wynika, że za kilka lat proroctwo Eliasa niechybnie się spełni, ale w ogólnym, właściwym dla upadającego, amerykańskiego systemu rozwydrzeniu nikt na proroka nie zwraca większej uwagi. Poza, oczywiście, znanymi nam już z „Kroniki Akaszy" reporterami z Dutson, goniącymi za tanią sensacją i zionącymi nienawiścią. I poza agentami wszechobecnej CIA, którzy pragną proroka zwinąć, ale to im się nie uda. Bo to wcale nie był prorok, tylko autentyczny kosmita w skali jeden do jednego! Ha! Przyleciał nas ostrzec, ale niestety trafił do USA, gdzie potraktowano go jak ciekawostkę zoologiczną w stylu potwora z Loch Ness. Więc się obraził i wrócił do swoich, a głupi jankesi będą nadal budować rakiety, żłopać coca-colę i zionąć nienawiścią, aż im się zrobi jakieś zwarcie w tych ich prymitywnych komputerach, i wywołają wojnę, i będzie Dumzdej.

Wstrząsające, prawda?

Uczciwie muszę dodać jeszcze, że w notce na okładce zapowiadany był jeszcze jeden plan, ale go nie zauważyłem. Może jestem tępy. Chodziło (według słów wydawcy) o *eksperyment socjologiczny (...) będący próbą wprowadzenia poprawki do »Apokalipsy« Jana Ewangelisty.* Przy okazji, jeżeli już, to świętego Jana, nie zabierajcie mu tego tytułu, daję głowę, że harował na niego cokolwiek ciężej niż autor notki na swoje „mgr".

Wracając do naszej zagłady: autor nie szczędzi wysiłków, żeby czytelnikiem wstrząsnąć, a przynajmniej zniesmaczyć go wyrafinowanymi opisami śmierci swych bohaterów – pieczonych, gotowanych żywcem w basenie albo *rozsmarowywanych na jezdni jak masło na grzance* przez fruwające dachy. Galeria owych bohaterów jest tak oryginalna, że dreszcz bierze nawet bez bomby: młody chłopiec, który bardzo chce zostać już mężczyzną, ale nie może, bo obiekt jego westchnień chce zostać kobietą z kim innym; młoda dziewczyna, która też chce i też nie może; stary, fanatyczny pułkownik, zionący nienawiścią; starzejąca się temperamentna samica „bez przesądów", szukająca sobie buhaja; ciężarna w ostatnich miesiącach; niewinne pacholę, które nie wie co jest grane. I tak dalej. Wszyscy oni oczywiście zostaną przez autora naniesieni na listę trupów, ze smutnym krzyżykiem przy nazwisku. Przepraszam, pacholę i młodzieniec przeżyją. Ale za to reszta! Starzejącą się nimfomankę, na przykład, przebodzie wielki maszt antenowy i przyszpili ją z zadartymi nogami do samochodu (celem lepszego wstrząśnięcia czytelnikiem autor najpierw ją rozbierze), a między te zadarte nogi wpadnie resztka spopielonej wybuchem głowy jej ostatniego buhaja. Ot, jaką chorą wyobraźnię mają ci kosmici.

Żeby wstrząs był pełny i skuteczny, autor wyciąga z rękawa jeszcze jeden dramatyczny efekt: kończąc ponurą wizję atomowej zagłady listą opatrzonych krzyżykami imion ofiar, zostawia na niej wolne miejsce z adnotacją: tu wpisz drogi czytelniku imię swoje, swojej matki, żony, szwagra i pana od PO.

No i co! No i pstro, a myślałby kto, że coś, jak śpiewała kiedyś pani Rodowicz. *Żarty, kpiny,* jak pisał Tolkien. A co ja albo moja żona mamy do roboty wśród tej zbieraniny wyciętych z gazetowego papieru półgłówków? To, że gazeta była amerykańska, niewiele znaczy. W ogóle mam wrażenie, że Sawaszkiewicz coraz nachalniej przepisuje podrzędną amerykańską prozę dla nieinteligentnych, z kalkowaniem amerykańskich słów i idiomów włącznie. Jego próby, by skleić z cudzych słów jakieś niebanalne i mądre zdanko dają efekty wręcz żenujące. Warto, na przykład, żeby autor miał jakieś pojęcie o religii, jeśli ma zamiar się z niej na kartach swej książki podśmiewać.

Mam jeszcze jeden cytacik: *du-du, jest i piec i gaz, a skutków jakoś niet* („Lady Pank"). To znaczy: pisze nam się gładko, wątki plączą się w zgrabne supełki (szkoda, że nie zawsze się potem rozplątują; w planie współczesnym przydałoby się tu i ówdzie coś na kształt puenty, albo druga bomba, jeśli inaczej się nie da), zdania ciekną równiutko jak olej uniwersalny z fabrycznego opakowania, a czytelnik, zamiast rzucić się z krzykiem na najbliższą amerykańską bazę wojskową, drapie się czegoś w łepetynę i spogląda głupkowato spode łba, jakby nie wiedział, czy się bać, czy płakać. *Takiż to świat, okrutny świat, czemuż innego nie ma świata* (Leśmian, i naprawdę już kończę z cytatami) i takiż jest ponury, pisarski fach. Nie zawsze wystarczy zlać do gara odpowiednie ingrediencje w odpowiednich proporcjach. Trzeba jeszcze odrobiny tego „Czegoś", co nie bardzo daje się nazwać, co pisarz ma albo nie, jeśli się z tym nie urodził – a bez czego literatura staje się wypchanym trocinami ptakiem, który ma skrzydła, ma pióra i wszystko co trzeba, a czegoś, cholera, nie chce się wzbić w przestworza.

Poważnie: jest takie powiedzenie, że nie należy sobie robić jaj z pogrzebu. Zwłaszcza jeśli faktycznie może się zdarzyć, że będziemy w nim grać główną rolę. Czytałem kiedyś, że film „The Day After" pociągnął za sobą falę masowych naśladownictw, w których ewentualną katastrofę sprowadzono do roli jeszcze jednego King-Konga czy monstrualnej wielkości rekina z butlą tlenu w rozdziawionym pysku. Jacek Sawaszkiewicz, jak się zdaje, miał zamiar przeciwko takim właśnie praktykom zaprotestować. Zamiast tego dołożył do nich swoją cegiełkę, opisując czterdziestu tysiącom czytelników malowniczy Dumzdej (tak właśnie, nie „doomsday"). Nie ostrzega, nie chwyta was za gardło. To po prostu sprawny rzemiecha, który wybrał sobie temat na kolejne piętnaście arkuszy autorskich. Pośliznął się na nim, ale to nic, wstanie, otrzepie hajdawery i rozejrzy się za materiałem na nową powieść.

Sawaszkiewicz nie mieszka na podejściach do pasa startowego lotniska Okęcie, tak jak mi to zostało dane. Nie zdarza mu się, że w środku nocy wyrwie go nagle ze snu potworny ryk, od którego trzęsą się szyby w oknach. Nie zrywa się wtedy z pościeli z łomotem serca, z rozpaczliwą myślą „Boże, czy to już?!"

I nie idzie potem chwiejnym krokiem do kuchni, żeby napić się wody i z wolna wracając do rzeczywistości uświadomić sobie, że którejś nocy może to nie być kolejny startujący nad dachem odrzutowiec. Że za którymś razem może nie będzie już można odetchnąć i wrócić pod kołdrę, do otulonej mgiełką ciepłego snu żony.

Być może, gdyby było to jego udziałem, poprzestałby na metempsychozach i reinkarnacjach. Są takie gitary, na których potrafią grać tylko najlepsi.

Rafał A. Ziemkiewicz

Jacek Sawaszkiewicz: *Stan zagrożenia*. Wydawnictwo Poznańskie. Poznań 1987. Cena 300 zł.

Uwaga: Idzie Jabłoński!

Mirosław Piotr Jabłoński należy w tej chwili do najbardziej utalentowanych autorów fantastyki naukowej w Polsce, choć nie wszedł do literatury z takim rozmachem i rozgłosem, jak nieco starsi od niego Marek Oramus i Maciej Parowski albo rówieśni mu Marek Baraniecki i Andrzej Drzewiński. Ale też, jak się domyślam, wynika to z faktu, że Jabłoński działa jakby na uboczu całego rozbudowanego ruchu amatorów i autorów SF, że jest człowiekiem przychodzącym do tego typu literatury z zewnątrz, ale nie przychodzącym z pustymi rękami. Już debiutancka powieść „Kryptonim »Psima«" pokazała jego talent i umiejętności, a potwierdziła je: druga książka – nie wydana jeszcze, ale czytana w radiu – „Schron", jak również opowiadania, na które uważny czytelnik mógł trafić w ciągu ostatnich kilku lat w czasopismach różnego typu. No i teraz mamy drugą opublikowaną powieść Jabłońskiego: „Nieśmiertelny z Oxa".

Pierwsza myśl, jaka nasunęła mi się po odłożeniu powieści Jabłońskiego to ta, że mam do czynienia z niezwykle sprawnie napisaną prozą rozrywkową. Nie pamiętam, by w tym pokoleniu – włączając w to również wymienionych na wstępie autorów – ktoś potrafił tak konsekwentnie zaplanować i tak precyzyjnie zrealizować utwór prozatorski. Częściej spotykamy euforyczne wizje i gwałtowne przełamania toku narracji. Jabłoński postępuje z zimną precyzją wytrawnego zawodowca, choć to przecież dopiero jego trzecia powieść (a może nawet druga, bo możliwe że została napisana wcześniej niż „Schron"). Śmiało operuje kilkoma płaszczyznami czasowymi, to znaczy czasem teraźniejszym, w którym bohater pędzi jeepem przez pustynną krainę doznając konwencjonalnych w tej sytuacji przygód oraz kilkoma poziomami retrospekcji, przez które ujawnia autor wszystkie motywy kierujące bohaterem jego powieści i – co najważniejsze – pokazuje całe uwikłanie jego życia wewnętrznego.

Doprawdy rzadko się zdarza w fantastyce naukowej, by postaci miały tak rozbudowaną psychikę, by były w tak wszechstronny sposób pokazane od tej strony, jak to jest właśnie w „Nieśmiertelnym z Oxa". Z reguły bohaterowie utworów SF wyrażają się przez swoje czyny, ich życie wewnętrzne praktycznie nie istnieje na kartach powieści. U Jabłońskiego inaczej: postępowaniem bohatera kieruje zawiła plątanina nienawiści i miłości, strachu i brawury, poczucia obowiązku i nieodpowiedzialności. I autorowi udało się znaleźć taki literacki sposób, by wszystko to pokazać w sposób bardzo atrakcyjny dla czytelnika, nie bojąc się przy tym gwałtownych przełamań płaszczyzn czasowych, brawurowych skojarzeń, przeskoków akcji w czasie i przestrzeni. W rezultacie relacjonuje równolegle kilka wątków, precyzyjnie prowadząc je do swoistej wspólnej kulminacji w zakończeniu powieści, kiedy zapadają rozstrzygnięcia najważniejsze i kiedy bohater zyskuje jakieś tam, niepełne z oczywistych względów, rozeznanie tego, w jakiej sytuacji się znajduje.

I przed oczyma czytelnika zostaje odsłonięte całe życie bohatera powieści, jego fascynacja – jak się okazuje... (nie, nie ujawnię kim ona jest) Melly i jego nienawiść do Krafta, błysk uczucia (Rita), które mogło odmienić jego los i wyrwać go z zaklętego trójkąta, ciążąca na nim przez całe życie sprawa ojca, którego – jak się też okazuje – figury życiowe bohater nieświadomie powtarza swym własnym życiem, uczucie synowskie do matki i wszystkie dramatyczne przypadki z życia zawodowego i wreszcie historia ostatniej, najważniejszej i skazanej na niepowodzenie (piszę wprost, bo to nie do końca prawda) wyprawy, która ujawnia istnienie nieśmiertelnych oraz alternatywnego Wszechświata itd., itd.

Jak z tego pobieżnego wyliczenia widać Jabłoński odwołuje się raczej do wątków i pomysłów już w SF i innych rodzajach literatury rozrywkowej wykorzystanych wielokrotnie. Nic w tym złego, na tych obszarach literatury (i nie tylko na tych, nie miejmy kompleksów) pomysły wracają, przekształcają się w schematy narracyjne. Nie w tym więc rzecz, ale w tym, że Jabłońskiemu udało się z tego materiału, przeżutego już przez innych, sporządzić bardzo zgrabną całość, tchnąć w nią nowe życie i podać w taki sposób, że wcale ta schematyczność szczegółów nas nie razi, bo służy jakby nowym celom, pokazuje, że za schematami też można dostrzec rozległą problematykę psychologiczną niczego nie ujmując przygodowości. W ten sposób autor „Nieśmiertelnego z Oxa" daje do zrozumienia, że zaczyna mu się robić za ciasno w tych ograniczeniach, które nakłada nań SF, że będzie musiał poszukać innych możliwości pisarskich dla siebie i – jak już wiem po lekturze jego propozycji jeszcze nie opublikowanych – robi to i dobrze rokuje na przyszłość.

Leszek Bugajski

Mirosław Piotr Jabłoński: *Nieśmiertelny z Oxa*. Wydawnictwo Glob, Szczecin 1987. Cena 250 zł.

Polując na śmierć

Nieczęsto zdarza się, że powieść SF zaspokaja wybredne gusty krytyków i miłośników literatury pięknej. Większość produkcji tego gatunku opiera się na utartych schematach i konwencjonalnych chwytach. SF często coraz mniej ma wspólnego z grą swobodnej wyobraźni, która stanowi przecież konstytutywny element fantastyki. Wtórność motywów i konwencji nie jest jednak zjawiskiem zupełnie nowym. Nawet fantazja ma swoje granice, możliwość kombinacji wcale nie jest nieskończona. Granice te wyznaczają ludzkie sposoby postrzegania i myślenia, które działają trochę tak jak kantowskie formy zmysłowości i kategorie intelektu. Budując najbardziej niesamowite światy zawsze korzystamy z materiału dostępnego naszej wyobraźni, którego dostarcza wspólny nam wszystkim świat. Chyba dlatego tak niewiele znajdujemy w literaturze wiarygodnych i odkrywczych przedstawień spotkań z obcą cywilizacją. Tak daleko nasza wyobraźnia nie sięga, możemy tworzyć rzeczy dziwne, ale nie nieludzkie. Na całe szczęście fantazja w naszym wymiarze i tak posiada olbrzymią ilość pokładów i możliwości. Szkoda tylko, że masowa literatura i film za wszelką cenę usiłują zaprzeczyć temu faktowi.

W tym kontekście niezwykle cieszy lektura powieści zaskakującej, innej, z trudem mieszczącej się w schematach, a taką z pewnością jest „Łowca śmierci" Iana Watsona. Wydanie tej książki częściowo wypełnia lukę w naszej znajomości twórczości znanego i popularnego angielskiego pisarza. Wcześniej tylko „Fantastyka" prezentowała jego dwa opowiadania (numery 5/87 i 8/87).

„Łowca śmierci" wprowadza czytelnika w świat dziwny i niepokojący. Oglądamy go oczyma głównego bohatera Jima Todhuntera, który pełni istotną funkcję w wyimaginowanym społeczeństwie – przewodnika w Domu Śmierci. Ideologia, wyznaczająca strukturę tego świata, opiera się na specyficznym kulcie i nobilitacji śmierci.

Todhunter, zamiast spełniać swoje urzędowe obowiązki, wikła się coraz głębiej w badania dotyczące natury śmierci. To, co wydawało się rojeniem wariata, okazuje się istniejącym faktem. Konfrontacja rzeczywistości z wizją obłąkanego to w ogóle podstawowa struktura kształtująca świat powieści Watsona. Todhunter polując na śmierć, łamie granice i przenika na drugą stronę tajemnicy, ale to tylko jedna warstwa „Łowcy śmierci".

Wraz z rozwojem akcji rzeczywistość staje się coraz bardziej niespójna, zaskakująca, okrutna. Obrazy upodobniają się do surrealistycznych i groteskowych wizji, choć nadal tkwią swą logiką w świecie percepowanym przez Todhuntera. Dopiero zakończenie powieści w zupełnie zaskakujący sposób zmienia perspektywę rozumienia całej przedstawionej rzeczywistości. Watson w świadomy sposób kształtuje materię swego utworu. Końcowe zaskoczenie opiera się na zmianie perspektywy narracyjnej. Użycie konkretnych punktów widzenia odróżnia „Łowcę śmierci" od większości utworów SF, które z reguły posługują się wszechwiedzącą, przezroczystą narracją.

Ostatnie rozdziały książki przenoszą punkt widzenia narracji ze świadomości Todhuntera do psychiki Noela Resnicka. Dzięki temu zabiegowi cała historia okazuje się wytworem wyobraźni obłąkanego kapłana. Wizję tę pracownicy Domu Życia obserwują dzięki specjalnemu urządzeniu – psychoskopowi. W tym momencie czytelnik rewiduje cały swój dotychczasowy pogląd na poznawany świat. Wiele elementów staje się jasnymi i zrozumiałymi dzięki wprowadzeniu nienormalności ich twórcy. Próby uporządkowania materii powieściowej okazują się jednak po chwili bezowocne. Ostatnie strony utworu w pewien sposób likwidują jedność ontologiczną świata przedstawionego. Rzeczywistość uznana przez czytelnika za realną i wytwór obłąkanego umysłu zaczynają się na siebie nakładać, następuje nie tylko analogia odczuć i zdarzeń, ale również pewne przebicie dwóch różnych światów. I w tej sytuacji autor pozostawia czytelnika samotnego, zezwalając mu na snucie dalszych domysłów i refleksji.

„Łowca śmierci" to doskonale napisana literatura dająca wiele możliwości interpretacyjnych. Watson swobodnie porusza się zarówno w świecie symboliki kulturowej, jak i wyobraźni surrealnej. Zakresem poruszanej problematyki „Łowca śmierci" włącza się w ambitny nurt SF. Utwór ten stanowi refleksję nad możliwością poznania świata, granicami obiektywizmu i subiektywizmu. Watson podobnie jak Dick podważa naszą wiarę w prawdziwość percepowanego przez nas świata. Czy nasze decyzje i wybory mogą stać się zalążkiem nowych, odrębnych rzeczywistości? Zdezorientowani bohaterowie wraz z czytelnikami snują refleksje dotyczące alternatywnych egzystencji i możliwych światów równoległych.

„Łowca śmierci" to ciekawie napisana powieść o problematyce wyraźnie epistemologicznej, którą można polecić wszystkim zwolennikom dojrzałej, ambitnej SF.

Małgorzata Skórska

Ian Watson: *Łowca śmierci*. Przełożył Michał Wroczyński. Wydawnictwa „Alfa", Warszawa 1987. Cena 320 zł.

Piekara Jacek

(ur. 1965)

Student prawa, autor fantastyki

Urodził się 19 maja 1965 r. w Krakowie. Jest studentem prawa na Uniwersytecie Warszawskim. Debiutował w 1983 r. opowiadaniem „Wszystkie twarze szatana" zamieszczonym na łamach sierpniowego numeru „Fantastyki". Swoje teksty drukował również w „Odgłosach", „Młodym Techniku", „Problemach", „Feniksie" i „SFerze". W 1987 r. ukazały się jego powieści: **„Labirynt"** (Almapress) i **„Smoki Haldoru"** (Iskry).

Twórczość Jacka Piekary nawiązuje do literatury fantastycznej spod znaku „miecza i czarów". Autor poszukuje dopiero odpowiednich form wyrazu, czerpie z poetyki modernistycznej, kreśli nastrojowe parabole, wprowadza narrację oniryczną, ukazuje walkę dobra ze złem uwikłaną w tematy społeczne, polityczne.

Pik Franciszek Czcisław

Pseudonim: Mirandola Franciszek

(1871-1930)

Poeta, krytyk literacki, tłumacz, prozaik

Urodził się 13 grudnia 1871 r. w Krośnie. W latach 1891-1893 studiował farmację na Uniwersytecie Jagiellońskim, później wyjechał do Berlina, Heidelbergu i Paryża na studia filozoficzne i literackie. Po powrocie do kraju osiadł w Krakowie. Ogłosił kilka tomików poetyckich, m.in. „Liber tristum" (1898), „Liryki" (1901), i dwa zbiory opowiadań „Tempore belli" (1916), „Tropy" (1919). W 1906 r. wyjechał do Raperswilu, później zamieszkał w Krośnie. Pracował jako aptekarz dzierżawiąc apteki w Bukowsku, Krośnie, Łęcku i Stryju. W czasie wojny przeniósł się do Krakowa. Związany był z ruchem socjalistycznym (był członkiem redakcji „Naprzodu", współpracował z „Ogniwem" i „Robotnikiem"). Redagował „Ekran", zajmował się pracą przekładową (przetłumaczył ok. 200 tomów prozy i poezji m.in. Rollanda, France'a, Kiplinga, Baudelaire'a, Maeterlincka, Tagorego). W latach 1919-1921 przebywał w Warszawie, pisał scenariusze filmowe, współpracował z pismem „Strażnica Polska". Od 1921 r. mieszkał w Krakowie żyjąc na skraju nędzy i tu zmarł 4 czerwca 1930 r.

Franciszek Pik jest dziś, na dobrą sprawę, autorem zapomnianym. Jego nazwisko nader rzadko pojawia się w poetyckich antologiach modernizmu, opowiadania nie są wznawiane, opinie krytyczne nie przetrwały próby czasu. Może dlatego, że utwory tego pisarza nazbyt dobrze odpowiadały zamówieniom epoki, stanowiły egzemplifikację manifestów Maeterlincka, Przybyszewskiego, a ich niewątpliwe wartości literackie osłabiał metaforyczny język, udziwnienia stylistyczne, emocjonalny stosunek do rzeczywistości. Była twórczość Pika ilustracją filozoficznych przemyśleń Schopenhauera ukazujących bezradność życia ludzkiego podtrzymywanego wyłącznie przez ślepe siły, popędy; mówiła, że istotą tego życia jest bezmiar cierpienia, że świat jest dla człowieka piekłem, a prawdziwe męczarnie zadaje nam nie szatan, lecz inny człowiek. Powiadał Mirandola, że ludzkie dążenie do szczęścia jest wędrówką daremną, że szczęście jest czymś nieuchwytnym i nieosiągalnym, a naszej egzystencji towarzyszy ciągle uczucie niedosytu wynikające z niemożności zrealizowania pragnień. Tylko filozofia, sztuka, religia może zmniejszyć ból człowieka, ukoić jego tęsknotę za utopią, innym, doskonalszym światem. To ona powstrzymuje działanie popędów, nadaje jakiś sens nędzy naszego istnienia. Uczeni i artyści stają się zatem symbolami metafizycznej strony człowieka i świata.

Korzystał także Mirandola z koncepcji innego myśliciela epoki – Bergsona. Nie intelekt – twierdził – lecz intuicja najgłębiej rozpoznaje świat i najpełniej ukazuje jego różne wymiary, znaczenia. Ciasny praktycyzm rozumu zniekształca obraz rzeczywistości: badania naukowe zajmują się wyłącznie zewnętrzną stroną bytu, toteż nie mogą ujawnić indywidualnych, osobniczych właściwości podlegających działaniu tajemniczego „pędu życia" umieszczonemu wewnątrz widzialnego świata.

Fantastyka w twórczości Mirandoli wywodzi się z tradycji europejskiego symbolizmu zrodzonego we Francji, związanego z nazwiskami takich autorów, jak Verlaine, Rimbaud, Mallarmé, Claudel i Valery. Bliższy był jednak Pik – Maeterlinckowi w jego poetyckiej, odrealnionej wizji świata, próbie dotarcia do takich obszarów psychiki, których nie sposób zbadać za pomocą rozumu. Głosił za Maeterlinckiem, że celem twórczości jest poznanie tajemnicy bytu, że zmysły odzwierciedlają rzeczywistość idealną, a piękno i prawda stanowią wyznaczniki absolutu. Aby opisać ów świat trzeba posłużyć się symbolami, znakami, które zawierają treści głębsze od realnych, nieokreślone, tajemnicze. Stąd też opowiadania Mirandoli są utworami wieloznacznymi, próbują oddać migotliwość przeżyć za pomocą nieuchwytnych słów i doznań (zob. tom: Tropy, Kraków 1919, nakł. czasopisma „Maski"; zawartość: Zatruta studnia, Ulica dziwna, Wolność, Cel, Pułapka, Świt, Pociąg nadzwyczajny, Gościniec dusz, Stary dom, Zamknięte, Chleb i woda, Hotel pod Ideałem, Dola, Drogowskaz, Lux perpetua).

Fantastyka Mirandoli niezwykle rzadko sięga do motywów scjentyficznych. Wyjątkiem jest jego opowieść „Sztuczny żołnierz" powstała po tragicznych doświadczeniach I wojny światowej, opublikowana w czasopiśmie „Maski" (1918, nr 15). Treścią utworu stają się losy genialnego samouka-wynalazcy Protazego Kulasa, który pragnie zapobiec rozlewowi krwi i buduje automat, zastępujący żołnierzy na polu walki. Ku zdumieniu wynalazcy maszyna odmawia posłuszeństwa przechylając szalę zwycięstwa na korzyść przeciwnika.

„Sztuczny żołnierz" jest utworem o wyraźnej wymowie pacyfistycznej, a bunt automatów służy udowodnieniu tezy, że tylko człowiek może przekroczyć granicę podłości występując otwarcie przeciw drugiemu człowiekowi.

Teoretycy rodzimej science fiction (zob. np. R. Handke, Polska proza fantastyczno-naukowa. Problemy poetyki, Wrocław 1969) uznają pacyfistyczną opowieść Mirandoli za jeden z prekursorskich tekstów naszej SF. Ale nie jest to utwór dla Mirandoli reprezentatywny. Dlatego też przedstawiam dziś Państwu inną opowieść Pika, wybraną z tomu „Tropy". Jest to symboliczna, nastrojowa historia o człowieku, który wybiega myślami w przyszłość i zarazem skazany jest na świat odarty z ideałów. Historia o pisarzu, który rozpoznaje ów świat w marzeniach i zwykłej, codziennej, heroicznej rzeczywistości. A może o czymś jeszcze?...

Bibliografia wybrana:

– J. Trznadel, *Obraz Literatury Polskiej*, tom V/1,
– T. Sinko, *Legendy o Poznaniu* (w:) „Czas" 1919/2,
– J. Swierzowicz (w:) „Kurier Lwowski" 1921/113-114, przedruk w książce „Szkice Literackie", s. I, Grodzisk 1936.

Łan niezmierzony leżał pod żarem słońca. Na puszystym dywanie wybielałego od promieni złota uwijali się żeńce.

Człowiek z wiadrem siedział na cembrowinie studni i spozierał zadumany wokół.

Miał przykaz poić wszystkich spracowanych, gdy pić zapragną.

To był jego urząd. Ochotnie wziął sznur z rąk poprzednika, który odszedł zwolniony ze służby we właściwym czasie.

Silnymi ramiony pełnił wiadro dobytą z głębi ziemi krystaliczną wodą.

Przychodzili rozradowani, świadomi, że pracują jak trzeba i chłodzili czoła na powiewie wiatru, nim usta przytknęli do wody.

Przychodzili też, okryci kurzem drogi wędrowcy ze stron dalekich, nie będący pracownikami na złocistym łanie. Twarze ich były obce, ubiory nieznane, mowa dziwna.

I tym dawał pić wedle przykazu.

Zgłaszali się też próżniacy, szydzący z pracowników, ciskający im słowa szydercze. Spragnione ich usta pożądały napoju.

I tym dawał wedle przykazu.

Najchętniej nachylał wiadro ku ustom dzieci zgrzanych, spoconych, zmęczonych zbytkami.

Poił spragnionych, bo ten był cel życia jego. A że myśli jego nie zajmowało w zupełności to zajęcie, przeto pozwalał im krążyć, gdzie chciały.

Zrazu latały wokół ponad łanem i przyglądały się żeńcom.

Byli tam młodzi chłopcy, chylący się elastycznie ku ziemi, dziewczęta w jasnych strojach roześmiane i zalotne, starzy ludzie osiwiali w pracy, poglądający często ku niebu, kobiety wiekowe w czarnych szatach, szepczące pacierze. Łzy padały gęsto z oczu tych kobiet, a spojrzenia szukały raz po raz mogił, kędyś w łanie życia skrytych.

Byli tam kapłani głoszący nauki pracującym. Podnosili ręce nad pochylonymi głowami, darząc pracowników błogosławieństwem niebiosów.

Nie brakło też kramarzy z pudłami, pełnymi tandety i wrzaskliwych skoczków zachęcających do wesołości.

Wróciwszy sponad łanu, myśli usiadły na cembrowinie studni, pytając:

– Gdzie teraz polecimy?

– Lećcie wzdłuż gościńców dalekich, snujących się bezmiarem widnokręgu.

Poleciały.

Wzbiły się zrazu w niebo, by obrać kierunek, potem ruszyły każda w inną stronę świata.

Człowiek z wiadrem pełnił tymczasem dalej swą powinność, w duszy miał przytem wielką ciekawość, co mu też jego myśli przyniosą. Siedział i pracował i tak był zajęty, że nie spostrzegł, iż jedna z myśli nie poleciała wraz z innymi, ale siedziała na cembrowinie niepewna i zakłopotana, strzepując jeno czasem skrzydełkami.

– Czemu zostałaś tutaj? – spytał, spostrzegłszy ją nagle.

– Chcę się udać gdzie indziej – odpowiedziała.

– A dokądże się to chcesz udać?

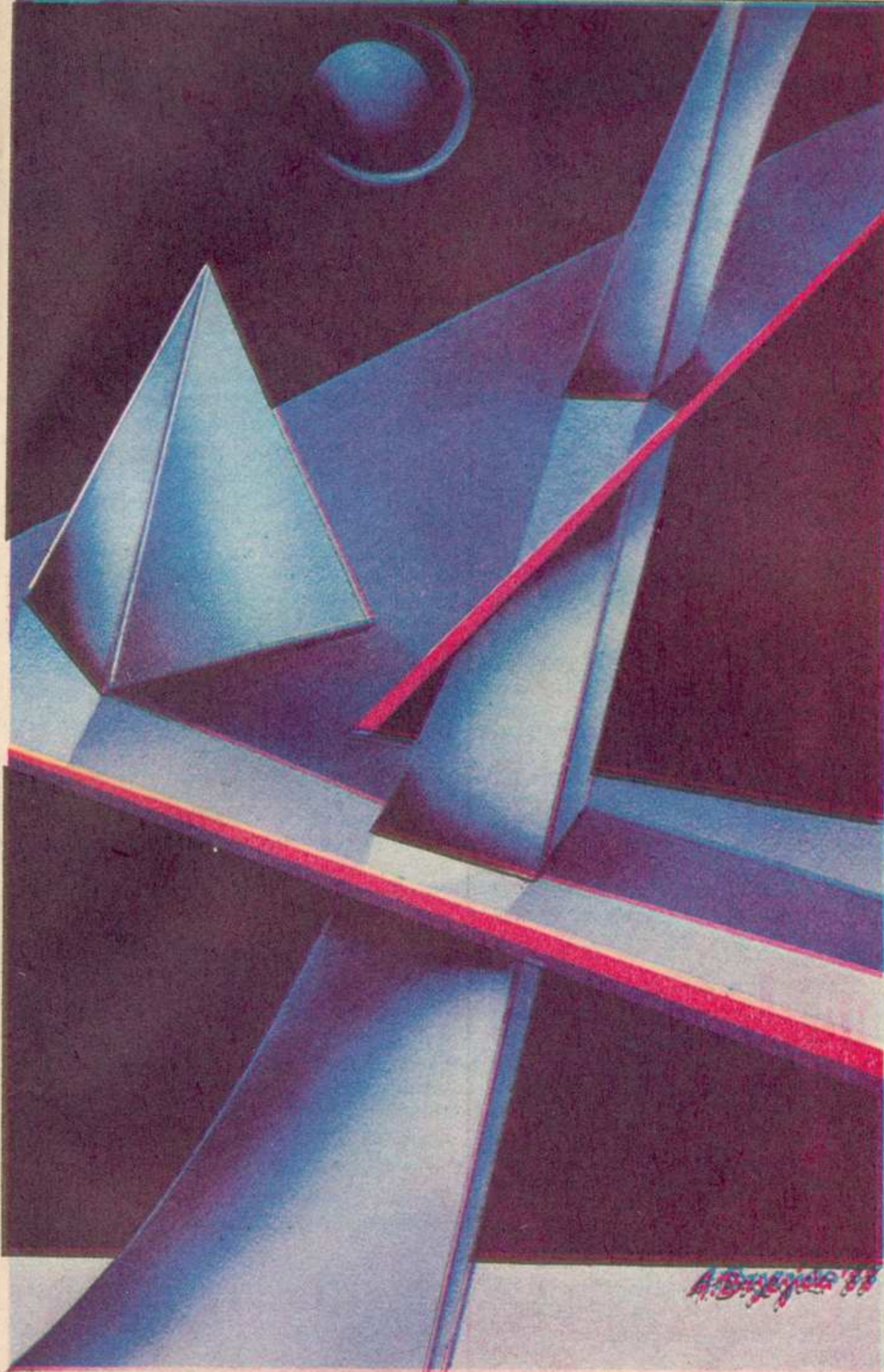
– Chcę zejść w głąb studni.

– Po co?

– Chcę poznać, skąd płynie woda, chcę przebyć całą drogę źródła i widzieć, gdzie jego początek.

– Więc idź!

– Nie mogę tam zejść gołębiem. Przyzwól mi



Zatruta studnia

Franciszek Mirandola

przemienić się w maleńką rybkę albo pajączka wodnego, albo kreta, lub jakie inne stworzenie, tak bym mogła zaspokoić swe pragnienie.

– Dobrze! – odparł. – Daję ci moc przybierania postaci, jakich ci będzie potrzeba. Idź i opowiedz coś widziała.

Znikła, plusnąwszy w wodę, a człowiek z wiadrem pracował dalej, bardziej jeszcze niż przedtem ciekawy na to, co mu jego myśli przyniosą, i spoglądał często w dal, ku skrajowi widnokręgu.

Gdy tak patrzył, ujrzał nagle daleko na równi jakąś postać idącą w jego stronę.

Nieznajomy był biało odziany i połyskiwał na tle zieleni, jak obłok srebrzystego oparu.

Ale obowiązek nie pozwoli Człowiekowi z wiadrem wpatrywać się długo w oddal. Zgłaszali się ludzie, których musiał napoić.

Pracował wytrwale. Wszyscy jednak, którym przychylał wiadra, wydali mu się teraz mniej piękni, mniej godni. Dostrzegał brud ich rąk, rzucały mu się w oczy ślady wyuzdania w ich rysach, w podkrążonych oczach widział ich szał cielesny, w drżeniu rąk, skutek nałogów brzydkich. Młodzieńcy wydali mu się łakomymi samcami, ludźmi żądnymi uciech, dziewczęta rozpustnicami. Starcy wyglądali na skąpców i bezmyślne ruiny, wiekowe kobiety na pozbawione czucia i pobożności dewotki, kapłani nawet przedstawiali mu się teraz bez wiary, bez zdolności do uniesień... świat mu cały zbrzydł i sczerniał w oczach.

Pragnął, by nastała chwila spokojna, kiedy będzie mógł zobaczyć, co się stało z dziwnym nieznajomym.

Gdy napoił ostatniego, postawił puste wiadro na cembrowinie, wstał i przysłoniwszy oczy ręką, zapuścił spojrzenie w dal.

– Bądź pozdrowiony!

Głos jakiś rozbrzmiał tuż obok.

Spojrzał zdumiony i zobaczył, że nieznajomy siedzi na wielkim kamieniu przy studni.

Skłonił się przed nim głęboko. Potem ujął silnymi ramiony linę i wyciągnął świeżej wody.

Pochylił wiadro ku jego ustom.

Nieznajomy uczynił gest odmowy.

– Nie piję tej wody – powiedział.

Człowiek z wiadrem stał zadziwiony i patrzył na przybysza, a im dłużej patrzył, tym bardziej rosło jego zdumienie.

Szata nieznajomego biała była i połyskiwała jak srebro, mimo dalekiej wędrówki czysta, niepokalana. Spadała z jego ramion w przecudnych fałdach, niepodobna zgoła do ubiorów ludzi współczesnych. Ni rąbek jej dolny nawet nie nosił śladu pyłu ni błota, iż wydawało się, że nieznajomy nie dotyka stopami ziemi, ale unosi się ponad nią, jak anioł.

Kapelusz złożył na trawie.

Twarz jego okalały długie, ciemne włosy, spadające w kędziorach na ramiona.

A twarz sama...

Człowiek z wiadrem wpatrywał się w tę twarz długo. Zrazu zgoła nieznana, coraz mu się wydawała bliższą, bardziej pamiętną, podobniejszą do twarzy zapamiętanych kiedyś...

– Znasz mnie? – spytał nieznajomy.

– Nie wiem... coś sobie przypominam... – odparł z wahaniem. Potem dodał: – Wyglądasz panie, jak ktoś znany mi...

– My wszyscy mamy podobne rysy... wszyscy...

– Któż to wy jesteście? – spytał.

– My wszyscy nie pijący tej wody! – odpowiedział przybysz.

W tej chwili szum się rozległ w powietrzu nad głowami rozmawiających.

Człowiek z wiadrem spojrzał w górę i zobaczył stadko gołębi.

Były to jego myśli, które wróciły z drogi.

Sfrunęły na dół i przypadły do kolan nieznajomego, tuląc się doń miłośnie.

Brał je łaskawie do ręki i przyciskał do piersi.

Od dotknięcia jego rąk i szaty stawały się srebrzyste i piękne.

Gołębie opowiadały, co widziały.

Jak daleko sięgnąć mogły wzrokiem, wszędzie na całym świecie pracowali ludzie. Ścinali lasy, karczowali poręby, drążyli się w głąb ziemi, szukając kopalin użytecznych, inni zaś, pozornie nic nie czyniąc, wytężali myśl nad sprawami świata albo znów dumali o tem, zali w zaświatach, w przepastnych głębiach przestrzeni, znajdują się twory podobne ludziom, stworzone na ich podobieństwo. Znów inni zatapiali się w pytaniach o początku i sensie świata, byli zaś i tacy, którym ponad wszystko stało prawić, jak to żyć trzeba poczciwie i zgodnie z wolą bożą.

Wszędy zaś, przy każdej gromadzie siedział zawsze Człowiek z wiadrem i poił spragnionych wodą dobytą z głębi ziemi, wspólnej rodzicielki wszystkich.

Gdy to mówiły gołębie, zjawili się u studni ludzie, pić żądający.

Człowiek z wiadrem wstawał niechętnie i napoił ich, a oni odeszli.

Ale zbrakło wody dla ostatniego.

Człowiek z wiadrem musiał znowu napracować się niemało, nim naciągnął wody.

Gdy wiadro stanęło na cembrowinie, nagle plusnęło coś i wyskoczyła na trawę maleńka, złocista rybka.

Andrzej Brzezicki

Poderwała się raz jeszcze w górę i przemieniła nagle w skrzydlatego gołębia, który usiadł na cembrowinie studni.

Gołąb był zadyszany i drżał ze zmęczenia, czy strachu.

– Opowiadaj! – ozwał się nieznajomy.

Człowiek z wiadrem pochylił się ku niemu i szepnął:

– Panie... może lepiej będzie zaczekać, aż ten oto nasyci się i odejdzie.

– On nie zrozumie... – odparł nieznajomy. On nawet nie widzi mnie ni tego gołębia, ani słów, jakie zamieniamy, nie pochwyci. Nie znasz widzę ludzi...

– „O panie! – zaczął gołąb. – Przybierałem różne postaci i dotarłem wszędy, gdzie dotrzeć może myśl człowieka. Posuwałem się pod bieg wody, zaglądając wszędy, skąd się sączy choćby jedna kropla. Przy samej studni toruje sobie drogę źródło przez wielki stary grobowiec, opłukując kości poległych w jakichś dawnych zapasach, powyżej jest złoże zbroi zardzewiałych, kopii i mieczów starożytnych. Widziałem jak krew ludzka miesza się z wodą, jak w nią wsiąkają ostatnie westchnienia konających, ich klątwy i ból. Płynie poprzez zaciśnięte pięści i zakamieniałe serca, opłukuje zgliszcza popalonych wsi i miast, napawa się słonymi łzami sierot i wdów. Przez całą drogę nie spotkałem najmniejszej przestrzeni, gdzie by źródło nie płynęło przez nietknięte niedolą ludzką pokłady. Czy starsze, czy młodsze mijałem warstwy, wszędzie widziałem, jak woda zabiera i unosi z sobą ślady bólu i grzechu, jak się pełni trucizną okropną, trupim zakaża się jadem.

Granitowych chyba starych skał dawnych epok sięgnąć by musiało źródło, by dotrzeć do czystych, nieskalanych miejsc, pozostałych z czasów, kiedy nie było człowieka na ziemi.

Ale stamtąd nie biją źródła.

Nieprawdą jest, że woda czyści się ciekąc przez ziemię. Krystaliczność jej to pozór tylko. Żadna nauka nie wykryje składników, jakie zawiera. Czyż można to zbadać?

O, zaprawdę teraz wiem dobrze, że ludzie stąpają po zmarłych, karmią się ich ciałem i piją ich ból i grzech.

I dlatego są, czym są".

Gołąb zamilkł, a Człowiek z wiadrem obrócił wzrok na nieznajomego.

Siedział zamyślony.

Nagle stuknęło coś.

Obejrzeli się obaj.

Spragniony objął ciężkie naczynie i przyłożył usta do jego brzegu.

Człowiek z wiadrem rzucił się ku niemu, chcąc mu wzbronić napoju.

– Niech pije... niech pije! – powiedział nieznajomy i dodał: – Czyń, co ci zostało przykazane.

– Jakoż to będę mógł teraz czynić, o panie? – jęknął boleśnie Człowiek z wiadrem. – Jakoż to będę mógł teraz czynić?

– Będziesz mógł czynić przez cały czas, jaki ci został przeznaczony, jeśli zaprzestaniesz gołębie wypuszczać swobodnie, gdzie im się latać spodoba.

Wstał z kamienia, skinął mu przyjaźnie głową i odszedł z wolna.

Za chwilę majaczył już tylko, jak opar srebrzysty na bezkresnej, szafirowej dali.

Franciszek Mirandola (Franciszek Pik), „Zatruta studnia" (w): „Tropy", Kraków 1919, nakładem czasopisma „Maski", wybór ze stron 1-10

Opracował
Andrzej Niewiadowski

1980 (ciąg dalszy)

Fantazja dla dorosłych (SF):

1488. APOLLINAIRE Guillaume: *Wybór pism.* [Tłum. z franc.] wybór, wstęp i koment. Adam Ważyk. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 1077, nlb. 3. 15 000 egz. – Kilka cykli utworów, w tym 2 fantast.: *PROZA POETYCKA.* s. 333-392 i *OPOWIADANIA* (tomy: „Poeta zamordowany" i „Heretyk i S-ka") s. 394-704.

BORGES J.L.: *Księga piasku.* – zob. U.

1489. BIELA Emil: *Fontanna.* Katowice. Wyd. „Śląsk". 16° ss. 143, nlb. 1. 10 000 egz. – Elementy fantast.

1490. [BULGAKOV Michail]: *Mistrz i Małgorzata.* Tłum. [z ros.] Irena Lewandowska i Witold Dąbrowski. Wyd. IV uzup. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 540, nlb. 4. 20 000 egz. – Na k. tyt. aut.: Michał Bułhakow.

1491. (?) CARDOSO Indio Jorge: *Opowiadania.* Tłum. [z hiszp.] Zofia Chądzyńska, Maria Dembowska i Teresa Murzyńska. Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 369, nlb. 2. 10 000 egz. – Proza Iberoamerykańska – Niektóre opowiadania fantast. (także bajki).

1492. (?) *CZYŻ jest piękniejszy kraj...* Opowiadania austriackie. [Tłum. z niem.]. Red., wstęp i koment. Stefan H[ubert] Kaszyński. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 405, nlb. 3. 10 000 egz. – Niektóre opowiadania fantast.

1493. (?) DROZD Wołodymyr [właśc.: Volodymyr]: *Oliwki.* Tłum. [z ukr.] Tatiana Hołyńska. Lublin. Wyd. Lubelskie. 8° ss. 274, nlb. 2. 7 000 egz. – Elementy fantast.

1494. DRZEŻDŻON Jan: *Poszukiwania.* Ciąg dalszy „Krainy Patalonków". Warszawa. Iskry. 16° ss. 261, nlb. 1. 20 000 egz. – AF/CJF.

1495. (?) GARRO Eléna: *Wspomnienia z przyszłości.* Tłum. [z hiszp.] Danuta Rycerz. Posłowie Joanna Petri. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 254, nlb. 2. 10 000 egz. – Proza Iberoamerykańska. – Elementy fantast.

GABINET... – zob. W.

GAUTHIER T.: *Stopa...* – zob. W.

1496. GŁOWACKI Janusz: *Skrzek.* W: *Skrzek. Coraz trudniej kochać.* Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° s. 5-83. 30 000 egz. – Polska Proza Współczesna. – AF/ASF.

1497. KAIJAKS Vladimir: *Krucze władanie.* W: *Trzy opowieści o miłości.* Tłum. z ros. Wiesława Karaczewska. [Oryginał łotewski]. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° s. 5-87. 20 000 egz. – Klub Interesującej Książki.

1498. (?) LECZYCKI Artur: *Ostatni sen.* Opowiadania. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 95, nlb. 5. 10 000 egz. – Właśc. surrealistyczne.

LE GUIN U.: *Wszystkie...* – zob. ASF.

1499. ŁUBIEŃSKI Tadeusz: *Pod skórą.* Warszawa. Czytelnik 16° ss. 115, nlb. 1. 20 000 egz.

1500. de la MARE Walter: *Quincunx i inne opowiadania.* Tłum. [z ang.] i posłowie Janina Mroczkowska. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 235, nlb. 5. 20 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.

1501. MARKOWSKI Michał: *Ożeniłem się z brzydką dziewczyną.* (Baśń fantastyczna). Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 77, nlb. 3. 100 000 egz. – Fantazja-Przygoda-Rozrywka.

MORSELLI G.: *Wydarzenie.* – zob.U.

1502. NIEMCZUK Jerzy: *Imitacje.* Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 115, nlb. 4. 10 000 egz. – Opow. „Przemiana" ASF, pozostałe surrealistyczno-fantast.

RAJČEV G.: *Lustig.* – zob. W.

1503. ROSENDORFER Herbert: *Stefania i tamto życie.* Tłum. [z niem.] Ryszard Turczyn. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 174, nlb. 2. 20 000 egz.

1504. SADZIEWICZ Marek: *Skrzydła i buńczuki.* [Wyd. III]. [Warszawa]. Wyd. MON. 8° ss. 310, nlb. 2. 20 000 egz. AF/ASF.

1505. [ŠEFNĚR Vadim]: *Pałac na trzy osoby, czyli wyznanie starego kawalera.* Tłum. [z ros.] Ewa Rojewska-Olejarczuk. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 79, nlb. 1. 20 000 egz. – Na k.tyt.aut.: Wadim Szefner.

SŁAWIK W.: *Czesanie...* – zob. ASF.

1506. SŁOMKA Bronisław: *Mrówka.* Powieść. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 239, nlb. 1. 10 000 egz. – Elementy fantast.

1507. SŁYK Marek: *W barszczu przygód.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 365, nlb. 3. 10 000 egz.

1508. ŠVANTNER František: *Piargi.* Tłum. ze słowackiego Danuta Meyza-Marušakowa. Wybór i wstęp Witold Nawrocki. Katowice. Wyd. „Śląsk". 8° ss. 210, nlb. 2. 7 000 egz. – Biblioteka Pisarzy Czeskich i Słowackich. – Niektóre opowiadania fantast.

1509. TOLKIEN J[ohn] R[onald] R[euel]: *Rudy Dżil i jego pies.* [Wyd. III]. *Kowal z Podlesia Większego.* Wyd. I. Tłum [z ang.] Maria Skibniewska. Iskry. Warszawa. 16° ss. 120, nlb. 4. 30 000 egz.

1510. do TOYAL Altino: *Wesele Stu Tysięcy Barbarzyńców.* Tłum. [z port.] i posłowie Ireneusz Kania. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 81, nlb. 3. 20 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.

1511. de VASCONCELOS José Mauro: *Chodź, obudzimy słońce.* Tłum. [z franc.] Adam Szymanowski. [Oryginał port.]. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 194, nlb. 2. 10 000 egz. – Elementy fantast.

1512. [VEŽIMOV Pavel]: *Bariera.* Tłum. [z bułg.] Ewa Lenart. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 113, nlb. 1. 20 000 egz. – Na k.tyt.aut.: Paweł Weżimow. – AF/ASF.

Horror (W):

1513. FULGA Laurentiu: *Dziwna panna Ruth. Podwójna zbrodnia siostry Diany.* Tłum. [z rum.] Zbigniew Szuperski. Posłowie Ireneusz Kania. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 117, nlb. 3. 20 000 egz – Seria Fantastyki i Grozy.

1514. *GABINET figur woskowych. Opowieści niesamowite.* Aut. Isolde Kurz [i in.]. Red. i posłowie Hubert Orłowski. Noty biograficzne Włodzimierz Bialik. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 305, nlb. 3. 30 000 egz. – W/AF.

1515. GAUTIER [Theophile]: *Stopa mumii i inne opowiadania fantastyczne.* Wybór i posłowie Jerzy Parvi. Tłum. [z franc.] Eligia Bąkowska, Krystyna Dolatowska i Jan Parandowski. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 276, nlb. 4. 15 000 egz. – Seria Grozy. – Na k. tyt. imię aut.: Teofil.

1516. GRABIŃSKI Stefan: *UTWORY WYBRANE.* T. I-III. Wybór, wstęp i koment.: Artur Hutnikiewicz. Kraków Wyd. Literackie. 8° 30 000 egz. T.I: *Nowele.* Oprac. i nota wyd. Barbara Górska. ss. 609, nlb. 2, portr. 1. T.II: *Salamandra. Cień Bafometa.* Oprac. i nota wyd. Zofia Górzyna. ss. 293, nlb. 3. T. III: *Wyspa Itongo.* Powieść. Oprac. i nota wyd. Bogusława Stanowska-Cichoń. ss. 209, nlb. 4.

cdn.

Przygotował **Jacek Izworski**

Dużo i mało

O polskich wydawnictwach komiksowych ostatnich lat

Jerzy Szyłak

Aby określić to, co dzieje się obecnie na polskim rynku komiksowym, wystarczą trzy słowa: przypadkowość, sporadyczność, różnorodność. Zniknęły z kiosków i księgarń magazyny komiksowe: „Relax" i „Alfa", zakończyły swój żywot tasiemcowe seriale: „Kapitan Żbik", „Pilot śmigłowca" i „Kapitan Kloss" (wznawianie tego ostatniego idzie tak ślamazarnie, że właściwie jest zaprzeczeniem samej idei serialu), a ich miejsce zajęły bądź kilkuodcinkowe opowieści, bądź samodzielne, pojedyncze albumy.

W spadku po minionym okresie zostało nam kilka serii, ale te albo ledwo zipią (jak „Według Dänikena" ukazujące się w takich odstępach czasu, że mało kto jest w stanie nerwowo oczekiwać na następny odcinek), albo rozpadają się na zupełnie osobne całości połączone – jak gdyby przypadkowo – postacią głównego bohatera.

Używam tu słowa „przypadkowo" nie z czystej złośliwości, ale dlatego, że duże odstępy dzielące kolejne części danego cyklu, pozostają nie bez wpływu na ich kształt i odbiór. Przyznam od razu, że myślę przede wszystkim o „Kajku i Kokoszu" Janusza Christy. Ostatnia część tego cyklu, zatytułowana „W krainie borostworów" jest – zresztą zgodnie z zamierzeniem autora – utrzymana w zupełnie innej konwencji niż wcześniejsze epizody. Nagromadzenie dziwacznych stworzeń i rozmaitych cudowności, z jakimi mamy tu do czynienia, przypomina raczej „bajki dla dorosłych" publikowane ongiś w „Relaxie" niż wcześniejsze „Kajki i Kokosze". Dystans między „starym" a „nowym" widać jeszcze wyraźniej dzięki temu, że KAW zdecydował się na wydanie także starych – pierwotnie drukowanych w gdańskim „Wieczorze Wybrzeża" – opowieści o wojach Mirmiła. „Złoty puchar", „Szranki i konkury" oraz „Rozprawa z Dajmiechem" (bo o nich mowa) są historiami bardziej racjonalnymi (jeśli można tak powiedzieć) niż powstałe później albumy. Przeważa w nich intencja humorystyczna, czasem wręcz satyryczna. Są bardziej dobrotliwą kpiną z baśniowych reguł, niż samą baśnią. Wystarczy spojrzeć na ewolucję postaci Ciotki Jagi, by to zauważyć. W „Złotym pucharze" jest ona po prostu rozsądnie myślącą i sprytną osobą, która wykorzystuje to, że inni wierzą w czary, by kierować ich postępowaniem i zmuszać do posłuszeństwa sobie. Jaga z „Festiwalu czarownic", „Skarbów Mirmiła" i innych albumów z tego okresu, to już prawdziwa czarodziejka, a obok niej pojawiają się i krasnoludki, i smok Miluś. „W krainie borostworów" to kolejny krok w stronę cudowności, tym razem już bez żadnych ograniczeń.

Podczas gdy w komiksach Christy o zmianie odbiorcy informuje nas zmiana ich poetyki, przemiany świata przedstawionego itp., to w drugiej sztandarowej serii polskiego komiksu – „Tytusie, Romku i A'tomku", który już dawno przeszedł na pozycje cudowności bez ograniczeń (i związków z rzeczywistością) – informację o tym fakcie niosą zabiegi znacznie mniej szlachetne. Henryk Jerzy Chmielewski po prostu bezwstydnie powiela stare schematy fabularne i stare pomysły, bo z prostego wyliczenia wynika, że dawni sympatycy Tytusa już wyrośli i jeśli nadal kupują ten komiks, to już nie dla siebie, ale dla własnych dzieci. Może jest w tym sposobie myślenia jakaś racja, ale czy nie lepiej byłoby wznowić pierwsze księgi tego komiksu, zamiast robić ich (nieświadome, jak przypuszczam) autoparodie?

A propos „cudowności", to jest ona cechą charakterystyczną każdego niemal komiksu. Doświadczenie wskazuje, że każda długa seria komiksowa sięga w końcu po jakiś jej rodzaj. Baśniowość jest bowiem nierozerwalnie związana z samym plastycznym tworzywem, z którym obcują rysownicy. Należy tu sobie zdać sprawę z dwóch rzeczy: z tego, że choć komiks nie jest dziełem plastycznym (w tym sensie, w jakim jest nim



Janusz Chrysta

obraz, rysunek, grafika czy rzeźba), ponieważ przedstawienie zostało w nim poddane faktowi opowiadania, to jednak posługuje się graficznymi środkami wyrazu dla skonstruowania przekazu pewnej fabuły; a także z tego, że realizm jest tylko jedną z wielu możliwości istniejących w świecie sztuki. W swoim czasie teoretycy kina głośno artykułowali tezę, że film z racji środków jakimi się posługuje, istnieje po to, by opisywać rzeczywistość. Przy okazji padły wówczas sformułowania o uwolnieniu przez fotografię sztuk plastycznych od „realistycznej obsesji" i pozwoleniu im na poszukiwanie „autonomii estetycznej". Komiks – z racji swej narracyjności – całkowicie od realizmu uwolnić się nie może, ale – dzięki swej graficznej naturze – za każdym razem ujmuje realność świata przedstawionego w ramy umowy-konwencji.

Z jednej strony ubóstwo realizmu, z drugiej strony bogactwo kryjące się w plastycznych środkach, popychają komiks nieuchronnie w stronę szeroko pojętej fantastyczności. Nie mam na myśli fantastyki naukowej ani żadnej innej, konkretnej odmiany fantastyki, ale ową wielopostaciową, rozlewającą się szeroko fantastyczność, która może pojawić się zawsze i wszędzie.

W najczystszej postaci występuje to zjawisko w komiksach Tadeusza Baranowskiego, takich jak „Podróż smokiem Diplodokiem", „Antresolka profesorka Nerwosolka" i innych. Baranowski proponuje we wszystkich swoich pracach nieskrępowaną niczym zabawę formą komiksu. Żongluje jego elementami: dymkami, ramkami, onomatopejami... Tworzy niepowtarzalne – mogące istnieć tylko na papierze – konstrukcje demaskujące iluzoryczność świata przedstawionego.

Jest to swoisty autotematyzm, o tyle jednak nieciekawy, że jałowy poznawczo. Szkoda wielka, iż mimo obfitości komiksów Baranowskiego na rynku, nie zostały wydane dotąd przygody (znanego z „Relaxu") Orient-Mena, bądź zbiór jego „porad praktycznych" (drukowanych kiedyś w „Razem"). I jedna, i druga seria bowiem, przy zachowaniu całego arsenału środków charakterystycznych dla twórczości ich autora, wciągała czytelników w pełen ironii dialog o współczesności.

Oczywiście, satyryczność nie jest jedyną drogą przeznaczoną dla twórcy komiksów, ale w tym wypadku jest to chyba droga najwłaściwsza. W przeciwnym razie, pozbawione oparcia w znaczeniu, komiksy Baranowskiego zamieniają się ze sztuki narracyjnej w dekoracyjną...

Rozpatrując w dalszym ciągu rzecz całą z punktu widzenia stosunku świata przedstawionego do rzeczywistości i inwencji literackich, niedaleko od Baranowskiego należałoby ulokować Szarlottę Pawel z jej komiksami. Zarówno Kleks, jak i Kubuś Piekielny są nieodrodnymi dziećmi „Świata Młodych" i bliskimi – choć uboższymi – krewnymi Tytusa, Romka i A'tomka. Światy, w których żyją i przeżywają swe przygody ci bohaterowie, są rzeczywistościami baśniowymi i wszystko jest w nich możliwe. Co prawda status tych światów nie jest określony do końca i raz dzieją się tam cuda tylko w wyobraźni, innym razem znów „naprawdę", jednak zawsze jest to świat uproszczony i dostosowany do wyobraźni dziecięcej. Łatwizna myślowa, jakiej hołduje pani Pawel znajduje odbicie w jej kresce. Rysunki w komiksach, o których mowa, trudno nazwać przeładowanymi, wyrafinowanymi, wyszukanymi, czy nawet starannymi. Owa niestaranność wykonania tym bardziej szokuje, że styl rysunków, za pomocą których zostały opowiedziane przygody Kleksa, można określić jako najbardziej doskonałą bezstylowość. Takie komiksy – a przynajmniej bardzo podobne – są rysowane dla dzieci pod każdą szerokością geograficzną przez rzesze rysowników pozbawionych serca i wyobraźni. I to one właśnie stanowią główny składnik zalewającej świat pulpy komiksowej. Tyle że w Japonii, Stanach Zjednoczonych, czy krajach Europy Zachodniej tworzący je wyrobnicy piórka dbają o staranność wykonania swych skromnych prac. Inaczej nie przeszliby przez sito i mogliby co najwyżej pokazać kartony niewydrukowanego komiksu swoim dzieciom. U nas, dzięki brakowi konkurencji, Kleks stał się gwiazdą, a komiksy o jego przygodach – bestsellerami. Są one przykładem komiksowej „gumy do żucia dla oczu", co zresztą znajduje potwierdzenie w fakcie, iż po twórczość pani Pawel sięgają najchętniej najmłodsi – najmniej wyrobieni i jeszcze nie umiejący wybrzydzać – czytelnicy, ci którzy dopiero nauczyli się czytać i dopiero uczą się rozumieć to, co przeczytali (szkoda, że pomocą w tej nauce musi być właśnie Kleks).

Zupełnie osobną pozycję wśród dzieł sztuki komiksowej ostatnich lat zajmuje serial „Według Dänikena" rysowany przez Bogusława Polcha. W porównaniu z innymi komiksami science fiction, jakie pojawiły się w ostatnim czasie („Ostatnia przystań" Szyszki, „Goście z gwiazdozbioru Aquariusa" i inne Kasprzaka) sprawia on wrażenie przybysza z innego świata. Dopracowane do ostatniego szczegółu rysunki, elegancka kreska, dynamika ujęć i przejrzysta kompozycja strony – wszystko to każe stawiać dzieło Polcha za wzór innym rysownikom. Oczywiście, wszystkim wiadomo, że „Według Dänikena" powstało dla zachodnioniemieckiego wydawcy i ten fakt wiele tłumaczy. Zauważyć trzeba jednak, że Polch zawsze rysował w ten sam sposób i żadnemu z jego komiksów nie można zarzucić niedopracowania (przynajmniej w warstwie graficznej). A zarzutu tego nie są w stanie uniknąć inni autorzy.

W przypadku Zbigniewa Kasprzaka jest to zresztą zarzut może nieco chybiony. Jego komiksy grzeszą raczej małą wyrazistością rysunku (co zdaje się wynikać z niewielkiego przystosowania stylu tego rysownika do potrzeb komiksu) i przeładowaniem tekstem. Wady te występują także w najlepszym – jak dotąd – komiksie tego autora, „Zagładzie Atlantydy", choć trzeba też przyznać, że duży format tego komiksu pozwolił omawianemu rysownikowi rozwinąć skrzydła i przedstawić niektóre sceny w sposób naprawdę znakomity.

O wiele gorszych słów należałoby użyć przy ocenie zeszytowych prac Marka Szyszki, ponieważ rysownik ten pokazał już lwi pazur i udowodnił, że rysować potrafi, ale czasem mu się nie chce (i to okropnie!). Zamiast jednak poddawać się rozgoryczeniu, lepiej skupić swoją uwagę na innym komiksie tego rysownika – na „Sądzie Parysa", w zamierzeniu otwierającym cykl „Mity greckie" (mam nadzieję, że doczekamy się w końcu kontynuacji tego cyklu). Komiks ten to prawdziwa perła, choć poligrafia skrzywdziła go straszliwie. Zrealizował go Szyszko jako ciąg kompozycji otwartych (ani jednej ramki w całym komiksie – granice kadrów są tu wyznaczone jedynie przez kształt i wielkość strony), przetykanych całostronicowymi rysunkami. Powoduje to znaczne osłabienie linearności opowiadania. Czytelnik nie przesuwa wzroku z obrazka na obrazek,ale zostaje zmuszony do ogarnięcia nim całej strony, rozdzielenia na niej składników osobnych przedstawień i uporządkowania ich w podporządkowaną chronologii całość. Rezygnując z ramki jako granicy kadru, Szyszko tym samym robi unik przed koniecznością żmudnego i mającego mało wspólnego z artyzmem, wrysowywania w tło każdego obrazka przedstawień przestrzeni, w jakiej odbywa się akcja. Sceneria jest tu ukazywana jedno- lub dwukrotnie, co wystarcza dla poznania jej wyglądu, a potem ustępuje miejsca zwiększonej liczbie postaci ukazanych w działaniu.

„Sąd Parysa" to prawdziwy pokaz możliwości, jakie tkwią w tworzywie komiksowym. Można mu co prawda zarzucić jednostronność – ożywiłoby go znacznie wymieszanie „normalnych" komiksowych ramek z otwartymi kompozycjami, ale i tak tchnie od niego świeżością.

Kolejny rysownik – najmłodszy stażem – Andrzej Nowakowski też swoimi komiksami wpisuje się w ramy fantastycznego, choć pulsują te prace na pograniczu między baśnią a egzotyczną awanturą. Bliżej egzotyki jest pierwsza praca Nowakowskiego: wypuszczony przez bydgoskie wydaw-



nictwo „Pomorze" (bardzo słaby) trzyodcinkowy komiks „Zemsta Harpera" jest próbą wpisania się w tradycje westernu – w komiksie światowym bogate, u nas – właściwie żadne. Również wydane w 1987 roku „Wilcze imperium" nie odskakuje zbyt daleko od tej tradycji – rewolwerowe pojedynki, pogonie i napady mające miejsce na Alasce, zostały zakotwiczone gdzieś w latach dwudziestych-trzydziestych – co pozwoliło na mariaż westernu z historią gangsterską w stylu retro.

Pastiszu stylu retro (choć nie jest to pastisz komiksów z tamtych lat) nie można w tym wypadku nazwać nieudanym, choć komiks, mnie przynajmniej, nie przypadł do gustu. Każda z jego stron jest dosłownie upchana rysunkami. Są one drobne i niewiele pokazują scenerii zdarzeń. Za dużo tu również onomatopej – natarczywie atakujących wzrok i nie zawsze trafnych (np. banalne „Fu Fu Fu", czy „WIIIUUU"). I wreszcie, raczy nas autor w nadmiarze także przedziwnymi skrótami perspektywicznymi postaci, przekształcającymi je w groteskowe monstra. Co prawda, jest to chwyt przez niektórych rysowników komiksowych chętnie stosowany, bo przydaje dynamizmu rysunkom, ale we wszystkim trzeba mieć umiar.

Głównym dziełem Nowakowskiego jest niewątpliwie „Doman" – zbyt pochopnie reklamowany jako pastisz komiksu heroic fantasy (z wyraźną graficzną sugestią, że autor ma tu na myśli Conana). Od „Conana" do „Domana" droga jest niezmiernie daleka, a i jak na heroic fantasy ta adaptacja „Starej baśni" jest zbyt ugładzona, za mało dynamiczna i zbyt mało fantastyczna przede wszystkim. Główne zalety tego komiksu to staranność rysunku i dobra jakość reprodukcji. Wady – to nadmierne trzymanie się fabuły powieści, powolne tempo akcji i nieefektowność przedstawień. W końcu komiks rysunkiem stoi – i to nie byle dobrym, ale rysunkiem przedstawiającym postacie w działaniu (zwłaszcza taki komiks). W końcu, mimo że śmieszą, nie są zupełnie pozbawione słuszności dokonywane przez zachodnich krytyków porównania uznanych komiksiarzy do malarzy renesansowych – i jedni, i drudzy bowiem musieli wykazać się doskonałą znajomością anatomii i umiejętnością przedstawiania ciała ludzkiego w różnorodnych, skomplikowanych pozach. Ruch ukazany w nieruchomym dziele – to jedna z tych rzeczy, których odbiorcy szukają w komiksie przede wszystkim. U Nowakowskiego jest go bardzo niewiele.

Z drugiej strony „Doman" niebezpiecznie schodzi we wszystkoizm. Właściwie nie wiadomo dla jakiego czytelnika został przeznaczony odcinek, w którym bohater został przedzierzgnięty w szewczyka Skubę. Rozumiem oczywiście, że smok, potwór z piekieł (albo chociaż z Saturna) czy choćby czarownik powinni pojawić się w komiksie tego typu, ale chyba lepszy byłby w „pastiszu komiksu fantasy" jakiś mniej znany i mniej obrosły tradycją przedstawiciel gadziego plemienia. Fantasy powinna być grą wyobraźni – fantasy, w której spotykamy tylko znane od dawna elementy, staje się natomiast grą braku wyobraźni. Odczucie takie jest zdaje się powszechne, bowiem pierwsze odcinki „Domana" znikały w mgnieniu oka, kolejne – leżą w kioskach do dziś.

Celowo na sam koniec pozostawiłem nader obszerny wybór prac rysownika, który może poszczycić się chyba najliczniejszym zestawem opublikowanych komiksów, Jerzego Wróblewskiego. Ma on na swoim koncie liczne zeszyty „Kapitana Żbika" i „Podziemnego frontu". Wiele drukował w „Relaxie", narysował jeden westernowy komiksik, a w ostatnim czasie wydawnictwo „Sport i Turystyka" wypuściło dwie młodzieżowe serie jego autorstwa i jeszcze – tym razem w KAW-ie – wydał trzy i pół albumu.

Pozycja Wróblewskiego jest dość dziwna. Rysuje on zawsze niezwykle starannie (choć nie zawsze w sposób porywający), ale jego komiksy cieszą się umiarkowaną popularnością. Przyczyn tego stanu rzeczy doszukiwałbym się w fakcie, że pozostaje on w kręgu mało interesujących tematów. Najbardziej egzotyczne historie, jakie stworzył, to ów westernik i historyczny (więc mało porywający) komiks o Cortesie. Jego specjalnością są fabuły wojenno-młodzieżowo-kryminalne w polskich realiach, co nie pozwala mu rozwinąć skrzydeł, a czasem wręcz wywołuje zjadliwe ataki krytyków (myślę tu przede wszystkim o złośliwych uwagach Jerzego Jastrzębskiego na temat realiów w „Kapitanie Żbiku" zamieszczonych w książce tego autora pt. „Czas relaksu"). Ostatnie dwa komiksy: „Skradziony skarb" i „Figurki z Tilos" są zresztą dowodem na to, że Wróblewski szuka dróg na zrzucenie krępujących go więzów. Fabuły obu (oczywiście kryminalne!) rozgrywają się w egzotycznych sceneriach, gra idzie tu o dużą stawkę, a przeciwnicy dysponują bogatym arsenałem środków i umiejętności, co stwarza okazje do widowiskowych akcji. Te parady atrakcji to jakby pierwszy krok w stronę szerokiej formuły fantastyczności, o której mówiłem wcześniej. Bo przecież nawet egzotyczne scenerie są tu tylko umownym, nierealnym tłem, mającym uwiarygodnić nieprawdopodobne przygody (to nie zarzut – nie można zarzucać niczego komiksowi, który się znakomicie ogląda). Moim cichym marzeniem jest zobaczyć komiks Wróblewskiego o tematyce fantastycznej albo fantastyczno-naukowej. Ale taki, w którym występowałyby postacie jak z jego rysunków do „Fantastyki", a akcja nie zwijała się w nadmiernie literackich (nieplastycznych) meandrach jak w „Vahanarze"...

I to już w zasadzie wszystko, jeżeli chodzi o polskie wydawnictwa komiksowe ostatnich lat. Dużo to i mało zarazem. Dużo – jeśli wziąć pod uwagę liczbę tytułów. W końcu możliwości poligraficzne są u nas dość mizerne, a tych komiksów zebrało się sporo. Mało – jeśli chodzi o nowe zjawiska. W końcu to nie jest tak, że w Polsce tylko kilka osób rysuje komiksy. Przepadł gdzieś Sławomir Jezierski (autor znany jako ilustrator książek dla dzieci i twórca jednego – drukowanego jedynie w niewielkim fragmencie w „Wieczorze Wybrzeża" komiksu będącego parodią fabuł baśniowych), o którego albumie komiksowym – przyjętym podobno do druku – słyszałem już cztery lata temu w gdańskim KAW-ie; nie doczekał się jeszcze żadnej publikacji książkowej Tadeusz Raczkiewicz – od kilku lat stale obecny na łamach „Świata Młodych"; znakomite rysunki komiksowe Jerzego Skarżyńskiego możemy obejrzeć (ale w niewielkim wyborze) w „Projekcie" (nr 6 z 1985 r.), ale tylko tam; znikła Krystyna Wójcik – autorka prześlicznej adaptacji „Pamiętników Casanovy", drukowanych około 1978 roku w „Kamenie". Gdzie są jeszcze inni?

Zamiast nich możemy oglądać słabiutkie komiksy rysowane przez Węgrów – rzeczy, które mogłyby cieszyć na bezrybiu, ale nie tutaj i nie teraz. Oczywiście, winne są temu wydawnictwa, nie autorzy komiksów. Ale to chyba dobrze, że możemy narzekać na wydawców. Pozwala to odczuć wdzięczność dla rysowników. A chyba (mimo wszystko) jest za co.

Jerzy Szyłak



Rola fantastyki w rozwijaniu wyobraźni, sekrety i filozofia felietonowej kuchni, poziom polskiej popularyzacji naukowej, nauka a religia, nauka a świat wartości... oto niektóre z tematów rozmowy, jaką z Maciejem Iłowieckim (najpopularniejszym autorem „Fantastyki"; patrz: wyniki sondażu II i III) przeprowadził w poprzednim numerze Maciej Parowski. Drukujemy obecnie drugą część wywiadu, poświęconą poszukiwaniom w nauce tzw. nowego paradygmatu. Po powrocie Macieja Iłowieckiego ze Stanów Zjednoczonych, gdzie zbiera on m.in. materiały do swej nowej książki, felieton „Z tamtej strony lustra" zjawi się ponownie na naszych łamach.

Szczeliny (2)

z Maciejem IŁOWIECKIM rozmawia Maciej Parowski

Maciej Parowski: *Scjentyzm – to słowo brzmi dziś jak epitet. Niemal wszyscy zajmujący się nauką odżegnują się dziś od scjentyzmu. Mówi się natomiast o nowym stylu uprawiania nauki, o nowym paradygmacie. Co to takiego?*

Maciej Iłowiecki: – Rzeczywiście dochodzimy do tego, co uczeni nazywają zmianą paradygmatu współczesnej nauki. Zmienia się podejście do nauki, do jej metodologii, do celów i ograniczeń, jakie widzą przed sobą naukowcy. Ale zanim spróbuję wyjaśnić o co tu chodzi, chciałbym wygłosić krótką pochwałę nauki i odpowiedzieć na pytanie, czemu uważam ją za jeden z najlepszych systemów wiedzy o świecie. Otóż nauka jest systemem samoweryfikowalnym. Jest to jedyny system ze wszystkich możliwych ludzkich systemów, który uznaje własne błędy, tropi je i jest z tego zadowolony. Nie musi tego robić nikt z zewnątrz, nie trzeba tu nikogo obalać ani robić rewolucji. Taka po prostu jest istota nauki. I teraz zbliżamy się do nowego ujęcia. Nie chodzi tylko o metodologię nauki, ale o jej wizję, o filozofię, wzór – właśnie o paradygmat. O wzór postępowania, mówiący co jest dobre, co nie – społeczeństwa naukowców wytwarzają takie zbiorowe przekonania w różnych okresach, to wisi jakby w atmosferze. Panem Bogiem wzoru poprzedniego, paradygmatu, w którym my jeszcze częściowo tkwimy, były Fakt i Doświadczenie. Rzeczą uczonego było szukanie faktów; bezstronne, obiektywne sprawdzanie ich doświadczalnie i na tej podstawie formułowanie hipotez czy szerszych teorii. Mówiło się i myślało, że uczony jest bezstronny, obiektywny, dąży do prawdy, przystępuje do doświadczenia bez wstępnych założeń. To był wzór, paradygmat nowożytnej nauki gdzieś od Galileusza i ja bym absolutnie go nie chciał krytykować, bo to się doskonale sprawdzało i temu zawdzięczamy wspaniały rozkwit europejskiej cywilizacji.

– Ale przestało się sprawdzać? I naukowcy w ramach samoweryfikacji postanowili ów paradygmat odrzucić. Czy tylko częściowo go zakwestionować?

– To wynikło jakby samo z rozwoju samej nauki. Uczeni doszli do wniosku, że jest trochę inaczej. Nie ma naturalnie niezależnych uczonych ani niezależnych informacji. Uczony podchodzi do przyrody z określoną koncepcją. Przecież już pod kątem tej koncepcji ustawia pozornie bezstronne doświadczenie. A więc – teoria jest pierwsza. Teoria idzie przed faktem. Zawsze jest układ – Obserwator i To Co Się Bada. Czyli nie badamy przyrody, tylko jakby powierzchnię zjawiska, rzeczywistości, które uczony i jego apriorycznie założona teoria są już częścią składową. Broń Boże, nie chcę przez to powiedzieć, że mieliśmy w stosunku do przyrody jakieś złe, fałszerskie zamiary, tylko, że tą metodą nie badamy „czystej" przyrody, lecz swoje co do niej przypuszczenia i jakby łączny układ: obserwator-przyroda. A może przyroda jest jeszcze inna? – powoli dochodzimy do takiej wątpliwości. Są na przykład pewne doświadczenia, które jeśli nawet nie dadzą się powtórzyć w tych samych warunkach, to wcale nie oznacza, że nic ciekawego nie wskazują... Zmieniają się zatem jakby kryteria prawdy naukowej. Poza tym – wynika to ze wszystkich badań fizycznych, biologicznych, chemicznych – świat jawi się nam dziś (powiem to sloganem) bardziej jako myśl niż jako maszyna. Bardziej jako idea niż jako rzecz. I to w podobnym może sensie, w jakim to wyobrażał sobie Platon. Współcześni fizycy często przywołują nazwisko Platona, od którego, z drugiej strony, wywodziły się wszystkie tzw. idealizmy.

– Ma pan na myśli specjalistów od fizyki atomowej, od mechaniki kwantowej? Na poziomie atomu, cząstki, kwantu rzeczywiście tracimy pewność – mówimy o cząstce czy o jej równaniu? Ale czy to jest naprawdę n o w y paradygmat? Opisująca to zjawisko zasada nieoznaczoności Heisenberga liczy sobie już 60 lat.

– Rzeczywiście mówię o mikroświecie, w którym to wszystko przejawia się najwyraźniej, ale naukowcy zaczynają podejrzewać czy nie tak samo jest w makroświecie, wręcz w ogólnych procesach kosmologicznych? Mówią dziś na przykład, że bardziej realna jest „możliwość bytu" niż sam byt. Astronomowie, fizycy, wprowadzają dziś na przykład pojęcie b r z e m i e n n o ś c i p r ó ż n i. To znaczy, my ludzie wychowani w poprzednim paradygmacie zakładaliśmy, że próżnia oznacza NIC. Otóż tak nie jest. W tej naszej próżni zawarte są JAKOŚ czas i przestrzeń (ten czas i przestrzeń, które narodziły się w momencie Wielkiego Wybuchu, bo przedtem ich nie było...), a przede wszystkim p o t e n c j a l n i e zawarte są już w tej próżni jakieś cząstki, jakaś materia. To przekonanie nie jest wcale kopią przeróżnych tzw. idealizmów subiektywnych. Ta „brzemienność" próżni wynika z badań. Prowadzę do tego, że świat w sensie przyrodniczym może okazać się takim, w którym w drastyczny sposób zmienią się granice niemożliwego. Na przykład, że COŚ może powstać z NICZEGO, że NIC jest tą potencjalną brzemiennością. W tym świecie, który dopiero odkrywamy, może być tak, że okaże się iż SKUTEK wpływa na PRZYCZYNĘ. Albo że prawdopodobieństwo zajścia jakiegoś zdarzenia czy dane statystyczne dotyczące jakiejś obecności (np. cząstki) są ważniejszą kategorią od samego bytu. To się wydaje niepojęte, takie niesłychane rzeczy, o których nie wiadomo właściwie jak mówić, bo dopiero szukamy języka do ich wyrażenia.

– Skutek wpływający na przyczynę? Fantastów nie przerazi taki paradoks. Znają przecież pojęcie podróży w czasie i fantastyczny dylemat pradziadka zabitego przez wnuka.

– Zgadza się. Naukowcy podejrzewają, że w skali Wszechświata Przeszłość, Teraźniejszość i Przyszłość mogą na przykład istnieć jednocześnie i że teoretycznie jest możliwe, iż istnieją różne światy. No i oczywiście wszystko co istnieje – jest to koncepcja tak zwanego holizmu – jest w jakiś sposób bardzo powiązane. Tymczasem nauka nowożytna, nauka tego starego paradygmatu, przyzwyczaiła nas do krajania świata na plasterki i badania każdego plasterka z osobna. To wydawało się poprawne, chodziło zresztą o lepsze poznanie. Teraz, okazuje się, wszystko jest pewną n i e r o z d z i e l n ą całością. Samo wyodrębnienie jakiegoś elementu zmienia istotę rzeczy i nasz wgląd w tę istotę.

– Wszystko to prowadzi nas znów do idei Stwórcy zarysowanego w religii, którego nie da się odłączyć od tak pomyślanego spójnego wszechświata.

– Tak, ale w której religii? Naukowa bezstronność i rzetelność felietonisty nie pozwalają mi tu niczego apriorycznie przesądzać. Jest przecież nie jedna, lecz parę wizji ewentualnego Stwórcy wynikających z tej nowej koncepcji wszechświata. To znaczy dopuszczalna jest koncepcja chrześcijańskiego, miłosiernego Boga, który to wszystko zaprogramował, stworzył, uruchomił, jest stale w naszym świecie obecny i widzi co robimy. Inna, ożywająca na powrót koncepcja panteistyczna, woli widzieć we wszechświecie wszechobecną inteligencję czy wyższą świadomość, która owszem, wszystko, a więc i nas stworzyła, ale dalej nic ją nie obchodzi – czy to jest dobre, czy złe, czy ktoś się męczy, czy nie? Ma i nas, i Ziemię, i cały wszechświat, za przeproszeniem, „gdzieś" i po prostu bawi się nami albo nas ignoruje. Jest wreszcie trzecia koncepcja, najbliższa ateizmowi, sprowadzająca się z grubsza do tezy, że sama przyroda jest absolutnie niecelowa, tylko pozór celu wynika z praw przyrody, zaś ewolucja i niesamowity splot przypadków doprowadziły do powstania życia i człowieka.

– To ostatnie, zdaje się, jest punktem widzenia Stanisława Lema?

– Tak można dedukować z jego wypowiedzi. Ale mnie to nie odpowiada. Wydaje się niemożliwe, choćby w świetle tego co mówią niektórzy fizycy (np. Dicke), żeby to było przypadkiem. Nawiasem mówiąc dopiero współczesna nauka zaczyna doceniać rolę przypadku. Ale według mnie rola przypadku w naszym świecie i w naszym powstaniu jest wielka, ale nie „wiodąca". Coś tu jeszcze jest nie przypadkiem, podejrzewam w tym jakąś konieczność. Nie wiem, która wersja zwycięży (w nauce – bo swoją mam na swój użytek), ale sądzę jednak, że sam „czysty" rozum nie wystarczy, żeby to objąć. Tu musi wkroczyć krytyczny osąd naukowy połączony z osądem sumienia. Rozum i sumienie, wiedza i aksjologia – połączone razem pomogą nam to wszystko pojąć.

– Holistyczna wizja wszechświata, w ktorym wszystko jest powiązane, może zmienić poglądy

naukowców na wiele spraw, które dotychczas wyśmiewali. Choćby na fenomen astrologii.

– Nawet zabieram się do pisania felietonu dla was na ten temat, choć wiem, że astrologia jest czerwoną płachtą na wszystkich uczonych i w ogóle tzw. racjonalistów. Na razie powiem tylko tyle, że są różne rodzaje astrologii, zależy jak ją ujmować. Horoskopy na przykład z „Kuriera", skądinąd zabawne, nie mają żadnych, z przykrością to stwierdzam, bo wolałbym żeby było inaczej, podstaw naukowych. Choć przyznaję, że zawsze mnie zastanawia, gdy czytam te stosy opisów, niesamowita trafność charakterystyk różnych znaków zodiaku. Zastanawia mnie, dlaczego tak często jest to zbieżne z życiem i takie wyrafinowane w portretowaniu ludzkich charakterów...

– I dobre literacko, mądre, czasem wręcz... szekspirowskie.

– Właśnie. Czytając o sobie, o znajomych, mam często wrażenie stuprocentowego trafienia. To jest niezwykłe. Można by powiedzieć, że ponieważ ludzie są tak skomplikowani i tak różni, to każdy w każdym znaku znajdzie jakieś elementy, które mu się potwierdzą. Ale to nie jest dobre wyjaśnienie. Dlatego, patrząc na astrologię szerzej, w tym sensie holistycznym, że wszystko wpływa na wszystko, jestem zdania, że znacznie więcej czynników natury kosmicznej, które dotychczas lekceważyliśmy, ma wpływ na nasze charaktery i zachowania. Niektóre rzeczy są już po prostu stwierdzone. Choćby wpływ na nas sytuacji meteorologicznej czy fazy Księżyca. A jest to już przecież coś w rodzaju uwspółcześnionej, odnowionej „astrologii".

– Wkrótce po raz kolejny wyjedzie pan na parę miesięcy do Stanów Zjednoczonych. Czyżby udawał się pan do Arizony pod tę kopułę księżycowego miasteczka opisanego w ostatnim felietonie? Przepraszam za niedyskrecję, ale i Czytelników „Fantastyki" i mnie ciekawi bardzo, co pan będzie w Stanach robić.

– Chciałam zobaczyć to miasteczko na własne oczy, ale nic z tego, nie mam żadnego stypendium, udaję się do Stanów prywatnie. Piszę taką książkę, nie wiem czy powinienem o tym mówić, bo i boję się zapeszyć, i boję się tego, że rzecz mnie przerasta – to znaczy, że nie starczy mi sił, możliwości i czasu. Zamierzyłem książkę o wkładzie polskiej kultury i nauki w kulturę i cywilizację światową. Raczej nie tyle w sensie dokonań konkretnych – Kopernik, Curie-Skłodowska – ile w sensie tego, co myśl polska wniosła do kultury ogólnej, do pewnych koncepcji prawa, cywilizacji. Można tu mówić o różnych rzeczach z różnych dziedzin. Na przykład idea „za wolność waszą i naszą", idea pewnej solidarności między narodami – to jest polski pomysł! Albo, o czym się na ogół nie wie, że doktryna „prawa oporu" to była polska koncepcja, sformułowana jeszcze w średniowieczu przez niejakiego Marcina z Urzędowa. On mówił już w czasach feudalnych, że jeśli rządzący źle rządzą, jeśli król jest zły, to naród ma przyrodzone, naturalne, boże prawo zmienić takiego króla. Potem to oczywiście powiedzieli inni, np. Rousseau, Thoreau, wielcy prawnicy zachodni, w różnych encyklopediach można znaleźć „zachodnie" nazwiska, ale to Polak był pierwszym, który ośmielił się taką ideę podnieść tak wcześnie! Taką ambitną książkę zamierzyłem, nie ma to być encyklopedia ani kompendium, tylko cykl esejów. W Stanach oderwę się trochę od morderczej pracy tutaj, pobuszuję po ich bibliotekach, archiwach. No i nie będę tego taił, że ponieważ muszę też trochę zarobić, będę tam miał trochę wykładów, głównie dla Polonii, o sytuacji naszego społeczeństwa, o najnowszych badaniach socjologicznych, o reformie.

– Czy ma pan inne książki-marzenia, do których by się pan wziął, gdyby dopisało zdrowie i siły i gdyby powiedzmy, doba miała 34 godziny?

– To bardzo ciekawe pytanie. Gdybym tylko mógł wyłączyć się z pracy zawodowej, gdybym dostał stypendium wystarczające na życie przez 3 lata, to z przyjemnością napisałbym książkę o sprawach, o których mówiliśmy. To znaczy o z m i a n i e w nauce. Jak to było kiedyś, co nauka nam daje, jak dziś powinniśmy odbierać naukę, jak to się zmieniało w ciągu wieków. Mottem tej pracy mogłoby być słynne powiedzenie Poppera, filozofa nauki, że fenomen ludzkiej wiedzy jest najdziwniejszy we wszechświecie. Nasze poznanie przebiega w sposób bardzo dziwny. Naukowcy mówią dziś, że nasz mózg jest tak zbudowany, że właściwie odgradza nas od świata, przywołuje czy dopuszcza to tylko, takie tylko informacje, które są nam biologicznie niezbędne do życia. Odcina więc mózg pewne krańce, pewne obrazy, pewne informacje. To znaczy nasz mózg nie jest zaprogramowany na pełne poznanie przyrody, choć jednocześnie z tym poznaniem tak świetnie sobie jednak radzi... I naukowcy próbują właśnie poza te „biologiczne" ograniczenia wykraczać, przełamywać je. Jak to się więc dzieje, jakimi odbywało się etapami... O, gdybym mógł to postudiować i o tym napisać, to myślę, że byłaby to może ciekawa książka. A druga – to chętnie napisałbym o wszystkich dziwactwach naukowych, o różnych absurdalnych koncepcjach, o tym, które się sprawdzały, które nie. O roli błędu w nauce, o tym z czego błędy wynikały. Błąd w ogóle jest to bardzo ciekawa sprawa. Często zdarza się w nauce, że broni się słusznych założeń złymi argumentami – przypadek Galileusza jest pod tym względem bardzo pouczający. Albo odwrotnie – dobrymi argumentami broni się niesłusznych teorii, błędnych uogólnień. Widzę, że te dwie książki można by właściwie połączyć, w jedną książkę, taką jak „Summa technologiae" pana Stanisława Lema. Gdybym miał zdolności pana Stanisława Lema i jego możliwości, to bym napisał taką „Summę" o science.

– W takiej książce można by poświęcić też trochę miejsca niebezpieczeństwom idącym do nas po przyjęciu się nowego paradygmatu. Z krainy racjonalizmu, wagi, szkiełka i oka, prowadzi on nas przecież w stronę przeróżnych irracjonalizmów właśnie, dowolności, pseudomistycyzmów i nieuzasadnionych domniemań. Taki może być w każdym razie potoczny odbiór nowej metody.

– Istnieje takie niebezpieczeństwo i na pewno warto o nim napisać. Ludzie mają skłonność do „irracjonalizmów", sam lubię rzeczy tajemnicze i dziwne. Szczerze mówiąc wolałbym na przykład, żeby latające talerze okazały się faktem i to nie przyrodniczym; wolałbym żeby w latających talerzach znajdowali się ONI. Ale dopuszczam myśl, czy nawet niestety podejrzewam, że jest to rodzaj zjawisk czysto przyrodniczych albo społeczno-psychologiczny omam, jak to traktuje interpretacja jungowska. Ale pomijanie i wyśmiewanie UFO do niczego nie prowadzi, bo jest to fakt – może społeczny, może przyrodniczy, a może jeszcze dziwniejszy? Natomiast pan mówi – nowe irracjonalizmy, lęki, mistycyzmy, nieuzasadnione przeczucia związane z nowym paradygmatem. Każda epoka miała pod tym względem swoje charakterystyczne doświadczenia. O tym też można by napisać. Właściwie zbieram materiały do takiej książki.

– O lękach i nadziejach ludzkości?

– O lękach i nadziejach „zwykłych" ludzi i o przepowiedniach futurologów w różnych epokach. O tym czego ludzie w przyszłości się bali, a co budziło ich nadzieję, na co czekali. To się wyraźnie zmienia w pierwszym i drugim tysiącleciu. Tysiąc lat temu ludzie myśleli, że zbliża się koniec świata, bo data była okrągła. A poza tym w sposób najprawdopodobniej nieświadomy wyczuwali przyspieszenie zmian, że coś się kończy, że dobiega kresu jakiś znany im rodzaj świata. I rzeczywiście wtedy definitywnie umierała porzymska cywilizacja i rodził się świat feudalny, zdecydowanie chrześcijański. Ale ludzie bali się przede wszystkim końca świata. Jedni uciekali więc w lasy w obawie przed strasznymi apokaliptycznymi wydarzeniami. Inni zamykali się w klasztorach. Jeszcze inni, przeciwnie, uprawiali rozpustę, żeby używać życia dopóki to możliwe. Ludzie ówcześni bali się diabła, Boga, klęsk żywiołowych, duchów, zjaw... Lęki współczesnego człowieka są inne. My też co prawda czujemy instynktownie nasilenie się wszystkich zmian i ich zasięg globalny, ale istotą bania się współczesnego jest lęk p r z e d s o b ą s a m y m. Przed człowiekiem jako takim, i tym, do czego ludzkość jest zdolna, co dość dokładnie pokazała nam najnowsza historia. Ludzie podejrzewają, że nasza cywilizacja jest skończona, tzn. dochodzi do pewnych granic, popełnia samobójstwo na raty, sama się niszczy. Do tego dochodzi lęk płynący z rozchwiania wartości, z wysuwania się nam etycznego gruntu spod nóg. Atakowani ze wszystkich stron ludzie tracą już rozeznanie – co to jest dobro, co zło, co jest złem mniejszym, a co większym dobrem? Mamy podświadomy (czasem świadomy) lęk, bo pewne wartości, wydawałoby się trwałe, są kwestionowane i podmywane ze wszystkich stron.

– Tak. To dość przerażające, ile w niektórych ludziach jest jeszcze energii do walki z zasadami, które są uczciwe, są dobre.

– Które się po prostu sprawdziły.

– Zaciętość człowieka w walce z wartościami – dziennikarze spotykają się z tym często. Ale też szczególnie dziennikarze mają możliwość, by stawać czynnie w obronie wartości. Choćby pisząc felietony czy książki jak pan. Rozumiem, że nigdy pan nie żałował decyzji sprzed lat – porzucenia biologii na rzecz dziennikarstwa?

– Przeciwnie. Czasem żałowałem. Właściwie, wie pan, moim głównym marzeniem była zawsze medycyna. I mam o to do siebie żal, że jednak jej nie wybrałem. Wydaje mi się, że to jeden z niewielu zawodów, które nadają życiu człowieka jakiś większy sens. Oczywiście bardzo też lubię i nawet cenię dziennikarstwo, uważam, że jest to nie tylko sposób zarabiania pieniędzy, ale i rodzaj dobrej roboty, jeśli tylko uczciwie, w zgodzie z sumieniem i uznawanymi wartościami, próbuje się wpływać na ludzkie umysły, czy pokazywać różne spojrzenia na świat. Ale to jednak medycyna jest moim prawdziwym ideałem. I medycyna, i biologia fascynują mnie od strony naukowej, uważam, że to jest fascynujące! We wszystkich ustrojach i systemach, w każdej epoce medycyna właśnie jest najbardziej ważna i potrzebna. Zawsze lecząc ludzi ma pan poczucie sensu życia. No, coś zaczynam głosić kazanie... ale naprawdę tak myślę.

– Bardzo dziękuję panu za rozmowę.

film i fantastyka

Krasnoludkowy koktajl

Trudno mówić o istnieniu polskiej szkoły filmu fantastycznego. Podobnie jednak jak literatura, również i kino kieruje się w stronę odmiany social i political fiction. Tego typu SF uprawiał konsekwentnie Piotr Szulkin. Ale jego ostatni film „Ga, ga – chwała bohaterom" oglądaliśmy prawie dwa lata temu.

Niewątpliwym wydarzeniem była „Seksmisja" Juliusza Machulskiego, która ukazywała karykaturalny obraz współczesnego świata. Reżysera nazwano nawet polskim Spielbergiem, ponieważ udowodnił, że i u nas możliwe jest zrobienie rozrywkowego filmu SF w stylu amerykańskim, przy zachowaniu realiów polskich. Machulskiemu udało się podbić polską publiczność, zmuszając ją, żeby ruszyła się sprzed telewizorów i szturmowała sale kinowe, chociaż towar był „made in Poland". Akcja „Seksmisji" rozgrywa się w roku 2044. W wyniku wojny zniszczone zostały wszystkie męskie geny, a pozostawione samotnie kobiety radzą sobie jak mogą, to znaczy nie najlepiej i wystarczy pojawienie się dwóch osobników gatunku uznanego za wymarły, żeby świat wpadł na powrót w stare tarapaty.

W najnowszym filmie Juliusza Machulskiego „Kingsajz" mamy do czynienia z sytuacją odwrotną. Jego bohaterowie – krasnoludki, reprezentują wyłącznie płeć męską (czy słyszał ktoś o krasnoludku dziewczynce?). Jak powszechnie wiadomo, te brodate, łagodne stworzenia zamieszkiwały kiedyś przepastne lasy, pomagając biednym sierotkom. Ale czasy się zmieniły i mały ludek przeniósł się do zakurzonej szuflady (przepraszam, Szuflandii) mieszczącej się w piwnicy budynku biblioteki. I prawdopodobnie żyłby tam sobie jeszcze długie lata gdyby nie odkryto sposobu pozwalającego krasnoludkom zamieniać się w ludzi. I tu dochodzimy do pomysłu, który stał się osią akcji filmu...

Dorota Malinowska: – Dlaczego stosujesz konwencję SF lub fantasy?
Juliusz Machulski: – Jest to fantastyka tylko w pewnym sensie. Ja po prostu chcę widza zaskoczyć, a do tego potrzeba czegoś więcej niż tylko filmu obyczajowego. Stąd konwencje – jest to działanie podświadome, a co z tego wynika to już sprawa krytyki.

Machulski jest zbyt inteligentnym reżyserem, żeby powtarzać chwyt, który zastosował we wcześniejszym filmie. Tym razem to nie kobiety zwabią krasnoludki do naszego świata. Bo oczywiście mieszkańcy Szuflandii będą chcieli skorzystać z nadarzającej się okazji. Zwłaszcza ci, którzy zaznali smaku wolności, wysłani do ludzi w nagrodę za zasługi dla państwa. Tym będzie się zarzucać, „że tylko baby im w głowie". Władza Szuflandii, jak porzucony kochanek, szuka najprostszych rozwiązań. A może tylko takie głosi? Jak w „Seksmisji", która nie rezygnując z lekkiej formy podkreślała niedoskonałość obecnego świata – w „Kingsajzie" reżyser dyskutuje nad tak poważnymi problemami, jak wolność, możliwość wyboru, odpowiedzialność. W rezultacie otrzymujemy rodzaj powiastki filozoficznej z morałem.

Machulski ma zdolność podpatrywania życia i przekładania jego realiów na język filmowy, a jak powiedział Cocteau „film potrafi zobiektywizować najbardziej nawet subiektywne abstrakcje". Tyle, że polski reżyser robi to zbyt naiwnie. Samo przedstawienie ludzi jako istot małych (duszą, sercem, rozumem?), trochę śmiesznych, czy nawet groteskowych, głupich lub podłych, jest wyważaniem otwartych drzwi. Śmiech z własnych niedoskonałości może być rodzajem terapii, ważne jest jednak nie tylko to, żeby dostrzegać pewne zjawiska, ale rozumieć ich przyczyny. Tymczasem u Machulskiego analiza rozmywa się w anegdocie. To prawda, niełatwo jest zrobić film, na którym widz śmiałby się z pośliźgnięcia na skórce od banana i zastanawiał nad problemami egzystencjalnymi. Udało się to na przykład Lindsayowi Andersonowi w „Szczęśliwym człowieku". Machulski głosi prawdy raczej oczywiste.

D.M.: – Czy zdajesz sobie sprawę, że twój film można zaliczyć do gatunku social fiction, który zdominował polską fantastykę?
J.M.: – Ja po prostu zdaję sobie sprawę z tego, co ludzie w tym kraju myślą. Sam tu żyję i mam pewne potrzeby, nie tylko materialne. Film fantastyczny ma możliwości szerszego ujęcia problemów, które nas dotyczą, bez grzebania się w doskwierających nam na co dzień drobiazgach. Umożliwia syntetyzowanie rzeczywistości. Chociaż wierzę, że można zrobić dobry film współczesny. Uciekanie w fantastykę, czy kryminał jest pewnym ułatwieniem. A jednak „Kingsajz" był bardzo trudnym filmem. Nie można go było wpisać w żadną znaną konwencję. Nie mogłem zaplanować jak to wyjdzie...

„Kingsajz" zaczyna się w stylu dobrego kryminału. Włamanie, ucieczka – pierwszych parę scen toczy się wartko. Od początku też widz wie z kim ma trzymać. Chcemy, żeby krasnale zdobyły Kingsajz i wywalczyły wymarzoną wolność. Przecież my, Polacy, już z mlekiem matki wysysamy „za naszą i waszą..." Akcja kryminalna, jak zwykle u Machulskiego, jest poprowadzona interesująco. Aktorzy wędrują z jednego świata w drugi, wpadają w pułapki, uciekają. Zastosowane przez reżysera, modne dziś pomieszanie konwencji sprawia, że otrzymujemy w rezultacie koktajl będący połączeniem filmu społecznego, bajki, komedii i kryminału. Metoda ta bywa zwodnicza, ponieważ przechodzenie z jednego stylu w drugi powoduje niezamierzony spadek napięcia i zmieszany jest przede wszystkim widz.

Główni bohaterowie „Kingsajzu" to Olo (Jacek Chmielniak), Ala (Katarzyna Figura) i Adaś (Grzegorz Heromiński). Trójka młodych aktorów wypada zupełnie nieźle. Może tylko u panów, wcielających się w postacie krasnoludków, przeszkadza i razi nadmierna ekspresyjność, zwłaszcza w chwilach większego napięcia akcji. Ponieważ ideą filmu było pokazanie, że mieszkańcy Szuflandii tak naprawdę nie różnią się w niczym od ludzi, nieporozumieniem było narzucanie aktorom histerycznej maniery zachowania, sugerującej infantylność.

Kreującej główną rolę kobiecą Katarzynie Figurze, reżyser dał rzadką w polskim kinie szansę pokazania się w eleganckich strojach. Chociaż równie pomysłowe, aczkolwiek niedoskonałe technicznie, jest ujęcie aktorki w jednej ze scen, tym razem bez ubrania, za to ze spacerującym po niej małym Olem. Element mody został także wykorzystany dla potrzeb akcji. Bardzo dobry jest pokaz mody „Troll Trend 89", którego choreografię opracowała Liza Machulska, debiutująca również w roli Ewy. Czyżby nostalgia za stylem edeńskim?

D.M.: – Dlaczego właśnie taki film po powrocie ze Stanów?
J.M.: – Nie wiem. Będąc w USA chciałem napisać scenariusz, ale nie wychodziło, a po powrocie do Polski przyszło mi do głowy właśnie to. Ale to nie są kompleksy. Stary, chory człowiek nie może mieć kompleksów w stosunku do młodego atlety. Tam bym nie zrobił takiego filmu. Jest coś takiego w naszej kinematografii, że poza ekonomią jest również miejsce na artyzm, który można również nazwać nieudacznictwem filmowym. W Polsce nie może istnieć świetna kinematografia, kiedy leży szkolnictwo, gospodarka, handel itd. Jesteśmy prowincją. Możemy wyzbyć się kompleksów kiedy sobie to uświadomimy.

„Kingsajz" jest dowodem, że i polscy twórcy coraz śmielej sięgają po efekty specjalne. Choć niekiedy spod cukierkowego oświetlenia wychodzi tektura, jednak zastosowano w filmie parę świetnych i prostych pomysłów, które znakomicie grają: durszlak-więzienie, płyta szybkoobrotowa jako narzędzie tortur, drabinka z zapałek (która oczywiście musi spłonąć) oraz łaźnia parowa w czajniku, z której korzysta Jerzy Stuhr, jak zawsze bardzo dobry i jak zwykle obsadzony w roli czarnego charakteru – obdarzony dźwięcznym imieniem Kilkujadka! A jeżeli już mowa o imionach, warto zauważyć, że występujący w roli włamywacza Jan Machulski nazwany został Kwintkiem (czy czegoś nam to nie przypomina?). Wzorując się na filmach o superagencie 007 – Bondzie, w których stałym elementem jest zegarek-gadget bohatera, nasz reżyser wprowadził postać z białym psem, która jest jakby jego wizytówką.

Machulski wypełnia swoimi filmami pewną lukę w polskiej kinematografii, zaspokajając zapotrzebowanie naszego zmęczonego życiem widza na filmy, które w lekkiej formie i w zaskakujących pomysłach, dotykają treści społecznych. Ponieważ jednak apetyt rośnie w miarę jedzenia, ci, którzy oczekiwali czegoś lepszego od „Seksmisji", mogą być nieco zawiedzeni.

Często zdarza się, że reżyser nie potrafi zakończyć filmu interesującą puentą, szczególnie gdy podejrzewa, że widzowie mogliby życzyć sobie happy endu. Nic z tego w przypadku „Kingsajzu". Zarówno pierwsze sceny, jak i ostatnie – dają świadectwo sprawnej ręki reżysera (zarazem współscenarzysty). Bo gdy wszystko, w rytmie pędzącego pociągu zmierza do szczęśliwego zakończenia, Machulski wyciąga z cylindra finałowego królika. Ta scena jest naprawdę bardzo dobra. Przecież to my sami, proszę Państwa jedziemy tym pociągiem. A dokąd, a dokąd, a dokąd tak gna?

Dorota Malinowska
Jacek Rodek

KINGSAJZ. Reżyseria: Juliusz Machulski. Scenariusz: Jolanta Hartwig, Juliusz Machulski. Muzyka: Krzesimir Dębski. Scenografia: Janusz Sosnowski. Zdjęcia: Jerzy Łukaszewicz. Obsada: Jacek Chmielniak, Jerzy Stuhr, Katarzyna Figura, Grzegorz Heromiński i inni. Polska 1987.



Kingsajz





Patric Woodroffe

